

PAM JENOFF

Bestseller
New York
Timesa

W SIECI
TAJEMNIC

Jenoff Pam

W sieci tajemnic

Minione wojny, minione życia, byli kochankowie.

Czy kiedykolwiek o nich zapomnimy... i czy powinniśmy?

Życie Jordan Weiss, oficer wywiadu w Departamencie Stanu, legło w gruzach, kiedy się okazało, że jej chłopak Jared utonął w rzece. Po dziesięciu latach Jordan dokonuje wstrząsającego odkrycia: dowiadyje się, że prawda wygląda zupełnie inaczej, jej chłopak żyje, a ona sama została okłamana i zdradzona. Rezygnuje z pracy i wyrusza na poszukiwanie ukochanego. Na Riwierze Francuskiej, gdzie ostatnio widziano Jareda, poznaje Nicole – tajemniczą kobietę, która prawdopodobnie jest zaangażowana w sprawę.

Dziewczyna jednak znika i Jordan ściga ją po całej Europie. Wkrótce przekonuje się, że Nicole jest poszukiwana również przez Aarona, przystojnego i tajemniczego Izraelczyka. Nie mają do siebie zaufania, lecz wspólnie angażują się w niebezpieczne śledztwo.

Kiedy Jordan zbliża się do rozwiązania zagadki, która nękała ją przez lata, pojawia się kolejne pytanie: czy może związać się z Aaronem, chociaż wciąż jeszcze kocha Jareda? Czy prawda ją zniszczy czy wyzwoli? Czy będzie jeszcze w życiu szczęśliwa?

1

Spoglądam przez werandę, ponad rzędami jachtów i łodzi kołyszących się na wodzie w Porte de Monaco, na skrzące się Morze Śródziemne. Po prawej stronie linia brzegu lekko wcina się w plażę, a dalej w głąb morza przy La Condamine - skupisku wysokich, połyskujących budynków na stromym, skalistym wzgórzu. Po karafce wody przede mną spływa kropelka wody, która wsiąka w lniany obrus. Od kilkunastu stolików wokół mnie dochodzi cichy szmer rozmów, dzwonienie łyżeczek o filiżanki i szelest porannych gazet.

Podnoszę głowę i chłonę zapach słonego powietrza, kawy i cytrusów. Niebo nad płóciennie-bambusowym parasolem jest czyste i błękitne. Aż trudno mi uwierzyć, że jeszcze dwa dni temu byłam w Anglii. Na Heathrow złapałam ostatni nocny samolot, którego start opóźniła mgła. W Mediolanie wylądowaliśmy dopiero przed trzecią w nocy. Przez chwilę miałam ochotę wynająć pokój w hotelu, przespać się chociaż parę godzin, ale tak bardzo chciałam jak najszybciej dostać się na miejsce, że zrezygnowałam. Pojechałam taksówką na dworzec, gdzie w całodobowej kafejce wypiałam parę przypalonych cappuccino w oczekiwaniu na otwarcie kas o wpół do piątej. Pół godziny później wsiadłam do pociągu jadącego do Monako.

W ciemności przejechaliśmy przez obskurne przedmieścia miasta. Pociąg dwa razy zatrzymał się na małych stacyjkach, żeby zabrać kolejnych pasażerów, po czym przyśpieszył i pomknął przez surowy krajobraz pogranicza między Włochami a Francją. Kiedy dotarliśmy na wybrzeże, słońce nagle uniosło się nad nami i zalało światłem krajobraz wokół: poszarpane szczyty i błękitną wodę. Na terasowych wzgórzach luksusowe posiadłości i skromne domki harmonijnie wtapiały się w tę oszałamiająco piękną okolicę.

Pociąg znowu zwolnił do niespiesznego tempa i zaczął się piąć pod górę, nie bacząc na sportowe auta i ciężarówki, które śmigwały obok po wąskiej drodze. Kiedy słońce wyżej wspięło się na niebie, jakiś mężczyzna otworzył drzwi wagonu i trzymając się obiema rękami poręczy, beztrósco wychylił się na zewnątrz. Poły jego koszuli łopotały na wietrze.

Nie po raz pierwszy podróżowałam tą trasą. Podczas letnich wakacji między pierwszym a drugim rokiem na Cambridge przyjechałam tu z grupą studentów, z którymi wybrałam się na miesięczną wyprawę po Europie. Przez trzy noce spaliśmy na podłodze w mieszkaniu znajomego, którego matka wyszła za mąż za mieszkańca Monako. Po tygodniach nocowania w namiotach i korzystania z kempingowych toalet to małe mieszkanie z pralką i prawdziwym prysznicem było dla mnie jak raj. Pamiętam, jakie wrażenie zrobiło na mnie Lazurowe Wybrzeże, jego idylliczne, tropikalne piękno, którego nie spodziewałam się ujrzeć w Europie. Wyjechałam stamtąd niechętnie, z nadzieją, że kiedyś tam wrócę. Nie spodziewałam się jednak, że nastąpi to teraz, w takich okolicznościach.

Upijam łyk kawy, niechętnie odwracam wzrok od morza i sięgam do skórzanej torby leżącej przy moich stopach. Po omacku grzebię w znajomej zawartości i po chwili wyjmuję szarą teczkę. Moja szefowa, Maureen, dała mi ją w ambasadzie w Londynie, parę minut po tym, jak wyjawiała tajemnicę, która na zawsze zmieniła moje życie. Dziesięć lat temu Jared, chłopak, z którym chodziłam na studiach, nie utonął, w co wierzyłam przez cały ten czas. Sfingował własną śmierć i zniknął z Cambridge.

Kartkuję zawartość teczki, którą zabrałam z ambasady po złożeniu rezygnacji w Departamencie Stanu. Mo przechowywała w niej wszystkie informacje na temat miejsc pobytu Jareda w ciągu ostatnich dziesięciu lat - a w każdym razie tak twierdziła. Zdjęcia, raporty i inne szczegóły z życia Jareda po jego zniknięciu. Urywki informacji o tym, gdzie przebywał, jak żył i czym się zajmował po wyjeździe. Parę nazwisk, których używał na samym początku. Mo dała mi tę teczkę w za-

mian za milczenie. Ciekawe, czy jest warta tej ceny. Większość pochodzi sprzed miesiący, a nawet lat. Tylko skrawek papieru z adresem domu w Monako ma jakąkolwiek wartość. To właśnie ta karteczka mnie tu przywiodła.

Zamykam teczkę, upijam kolejny łyk kawy i znowu spoglądam na wodę. Ten ciepły raj ostro kontrastuje z szarą, chłodną Anglią. Zaledwie parę tygodni temu poprosiłam o wysłanie mnie do Londynu, abym mogła być bliżej mojej przyjaciółki, Sary, która walczyła z chorobą Lou Gehriga. Wtedy wydawało mi się, że przyjazd do Anglii po raz pierwszy od śmierci Jareda, konfrontacja ze wspomnieniami okażą się najtrudniejszymi zadaniami, z jakimi przyjdzie mi się zmierzyć. Sara mnie wezwała - a w każdym razie tak myślałam - więc wzięłam się w garść i poprosiłam dyrektora o przeniesienie mnie do ambasady W Londynie.

Wydawało mi się to takie proste: zaopiekuję się Sarą, zajmę się pracą i nie będę rozgrzebywała przeszłości. A jednak wkrótce po przyjeździe skontaktował się ze mną Chris, kolega ze studiów. Na temat śmierci Jareda zasypał mnie pytaniami, które sama bałam się zadać. Co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy? Kiedy postanowiłam pomóc Chrisowi, szybko odkryliśmy, że odpowiedź nie pasuje do tej, którą nam dano przed laty. Śmierć Jareda to nie był wypadek. Postawiliśmy kolejne, mroczniejsze pytania: komu i dlaczego zależało na jego śmierci?

Jared. Wstrzymuję oddech, gdy jego twarz pojawia się w moich wspomnieniach. Widzę, jak stoi na pomoście przy hangarze na łodzie w dniu, w którym się poznaliśmy: wysoki i przystojny, na tle bladego nieba tuż przed świtem. To nie była miłość od pierwszego spojrzenia. Od razu powstał między nami konflikt: on nie potrafił opanować gniewu na mnie jako stosunkowo niedoświadczonego sternika, mnie jego arogancja początkowo przerażała, a potem złościła. Z powodu tej obopólnej antypatii niczego nie przeczuwałam, a już na pewno nie namiętnego pocałunku na balkonie wychodzącym na Tamizę. Od tamtej pory stało się jasne, że jesteśmy parą.

Parą - przez bardzo krótki czas. Od samego początku wiedzieliśmy, że za trzy miesiące kończy się moje stypendium, a wtedy będę musiała wrócić do Stanów. Nagle, na parę tygodni przed moim wyjazdem, Jared zginął, według oficjalnej wersji utonął w rzece. Historia ta nie miała zakończenia - aż do teraz. Wciąż nie mogę uwierzyć, że Jared żyje i że za parę godzin czy dni może znowu go zobaczę.

Być może żyje - łagodnie przypomina obcy głos w mojej głowie. Ostatnio widziano go jakiś czas temu w mieszkaniu, od którego teraz dzieli mnie zaledwie parę minut drogi. Mam jedynie adres, bez potwierdzenia, że ostatnio go tam widziano, i bez dowodów na wiarygodność źródła tej informacji. Miałam tylko ten jeden trop, więc wsiadłam do samolotu i przyjechałam tutaj. Teraz najważniejsze to odnalezienie Jareda, to jedno ma sens.

Wiadomość o tym, że Jared być może wciąż żyje, wywołuje jeszcze więcej pytań i kiedy wyobrażam sobie spotkanie, które przez ostatnie dziesięć lat było niemożliwe, dręczą mnie myśli: Dlaczego Jared zniknął bez słowa? Dlaczego nie wrócił albo chociaż nie skontaktował się ze mną, bym wiedziała, że żyje? Dlaczego pozwalał, żebym przez tyle lat go opłakiwała?

Wkładam teczkę z powrotem do torby. Pytania muszę odłożyć na później, teraz, powinnam znaleźć Jareda. Proszę kelnera o rachunek, a potem idę przez taras do holu. Lubię hotele takie jak ten: ponad pięćdziesiąt pokoi, przytulny, a jednocześnie dostatecznie duży, by zapewnić dyskrecję.

- Mademoiselle Weiss? - z zamyślenia wyrywa mnie czyjś głos, kiedy mijam recepcję.

Zaskoczona odwracam się do recepcjonisty, u którego zameldowałam się poprzedniego dnia. To tyłe, jeśli chodzi o dyskrecję.

- Tak?

Podaje mi jakąś kopertę.

- To dla pani.

Przez parę sekund z mocno bijącym sercem patrzę na jego wyciągniętą rękę. Nikt nie wie, że tu jestem. Niechętnie biorę kopertę z mo-

im nazwiskiem i rozrywam ją. Na ziemię spada kartka. Podnoszę i rozpoznaję charakter pisma Maureen, strzeliste, ozdobne litery.

„Przepraszam. Życzę powodzenia. Uważaj na siebie. Dziękuję, że mnie zrozumiałaś”.

Nieco się uspokajam. Maureen nie przyjechała po mnie, przynajmniej na razie. To kolejne przeprosiny za zdradę. Ale jak ona mnie wytropiła?

Znowu zaglądam do koperty. W środku znajduję cienki plik czeków podróжных spiętych klipsem. Przesuwam kciukiem po brzegu pliku. Co najmniej pięćset dolarów. Czuję gniew. Czy Mo myśli, że może kupić moje milczenie? Szybko jednak dochodzę do wniosku, że nie taka była jej intencja. Te pieniądze to potwierdzenie naszej umowy: nie wydam w Departamencie Stanu sekretu, który z pewnością zakończyłby jej karierę w chwili, gdy od awansu na ambasadora dzieli ją zaledwie krok. W zamian za to ona nie zdradzi nikomu mojego miejsca pobytu ani nie będzie się starała mnie powstrzymać. Oczywiście w swoim liściku myli się co do jednego: wcale nie zrozumiałam. Mo była moją mentorką i przyjaciółką, a jednak mnie okłamała i uczyniła ze mnie kartę przetargową w swoich politycznych grach. Mój gniew sięga szczytu. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym ją zrozumieć albo jej wybaczyć. Nie teraz. Nigdy.

Garbię się ze zmęczenia. A jednak chyba powinnam być wdzięczna, w końcu przekazała mi istotną informację. Bez Mo i jej misternej intrygi może nigdy bym się nie dowiedziała, że Jared żyje.

Znowu podchodzę do recepcji.

- Chciałabym się wymeldować - mówię, z żalem myśląc o pokoju ze świeżą pościelą i małym patio z widokiem na port. Nie mogę jednak dłużej tu zostać, nie teraz, gdy Mo wie, gdzie jestem. Nie, przeniosę się do jakiegoś mniejszego pensjonatu, gdzie bez mrugnięcia okiem przyjmą zapłatę gotówką.

Sięgam po portfel, ale przypominam sobie o czekach podróжных. Bardzo nie chciałabym z nich korzystać, bo to oznaczałoby, że moje milczenie można kupić. Nie wiem jednak, jak długo będę podróżować,

na jak długo starczy mi oszczędności. Podaję recepcjoniście trzy czeki i odbieram resztę w euro.

- Potrzebuje pani pomocy przy bagażu? - pyta.

- Nie, dziękuję.

Mam tylko torbę podróżną. Nigdy nie podróżowałam z dużym bagażem, a dwie walizki, z którymi przyjechałam do Londynu, zostały zniszczone w wybuchu gazu w moim mieszkaniu. W wyobraźni widzę zwęglone szczątki mebli, strażaków wynoszących worek ze zwłokami. Łzy napływają mi do oczu. To ja tam miałam zginąć. Moja koleżanka z pracy, Sophie, straciła życie, gdy wstąpiła do mojego mieszkania, żeby wziąć z niego coś, o co ją poprosiłam. Poczucie winy przeplata się z gniewem. Uszanuję umowę z Mo i nie wydam jej, przynajmniej na razie. Ale ona i inni kiedyś zapłacą za życie, które ludzie stracili z ich winy.

Tłumiąc gniew, wychodzę z hotelu i ruszam w górę pochyłej, obsadzonej palmami ulicy. Moje sandały cicho szurają na chodniku. Sklepy przyjezdni to rząd ekskluzywnych butików z ubraniami z najdroższych domów mody, zegarkami szwajcarskimi i futrami, które sprawiają absurdalne wrażenie w tym tropikalnym klimacie. Opaleni turyści z ogromnymi torbami na zakupy krążą między sklepami, niczym mrówki znoszące pokarm do mrowiska. Wokół mnie rozbrzmiewają odgłosy rozmów po francusku, niemiecku i w innych językach, których nie rozpoznaję.

Przystaję, kątem oka dostrzegając swoje odbicie w szybie sklepu z markową czekoladą. Wyglądam nieco blade, ale biała lniana koszula i spodnie khaki, które kupiłam po przyjeździe tutaj, idealnie pasują do tutejszego stylu. Wkładam kolejne z akcesoriów - ogromne okulary przeciwsłoneczne w szylkretowych oprawkach - i idę dalej. Zwalniam nieco, już bardziej zrelaksowana. Anonimowość pośród tłumu w nieznanym miejscu przynosi mi ukojenie. Oczywiście w końcu będę musiała zadzwonić do Sary, dać znać rodzicom, że wyjechałam z Anglii, ale tymczasem jestem zupełnie sama.

Po paru minutach ulica się zwęża, a tłum rzędnie - niespotykana cicha enklawa w tym zatłoczonym, pełnym turystów mieście. Tutaj sklepy nie są tak luksusowe: trochę galerii sztuki, księgarni, sklepików spożywczych i winiarni. Skręcam i zatrzymuję się przed znajomą kawiarnią. Lawiruję między ciasno ustawionymi stolikami na zewnątrz i wybieram miejsce po lewej stronie. Kelnerka przyjmuje moje zamówienie.

Kiedy odchodzi, wydaję z torby notes i odchylam się na oparcie krzesła. Wczoraj spędziłam tu prawie całe popołudnie, sącząc cappuccino. Położyłam przed sobą notes, udając, że coś w nim piszę, jak podróżny prowadzący dziennik. W rzeczywistości wpatruję się w budynek po drugiej stronie ulicy z prawej strony - rue des Lilas numer 12. Ten adres znajdował się w aktach, które dostałam od Mo. Tam przed paroma miesiącami po raz ostatni widziano Jareda.

W aktach nie podano jednak numeru mieszkania. Nie wiedząc, który apartament w czteropiętrowym domu zajmował Jared, walczę z chęcią pukania do każdych drzwi, zamiast siedzieć w kawiarni i tylko patrzeć. Ani śladu Jareda. Wychodzący i wchodzący lokatorzy to w większości starsi przygarbieni ludzie zmierzający na postój taksówek na rogu albo pchający wózki na zakupy. Obserwuję ich, zastanawiając się, w jaki sposób zarobili miliony dolarów niezbędne do tego, by kupić tu mieszkanie i pozwolić sobie na życie w luksusowej dzielnicy.

Żaden z nich nie przypominał Jareda. W miarę upływu godzin czułam coraz większą frustrację. Naprawdę spodziewałam się, że spotkam go w pobliżu mieszkania, które jakiś czas temu mógł tylko odwiedzić albo zajmować na krótko? Ten adres to jednak mój jedyny punkt zaczepienia, nie wiem, co robić, jeśli trop okaże się bezużyteczny. Wróciłam więc tu i dzisiaj, gotowa czekać i obserwować budynek niczym pies czający się przy króliczej norze.

Kiedy kelnerka wraca z herbatą, zastanawiam się, co Jared w ogóle robił w Monako. Nie cierpiał takich miejsc, zatłoczonych i pretensjonalnych. Nawet studenckie życie w sielankowym Cambridge wydawało

mu się zbyt klaustrofobiczne. Wolał ciche, ustronne zakątki, takie jak dach kaplicy, na którym przysiedliśmy w noc kolacji klubu wioślarskiego. Długo wtedy rozmawialiśmy i przełamaliśmy początkową antypatię. Spoglądaliśmy na imprezowiczów w dole i na miejsce nad rzeką, w którym lubił rozmyślać w tych ostatnich okropnych dniach przed swoją śmiercią. Kiedy już musiał przebywać w grupie, to zwykle tylko z boku, w milczeniu przysłuchiwał się rozmowom. Teraz uświadamiam sobie, że to dlatego tak uwielbiał pływać łodzią. Wyobrażam go sobie na siódmym miejscu, za Chrisem, z ponurą i zaciętą miną. Była to dla niego forma ucieczki, medytacji w rytm uderzeń wiosła, które porozumiewały się z nim bez słów. Nie - dochodzę do wniosku, raz jeszcze omiatając wzrokiem ulicę - nie sposób wyobrazić sobie Jareda tutaj.

Mieszam herbatę i przyglądam się innym klientom, grupce kobiet z dziećmi na kolanach i miniaturowymi psami drzemiącymi u ich stóp. Parze staruszków bez słowa dzielących się croissantem. Na drugim końcu patio jakiś samotny mężczyzna trzyma przed sobą gazetę. Obserwując jego profil, natychmiast dochodzę do wniosku, że jakoś nie pasuje do tego miejsca. Co prawda jest opalony, ale ma ostre rysy twarzy, kwadratową szczękę i wypukłe czoło charakterystyczne dla Słowian. Biały T-shirt nieco zbyt ciasno, niemodnie opina muskularną sylwetkę. Oczywiście w Monako pełno jest cudzoziemców, lecz ten trzydziestoparolatek o szerokich barach i krótko przystrzyżonych brązowych włosach wygląda bardziej na wojskowego niż na turystę.

Odwraca się lekko i nasze spojrzenia się krzyżują. Czym prędzej spuszczam wzrok na notes. Czy zauważył, że mu się przyglądam? Na pewno nie, przecież mam okulary przeciwsłoneczne. Czuję, że się rumienię i zalewa mnie fala gorąca. Nieznajomy okazuje się przystojniejszy, niż to oceniłam na podstawie jego profilu. Odsuwam od siebie tę myśl. Od rozstania z Jaredem tylko raz straciłam czujność, zbliżyłam się do Sebastiana, szkockiego agenta przydzielonego do zespołu śledczego w Londynie. Uczucia wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem, a ten błąd nieomal kosztował mnie życie.

Nie, interesuję się tylko jednym mężczyzną - Jaredem. W ciągu ostatnich paru dni tysiąc razy wyobrażałam sobie, że go odnajduję - żywego. Obraz, który na wszystkie te lata wyrzuciłam z umysłu, teraz sam pojawia się z każdym oddechem. Wyobrażam sobie niecodzienny uśmiech na jego twarzy, od którego w kącikach szmaragdowych oczu robiły mu się kurze łapki, wyobrażam sobie, jak mnie obejmuje silnymi rękami. Ale jak by teraz wyglądało nasze spotkanie? Czulibyśmy się niezręcznie czy swobodnie i bez słów okazalibyśmy sobie uczucia, jak gdyby upływ czasu nic nie zmienił?

Znowu podnoszę wzrok, staram się nie patrzeć na nieznajomego, i sącząc herbatę, spoglądam na budynek. Ulicą idzie blondynka w kwiecistej spódnicy, otwiera bramę przed domem. Wczoraj widziałam, jak stamtąd wychodziła. Wtedy miała włosy upięte w elegancki kok. Zwróciłam na nią uwagę, bo była o wiele młodsza od pozostałych lokatorów. Może odwiedzała dziadków? Niesie torbę z zakupami, otwiera drzwi ze swobodą sugerującą, że tam mieszka. Dziś rozpuszczone włosy luźno opadają jej na ramiona.

Puls mi przyspiesza. Spokojnie. Co prawda kobieta wyróżnia się wśród reszty lokatorów, ale nie mam powodu przypuszczać, że jest w jakiś sposób związana z Jaredem. A jednak coś - intuicja, doświadczenie zawodowe, a może połączenie tych dwóch rzeczy - każe mi myśleć, że to sąsiadka, która niedawno go widziała.

Kiedy drzwi się za nią zamykają, odwracam się i kątem oka znowu zerkam na nieznajomego mężczyznę. Wciąż czyta gazetę, jednak nawet z tej odległości widzę, że gazeta jest otwarta na tej samej stronie, choć minęło już ładne kilka minut. Coś tu nie gra. Co on tu robi, sam w środku dnia? Czyżby mnie śledził? Mo obiecała, że pozwoli mi spokojnie szukać Jareda, ale nie może kontrolować innych, którzy być może próbują mnie powstrzymać.

Staram się spokojnie oddychać, zakazuję sobie wstać i wyjść. Paranoja nigdy mi nie służyła. Ten mężczyzna może tu siedzieć z mnóstwa różnych powodów. Mimo to już nie wrócę do tej kawiarni. Nagłe zmiany planów i miejsc pobytu to podstawowa zasada wywiadu. Powtarza-

jące się zachowania są prostą drogą do tego, by zostać zdemaskowanym. Nie mogę przychodzić tutaj codziennie i po prostu czekać. By postanović, co dalej, muszę się dowiedzieć, czy Jareda tu nie ma, a trop okazał się nieaktualny. Muszę się przekonać, czy Jared nadal ma jakiś związek z tym adresem.

Wracam myślami do blondynki, która weszła do budynku. Czy powinnam z nią porozmawiać, sprawdzić, czy zna Jareda? To ryzykowny krok, ale sposób tak samo dobry jak inne, a na pewno lepszy od siedzenia tu w nieskończoność.

Kładę na stoliku parę monet, wstaję i wychodzę z kawiarni. Kiedy mijam mężczyznę z gazetą, czuję na sobie jego wzrok. Żołądek podchodzi mi do gardła. Spokojnie. Może po prostu próbuje mnie poderwać. Przypominam sobie, że mężczyźni z rejonu Morza Śródziemnego bez skrupowania okazują kobietom swoje względy. Pamiętam, jak podczas studenckich podróży przez Włochy i Hiszpanię onieśmielali mnie mężczyźni gwizdający za mną na ulicach. Na wszelki wypadek postanawiam nie iść prosto do budynku. Idę na róg i skręcam w lewo. Kiedy się odwracam i zerkam przez ramię, mężczyzna nadal czyta gazetę.

Na następnym skrzyżowaniu znowu skręcam w lewo i obchodzę kwartał domów. Słońce już się wspięło wysoko na niebo, poranne majowe powietrze jest tak upalne jak popołudnie w pełni lata w Waszyngtonie. Przyspieszam kroku i kończę okrążenie. Przystając na rogu przy apartamentowcu, omiatam wzrokiem kawiarnię po drugiej stronie ulicy.

Mężczyzna z gazetą zniknął.

Znowu nabieram podejrzeń. Jeśli mnie obserwował, to po moim wyjściu nie miał już po co tam siedzieć. Rozglądam się po ulicy, ale nigdzie go nie widzę. Może po prostu dokończył kawę i poszedł swoją drogą? Tak czy inaczej nie mam teraz czasu się nim przejmować. Muszę porozmawiać z blondynką.

Rozejrzawszy się po raz ostatni, ruszam do metalowej bramy przed apartamentowcem i wchodzę do ogródka. Staram się iść nieśpiesznie,

jakbym była jednym z mieszkańców. Naciskam klamkę, ale drzwi wejściowe są zamknięte.

Z wahaniem przyglądam się kilkunastu guzikom przy drzwiach. Pod każdym widnieje mała tabliczka z nazwiskiem lokatora. Oczywiście żadne nie należy do Jareda, a nie potrafię ustalić, które jest nazwiskiem blondynki. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie naciskać po kolei wszystkich dzwonek, ale w ten sposób niepotrzebnie ściągnęłabym na siebie uwagę. Co zresztą miałabym powiedzieć? Że szukam mężczyzny, który być może kiedyś tu był, albo kogokolwiek, kto mógłby go znać?

Kiedy za drzwiami rozlega się szuranie, szybko się odsuwam. Wychodzi jakiś starszy mężczyzna. Strzela oczami w moją stronę.

- *Bonjour* - mówię z uśmiechem i nadzieją, że rozwieję tym jego podejrzenia. Spogląda na mnie zmieszany, a ja żałuję, że się odezwałam, bo mój fatalny francuski akcent jeszcze bardziej podkreślił pewnie fakt, że nie jestem stąd. Ale obcokrajowcy nikogo tutaj nie dziwią, więc mężczyzna tylko lekko mi się kłania i wychodzi na ulicę.

Szybko doskakuję do drzwi, zanim się zamkną. Hol jest urządzone prosto, lecz elegancko: podłoga wyłożona biało-czarnymi płytkami, marmurowe kręte schody. Na stoliku na samym środku stoi ogromny wazon pełen gardenii, których zapach ma zamaskować woń stęchlizny, jaką wydziela stary budynek.

Niepewnie spoglądam w górę schodów. Pomimo wcześniejszego wahania chyba nie mam innego wyjścia: muszę pukać po kolei do każdych drzwi. Od których zacząć? Od ostatniego piętra - dochodzę do wniosku, wyobrażając sobie staruszków, których obserwowałam od dwóch dni. Ponieważ nie ma tu windy, prawdopodobnie zajmują mieszkania na niższych piętrach, na górnych zaś mieszkają młodszy - na przykład blondynka.

Ruszam po schodach, głośno stukając obcasami. Pokonuję drugie i trzecie piętro, a na każdym znajdują się dwa mieszkania. Na czwartym piętrze drzwi do mieszkania na drugim końcu korytarza są otwarte.

Robotnicy na drabinach malują ściany, przygotowując lokal dla nowych lokatorów. Drugi apartament wygląda na zamieszkały.

Przystaję przed mahoniowymi drzwiami. Nie wiem, czy blondynka tu mieszka, co powiem, jeśli otworzy drzwi. Muszę jednak spróbować. Unoszę rękę i dwukrotnie lekko stukam mosiężną kołatką.

- *OuP.* - odzywa się kobiecy głos. Drzwi się otwierają i przede mną pojawia się blondynka. Gwałtownie wciągam powietrze. A więc to jednak jej mieszkanie.

Na jej twarzy na chwilę pojawia się zdziwienie.

- *Bonjour...*

Waham się, zastanawiając, czy spróbować porozmawiać z nią po francusku, ale ostatecznie się rozmyślam.

- Dzień dobry...

Nagle brakuje mi słów. Za plecami kobiety widzę ogromny apartament: przestronny pokój z gładkimi, drewnianymi podłogami i nowoczesnymi meblami, nadającymi wnętrzu jeszcze bardziej luksusowy wygląd. Przeszklone drzwi na przeciwległej ścianie wychodzą na balkon z widokiem na morze. Ogarnia mnie zazdrość, kiedy wyobrażam sobie Jareda popijającego drinki na tym balkonie, śmiejącego się z tą kobietą w skrzących się promieniach słońca.

- W czym mogę pomóc? - pyta kobieta z angielskim akcentem i lekką irytacją w głosie.

Wpatruję się w ząbkowany brzeg jej śnieżnobiałej bluzki, gorączkowo zastanawiając się nad usprawiedliwieniem swojej obecności tutaj i sposobem na jak najłagodniejsze zadanie pytań. Nic mi nie przychodzi do głowy, więc wybieram bezpośredniość.

- Szukam mężczyzny o nazwisku Jared Short.

- Nie znam nikogo takiego - odpowiada o sekundę za szybko.

- Może używać innych nazwisk: Michael Laurent, Joseph McVey -wymieniam pseudonimy, które zapamiętałam z teczki od Mo. Wyjmuję z torby zdjęcie Jareda zrobione po jego zniknięciu na jakiejś zatłoczonej ulicy.

Blondynka otwiera usta, przenosi wzrok ze zdjęcia na sufit i z powrotem.

- Już powiedziałam, nie znam nikogo takiego - odpowiada drżącym głosem.

Biorę głęboki wdech.

- Wiem, że Jared tu był - blefuję.

- Myli się pani - odpowiada z naciskiem, odzyskując panowanie nad sobą. Natychmiast wyczuwam, że to nie tylko irytacja. Jest zdenerwowana, może coś ukrywa. - To mieszkanie mojej babci.

Przyjeżdżam tu sama w wakacje. - Przez chwilę niemal jej wierzę, ale urządzenie wnętrza nie pasuje do starszej osoby. - Proszę, żeby już sobie pani poszła.

Spuszczam wzrok, zastanawiając się nad następnym krokiem. Jareda tu nie ma, a nie mogę jej zmusić do przyznania, że kiedykolwiek tu był.

- W porządku, ale proszę przekazać Jaredowi, że go szukam. - Otwiera usta, jakby chciała powiedzieć, że go nie zna, lecz podnoszę dłoń. - To szalenie ważne. - Znowu sięgam do torby, wydaję komórkę, którą kupiłam tuż po wczorajszym przyjeździe, i zapisuję jej numer na odwrocie starego rachunku. - Niech do mnie zadzwoni. - Podaję jej karteczkę. - Nazywam się Jordan Weiss.

Nie odpowiada, ale bierze karteczkę i zamyka drzwi. W ostatniej chwili nasze spojrzenia znowu się krzyżują.

Tym razem się nie mylę: w jej oczach widzę strach.

Rozciągam się na szerokim łóżku i patrzę na powoli obracające się łopatki wentylatora pod sufitem. Hotel, oddalony o parę przecznic od tego, z którego wymeldowałam się tego ranka, jest mniej luksusowy, lecz wygodny i swojski. Mały, zalany słońcem pokój urządzone w nowoczesnym, minimalistycznym stylu, znajduje się tu sześcienne biurko i beżowy szezlong. W blaszано-kryształowym wazonie na nocnym stoliku stoją świeże orchidee.

Przesuwam dłonią po gładkiej, białej kołdrze, wyobrażając sobie blondynkę w drzwiach apartamentu. Kim właściwie jest i co ją łączy z Jaredem? Odkąd Mo powiedziała mi, że Jared żyje, świadomie unikałam zastanawiania się, co się z nim działo w ciągu tych lat po naszym rozstaniu. Teraz ogarnia mnie zazdrość. To jego dziewczyna czy kochanka? Może tylko przyjaciółka - bardzo atrakcyjna przyjaciółka. Ale strach, który widziałam w jej oczach, zdradza coś jeszcze. Nie bez powodu ryzykowała, chroniąc Jareda.

Oczywiście już przestałam rozumieć motywy ludzkiego zachowania. Złudzenie logicznego postępowania rozwiało się parę dni temu, kiedy zakradłam się do gabinetu Mo w ambasadzie i poznałam prawdę o śmierci Jareda, o spisku, który miał na celu ściągnięcie mnie do Anglii. Podczas tych ostatnich dramatycznych dni śledztwa dowiedziałam się o pracy doktorskiej, która naraziła życie Jareda na niebezpieczeństwo. Kiedy przedstawiłam Mo dowody na jej udział w tej akcji, powiedziała mi całą resztę: tamtej nocy przed dziesięcioma laty Jared nie utonął w rzece, tylko sfingował własną śmierć, uciekł przed potężnymi ludźmi chcącymi zamknąć mu usta. Na szczęście ich plan się nie powiódł. Dotarłam do informacji, którą Jared ukrył, i przekazałam ją władzom. Jared żyje, a przynajmniej taką mam nadzieję.

Opieram brodę na dłoniach i znowu myślę o Mo. Przez otwarte drzwi na patio wpada lekki wietrzyk, szeleści lnianymi zasłonami, porusza dzwoneczkami zawieszonymi pod sufitem. Jak to możliwe, że jedna z moich przyjaciółek (jedna z niewielu moich przyjaciółek, prawdę mówiąc) okłamała mnie i niemalże doprowadziła do mojej śmierci? Nie tylko ona mnie zdradziła. Sebastian, jedyny mężczyzna od dziesięciu lat, w którym mogłabym się zakochać, również okazał się zdrajcą.

W moich myślach pojawia się twarz Sary, osoby, na której lojalność naprawdę mogę liczyć. Krzywię się z bólu, przypominając sobie Sarę w szpitalnym łóżku, bladą i słabą. Przeżywała trudny okres, walczyła z chorobą, która wolno, ale nieubłaganie niszczyła jej ciało. A jednak próbowała pomóc mi odkryć prawdę o rzekomej śmierci Jareda i niemal ją to zabiło.

Na szczęście już jest w domu. Muszę do niej zadzwonić, sprawdzić, jak się czuje. Przewracam się na bok, biorę torbę z nocnego stolika i wyjmuję komórkę. Mało brakowało, a bym jej nie kupiła. W sklepie nie mieli telefonu na kartę, a poza tym musiałabym zapłacić kartą kredytową, co łatwo naprowadziłoby na mój trop ludzi, którzy być może mnie szukali. Nie mogłam jednak obyć się bez telefonu komórkowego - przynajmniej Sara i rodzice musieli mieć ze mną kontakt. Kupiłam więc telefon, opierając się chęci wybrania najtańszego modelu, i szarpnęłam się na BlackBerry, dzięki któremu mam również dostęp do swojej skrzynki internetowej.

Z pamięci wybieram numer Sary, stukam palcem w słuchawkę, kiedy rozlega się drugi i trzeci sygnał.

- Halo - słyszę męski głos.

Przez chwilę mam ochotę się rozłączyć. Chłopak Sary, Ryan Giles, to brytyjski policjant. Czy zgłosi tę rozmowę, jeśli ktoś mnie szuka?

- Cześć, Ryan - mówię jednak, postanawiając zaryzykować. - Tu Jordan Weiss.

- Jordan! Co u ciebie? - Na dźwięk jego zatroskanego, przyjaznego tonu czuję ogromną ulgę. Ryan mnie nie wyda. Oczywiście, że nie.

Jest niesłychanie lojalny wobec Sary - od chwili kiedy przed paroma tygodniami poznali się w szpitalu.

- Wszystko w porządku. Jest Sara? - Spoglądam na zegar, przypominając sobie, że o tej porze Sara często ucina sobie odprężającą drzemkę. - Nie budź jej, jeśli śpi.

- Nie śpi. Zaraz ją poproszę.

W słuchawce rozlega się szelest, kiedy telefon przechodzi z rąk do rąk, po czym słyszę rzeński głos Sary z akcentem z RPA.

- Jordie, coś się stało?

- Nie, nic - uspokajam ją szybko. Opieram się chęci wyjawienia, gdzie jestem, dla bezpieczeństwa nas obu.

- Czy...?

Nie kończy pytania, ale wiem, że chodzi jej o to, czy znalazłam Ja-reda.

- Jeszcze nie.

W słuchawce zapada cisza. Sara nigdy mnie nie oceniała, zawsze dawała mi bezwarunkowe wsparcie. Mogłabym zadzwonić w środku nocy i oznajmić, że zamierzam wspiąć się na Empire State Building, a ona tylko by spytała, o której godzinie ma przyjść i jaką linę przynieść. Wyczuwam jednak, że się martwi: uważa, że poszukiwania Jareda na podstawie jedynej informacji w postaci karteluska to istne szaleństwo, a nadzieje mogą się okazać płonne.

- Na moją prośbę Ryan sprawdził Chrisa - mówi w końcu, zmieniając temat.

Ogarnia mnie poczucie winy, kiedy wyobrażam sobie przyjaciela Jareda, kapitana naszej zgranej studenckiej załogi wioślarskiej. To Chris wyjawiał mi swoje wątpliwości dotyczące śmierci Jareda, to on upierał się, że utonięcie w rzece nie ma żadnego sensu. I miał rację. Kiedy jednak zaczęliśmy szukać prawdy kryjącej się za śmiercią Jareda, stałam się nieufna wobec Chrisa. To, że się przespaliśmy, na pewno nie pomogło. Po tamtej nocy unikałam go, jeszcze bardziej podejrzliwa po tropach, które fałszywie przedstawił mi Sebastian. W końcu nieomal za-

strzeliłam Chrisa, zanim się dowiedziałam, że Sebastian go wystawił. Na szczęście rana nie okazała się śmiertelna.

- Jak on się czuje?

- Nabiera sił. Za parę dni mają go wypisać ze szpitala. Dostał z „Timesa” propozycję napisania artykułu o tym, co mu się przydarzyło. Chodzi tylko o strzelaninę i proces dochodzenia do zdrowia - dodaje szybko. - Nie o szczegóły dotyczące śledztwa.

- Cudownie. - Chris był światowej klasy dziennikarzem, dopóki upiory przeszłości nie zrujnowały jego kariery i małżeństwa. - Zasługuje na nowy początek.

- Wszyscy na niego zasługujemy - odpowiada Sara znaczącym tonem. Milczę. Wiem, że chciałaby, żebym zrezygnowała z poszukiwania Jareda i rozpoczęła zupełnie inne życie. - Ryan powiedział Chrisowi, że wyjechałaś w związku z pracą.

- Dzięki. - To okropne, że inni muszą kłamać dla mojego dobra, lecz dopóki nie odnajdę Jareda, nie mogę zdradzić swoich planów. Wtedy zadzwonię do Chrisa, powiem mu całą prawdę i raz na zawsze zostawię za sobą upiory przeszłości. - A jak ty się czujesz? - pytam.

- Doskonale. - Sara odpowiada głosem tak radosnym, że prawie jej wierzę. - Maureen skontaktowała się ze mną w sprawie kliniki w Genewie, powiedziała, że już wszystko załatwione. - Urywa, a ja wstrzymuję oddech, modląc się w duchu, by Sara nie odrzuciła tej najlepszej i jedynej szansy na walkę z chorobą. - Jordan, nie musiałaś... - Głos jej się łamie. - Było ci tak ciężko, a pomyślałaś o mnie...

- To nic takiego. - Załatwienie leczenia Sary w genewskiej klinice było częścią umowy z Mo, kolejną łapówką za moje milczenie. - A więc jedziesz?

- Tak. Ryan wziął urlop. Wyjeżdżamy jutro. Cicho wypuszczam powietrze.

- Wspaniała wiadomość.

- Wszystko zawdzięczam tobie. - W jej głosie brzmi szczerłość.

- Saro, mogę cię poprosić o przysługę?

- Oczywiście - odpowiada szybko. - Dla ciebie wszystko.
- Zadzwoń do moich rodziców. Powiedz, że wysłano mnie za granicę i że wszystko u mnie w porządku. Ale nie mów, że odeszłam z Departamentu Stanu, dobrze? Kiedy tylko będę mogła, zadzwonię do nich sama.
- Nie ma sprawy, za chwilę do nich zadzwonię. Obiecujesz, że będziesz na siebie uważać?
- Obiecuję. - Wiem, że ma na myśli bandytów, którzy ścigali mnie w Anglii, niebezpieczeństwo, w którym obie się znalazłyśmy. - Niedługo się odezwę.
- Kocham cię - mówi i natychmiast się rozłącza.

Przez parę sekund trzymam telefon, wyobrażając sobie Sarę wtuloną w Ryana. Zanim go poznała, była pewna, że już nigdy nie znajdzie sobie kogoś i resztę życia spędzi w samotności. W szpitalu spotkała mężczyznę, który pokochał ją natychmiast i bez wahania pomimo problemów, jakie stwarzała jej choroba. Nigdy by się nie spotkali, gdyby nie została napadnięta, gdyby nie śledztwo, z powodu którego ściągnięto mnie do Anglii.

Niezmiernie się cieszę jej szczęściem, ale jednocześnie czuję lekkie ukłucie zazdrości. Sara nie jest sama, a ja... Niespodziewanie ogarnia mnie smutek. Co się ze mną dzieje? Przez ostatnie dziesięć lat byłam samotna, nie licząc krótkich skoków w bok, lecz nigdy dotąd mnie to nie martwiło. Czyżby chodziło o zbliżenie się do Sebastiana, o to, że niemalże otworzyłam się przed nim i nieopatrznie go polubiłam? Nie, to coś więcej, świadomość, że Jared żyje, szansa, że mogę go znowu zobaczyć - to wszystko ożywiło emocje, które pogrzebałam dawno temu, czyli tęsknotę i nadzieję. A emocje te okazują się o wiele bardziej przerażające niż wszystko inne.

Ale razem z ekscytacją pojawiają się negatywne myśli. Fakt, że Jared żyje, oznacza, iż każda moja myśl i każda decyzja, jaką podjęłam w ciągu ostatnich dziesięciu lat, opierała się na fałszywych założeniach. W moim umyśle nagle pojawia się obraz: jasne oświetlenie w gabinecie lekarskim, metalowy, lodowato zimny stół pod moją cienką koszu-

lą. Podnoszę rękę, jakbym chciała zasłonić tę wizję, którą na tak długo wypędziłam ze świadomości. Dostyc. Odsuwam od siebie to wspomnienie. Nie dam rady. Nie teraz.

Z powrotem chowam telefon do torby. Przypomina mi się sceptyczny ton w głosie Sary, kiedy jej opowiadałam o swoich poszukiwaniach. Co ja tu robię? Powodowana impulsem bez namysłu wskoczyłam do samolotu, mając jedynie adres, pod którym ktoś w nieodległej przeszłości widział Jareda. Kiepski trop i niezbyt wnikliwe śledztwo. Nie tego mnie uczyli w Departamencie Stanu na szkoleniu dla agentów wywiadu.

Sięgam do torby i wyjmuję teczkę od Mo. Chcę jeszcze raz przejrzeć dokumenty, sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyłam. Z teki wysuwa się koperta z czekami podróżnymi, a kiedy wkładam ją z powrotem do torby, wyczuwam w środku coś twardego. Odwracam kopertę, a wtedy wypada z niej pierścionek.

Podnoszę go pośpiesznie i rozpoznaję natychmiast. To pierścionek zaręczynowy, którego Jared nigdy mi nie dał. Znalazłam go w bankowym sejfie w Cambridge, gdy szukałam dowodów na rzekomą śmierć Jareda. Początkowo myślałam, że to tylko sentymentalna pamiątka, dowód na to, że jego uczucie do mnie było silniejsze od zwykłego studenckiego zauroczenia, że może nawet - gdybyśmy dostali szansę - udałoby nam się stworzyć udany związek. Dopiero tamtej nocy nad Tamizą, podczas konfrontacji z Sebastianem, zrozumiałam prawdę: Jared zostawił ten pierścionek jako wiadomość dla mnie. Na wewnętrznej stronie wygrawerował numer konta bankowego, które miało mnie doprowadzić do ukrytych informacji.

Teraz, zaskoczona, oglądam pierścionek. Co on tu robi? Oddałam go policji, wiedząc, że jest ważnym elementem śledztwa. Nie wyobrażam sobie, za jakie sznurki Mo musiała pociągnąć, by go odzyskać i wysłać do mnie. Kolejny dowód jej pokuty za to, co zrobiła.

Obracam pierścionek w dłoni. Zwykła obrączka z białego złota z jednym idealnym kamieniem. Dokładnie taki bym wybrała: wyglądał jak część mnie samej, nie zaś biżuteria, którą nosiłam bardzo rzadko. Ale

poza fizycznym pięknem dech mi zapiera całe jego znaczenie - życie, które mogłam wieść u boku Jareda, niespełnione obietnice.

Jeszcze przez chwilę trzymam pierścionek, zastanawiając się, co z nim zrobić. Nie mogłabym go nosić, w końcu Jared nigdy oficjalnie mi się nie oświadczył. Ukryję go w bezpiecznym miejscu.

Wkładam pierścionek do kieszeni i znowu sięgam po teczkę. Oczywiście przeglądałam jej zawartość kilkadziesiąt razy, najpierw na Heathrow przed odlotem i później, kiedy dotarłam na miejsce. Nie znalazłam w niej zbyt wiele cennych informacji, zaledwie kilka raportów wywiadu na temat miejsca pobytu Jareda w ciągu ostatnich lat. Kiedy ułożyłam je w porządku chronologicznym, mogłam podążać jego niewyraźnym śladem: w 1998 roku, mniej więcej pół roku po swojej rzekomej śmierci, był w Buenos Aires, potem w Belize, Chile i Paragwaju. Później pojawia się luka aż do 2003 roku, kiedy to wytropiono go w Zimbabwie. Przeprowadzał się, żeby go nie złapano, czy też chodziło o coś więcej? W jaki sposób zarabiał na życie?

W teczce jest też kilka czarno-białych ziarnistych zdjęć - luzem lub z dołączonymi kopiami raportów. Rozkładałam je na łóżku i uważnie się im przyglądałam. Na większości nie rozpoznaję Jareda, ma dłuższe włosy i gęstą brodę, nosi okulary przeciwsłoneczne i czapkę z daszkiem głęboko nasuniętą na czoło. Ale na jednym - tym, które pokazałam blondynce - Jared stoi na zatłoczonej ulicy, ma gładko ogoloną, wyraźnie widoczną twarz. Przesuwam palcami po jego policzkach i oczach o znękanym spojrzeniu. Czy teraz boi się tak samo jak wtedy, gdy zrobiono mu tę fotografię?

Przysuwam zdjęcie bliżej i po raz pierwszy dostrzegam coś na ramieniu Jareda, tuż koło szyi. Dłoń. Wpatruję się w tłum za nim. Zza ramienia Jareda wygląda jakaś kobieta. Wstrzymuję oddech. Ma krótsze włosy i oczy zasłonięte ciemnymi okularami, ale rozpoznaję kształt podbródka.

To tamta blondynka. Ta, która powiedziała, że nigdy nie widziała Jareda.

Siadam. Moje podejrzenia się potwierdziły. Kłamała. Była z nim, kiedy robiono to zdjęcie. Gdy jej to pokażę, nie będzie mogła zaprzeczyć, że go знаła. Łapię torbę i ze zdjęciem w ręce wybiegam z pokoju hotelowego.

Na ulicy szybko ruszam w stronę apartamentowca. Trop, który mi podsunęła Mo, jednak okazał się prawdziwy. Może Jared nadal mieszka w Monako? Zatrzymuję się, wstrząśnięta tą myślą. Nie, to mało prawdopodobne. Gdyby był w tamtym mieszkaniu, na pewno nie ukrywałby się przede mną. Może jednak znajduje się gdzieś niedaleko.

Znowu idę przed siebie, powstrzymując się, by nie biec. Kiedy docieram na ulicę, przy której stoi apartamentowiec, zerkam na kawiarnię, a potem rozglądam się na obie strony, szukając mężczyzny, którego widziałam tu wcześniej, sprawdzam, czy wrócił. Nigdzie go nie widzę.

Maszeruję pod drzwiami domu i przyglądam się dzwonkom, tym razem zbyt niecierpliwa, by poczekać na to, aż ktoś wyjdzie. Pod dolnym dzwonkiem wisi tabliczka z nazwiskiem Boucheau. Czy to nazwisko blondynki? Dwa razy szybko wciskam dzwonek i przez parę sekund wstrzymuję oddech. Nikt się nie odzywa, więc wciskam następny guzik, podpisany „Martine”.

W głośniczku obok rozlega się trzask.

- *Oui?* - Głos należy do kobiety, ale jest niższy i brzmi starzej, nie pasuje do tamtej blondynki.

Ogarnia mnie rozczarowanie. Może to dzwonek do innego mieszkania? Nieważne. Muszę dostać się do środka.

- Kurier - mówię, krzyżując palce na szczęście. Po chwili ciszy rozlega się kliknięcie i drzwi się otwierają.

Nie mogąc złapać tchu, wspinam się po schodach na ostatnie piętro i po raz drugi tego dnia pukam do drzwi mieszkania. Zza nich dobiega głośnie szuranie. Serce wali mi jak młotem. To może być mężczyzna... może Jared.

Ale kiedy drzwi się otwierają, w progu pojawia się postawna, siwa kobieta w fartuchu sprzątaczk.

- Owi? - powtarza. Wyciera ręce w fartuch, po czym wyciąga je po paczkę. Biorę głęboki wdech. Mam nadzieję, że kobieta mówi po angielsku.

- Ta pani, która tu mieszka... - Podnoszę rękę i dotykam swoich ciemnych loków. - Blondynka... Sprzątaczką marszczy brwi, kręci głową. Nie rozumie. Przypominam sobie o zdjęciu.

- Ta. - Pokazuję jej zdjęcie. W oczach sprzątaczką pojawia się błysk zrozumienia. - Jest tutaj? Przygryza dolną wargę, a ja przez chwilę przypuszczam, że i ona skłamię.

- Nicole?
Znam już imię blondynki.

- *Oui*, Nicole. - Sprzątaczką ogląda się przez ramię. Wstrzymuję oddech z nadzieją, że zrobi krok do tyłu i zawoła Nicole.

Ale ona znowu kręci głową, podnosi ręce i macha nimi, jakby frunęła. Potem wskazuje w górę i wydusza z siebie jedno słowo po angielsku:

- Wyjechała.

3

- Wyjechała? - Nie kryję rozczarowania.

Sprzątaczką patrzy na mnie zmrużonymi oczami, podejrzliwie.

- Przepraszam. - Zmuszam się do uśmiechu i próbuję raz jeszcze. - Jestem przyjaciółką Nicole.

Mówiła, że dziś będzie w domu. - Wyraz twarzy sprzątaczką nie zmienia się. - Czy mogę skorzystać z toalety?

Zanim zdąży odpowiedzieć, prześlizguję się obok niej, wpatrując się w sypialnię po lewej stronie. Łóżko jest posłane, ale poza tym panuje tam bałagan: drzwi drewnianej szafy są otwarte na oścież, z szuflad wylewają się ubrania. Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądało mieszkanie, kiedy oglądałam je ponad ramieniem Nicole. Było wysprzątane, bez śladu chaosu. Jeśli Nicole rzeczywiście wyjechała, to pakowała się w wyjątkowym pośpiechu.

Podchodzę do łóżka, ignorując protesty sprzątaczką za mną, która prawdopodobnie próbuje mi wytłumaczyć, że toaleta znajduje się na drugim końcu mieszkania. Przyglądając się bałaganowi, czuję gonitwę myśli. Dokąd wyjechała Nicole? Rozrzucone ubrania nie dają mi żadnej podpowiedzi.

Cofam się, wyczerpana. Nagle mój wzrok pada na coś ciemnego, coś wystającego spod łóżka. Czubek męskiego brązowego półbuta.

- Babciu, dlaczego masz takie wielkie stopy? - mruczę, wyciągając but. Na oko to jedenastka - taki rozmiar nosił Jared.

Spokojnie. Skąd mogę wiedzieć, czy to but Jareda i jak długo tam leżał? Wkładam go z powrotem pod łóżko, wstaję i odwracam się do sprzątaczką.

- Dokąd? - pytam, naśladując jej machanie rękami. Ona jednak patrzy na mnie bez słowa: albo nie wie, albo nie chce powiedzieć, dokąd wyjechała Nicole.

Idę do łazienki na drugim końcu mieszkania i zamykam za sobą drzwi. Na umywalce nie ma żadnych przyborów toaletowych, ale ręcznik jest wilgotny, widocznie niedawno ktoś go używał. Kontynuując swoją maskaradę, przed wyjściem spuszczam wodę, a potem znowu rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu śladów. Nicole na pewno nie wyjechała daleko. Bez słowa szybko wychodzę z mieszkania.

Przed domem skręcam w prawo i pędzę na postój taksówek na rogu, gdzie uliczka krzyżuje się z większą ulicą. Wsiadam na tylne siedzenie pierwszej taksówki w rzędzie. W środku jest czysto, ale unosi się lekki, zatechły zapach papierosów.

- Poproszę na lotnisko Côte d'Azur - mówię. Ryzykuję, zakładając, że Nicole rzeczywiście planowała dokądś polecieć, tak jak twierdziła sprzątaczką.

Kiedy włączamy się do ruchu, opadam na fotel. Rozmyślam gorączkowo. Nicole zniknęła niespełna godzinę po naszym spotkaniu. Może wcześniej zaplanowała tę podróż? Ale kiedy widziałam ją wnoszącą zakupy do domu, nie sprawiła na mnie wrażenia osoby wkrótce wybierającej się w podróż. Nie, jej pośpieszny wyjazd prawie na pewno był wynikiem naszej rozmowy. Ciekawe, dokąd pojechała i czy Jared będzie na nią czekał.

Czterdzieści pięć minut później podjeżdżamy pod lotnisko. Ruch jest tu mniejszy, samochody i furgonetki prześlizgują się pod tablicę z napisem ODLOTY. Szybciej, myślę, wbijając paznokcie w dłonie, zniecierpliwiona tym, jak wolno podjeżdżamy. Powietrze jest ciepłe i gęste od spalin.

Kierowca zerka w tylne lusterko, o coś mnie pyta po francusku. Kręcę głową.

- Terminal pierwszy? - Wskazuje na najbliższy budynek. Są tu dwa terminale, a ja nie mam pojęcia, z którego Nicole odleciała.

- *Oui* - przytakuję z rezygnacją. Mam pięćdziesiąt procent szans. W końcu jesteśmy przy krawężniku. Płacę, wyskakuję z taksówki

i lawiruję między japońskimi turystami skupionymi wokół przewodnika. Wnętrze terminalu jest urządzone nowocześnie: ściany z ogrom-

nych szyb, stalowe belki pod sufitem. Biznesmeni z laptopami w neseserach i niewielkimi walizkami na kółkach śpieszą we wszystkich kierunkach, mijając młodych turystów z plecakami, którzy siedzą na ławkach albo na podłodze pod ścianami. Z głośników płynie kobiecy głos zapowiadający odloty - po francusku, a potem po angielsku. Ostatnia zapowiedź dotyczy odlotu samolotu do Amsterdamu.

Rozglądam się po hali. Gdzie jest Nicole? Mogła już wsiąść na pokład samolotu albo nawet odlecieć.

Na drugim końcu hali dostrzegam w tłumie jasnowłosą głowę kobiety zbliżającej się do stanowiska ochrony. Przepycham się w jej stronę, ale nagle kobieta się odwraca, a ja widzę, że chociaż wygląda świetnie, jest co najmniej trzydzieści lat starsza od Nicole.

Zatrzymuję się i zastanawiam nad kolejnym krokiem. Chcąc dostać się do wyjścia, muszę przejść koło stanowiska ochrony, co oznacza konieczność kupna biletu, by otrzymać kartę pokładową.

Rozglądam się po kasach i ruszam do najdalszej, gdzie kolejka wygląda na najkrótszą.

Podchodzę do lady stanowiska Air France. Kasjerka podnosi głowę.

- *Oui?*

- Bilet... do Paryża. - Wybieram najtańszy cel podróży. - W jedną stronę.

Kobieta przez parę sekund stuka w klawiaturę komputera.

- Siedemset dwanaście euro - mówi w końcu.

Szeroko otwieram oczy. Nie spodziewałam się, że będę musiała wydać tyle pieniędzy na bilet, którego w ogóle nie użyję. Nie mam jednak wyboru. Kiedy sięgam po portfel, przypominam sobie o zdjęciu Nicole, które wciąż ściskam w dłoni. Wyglądam je i podaję kasjerce.

- Czy widziała ją pani?

Zerka na zdjęcie, po czym z powrotem przenosi wzrok na ekran komputera i kręci głową.

- Czy mogłaby ją pani odnaleźć na liście pasażerów? Ma na imię Nicole... - Urywam, uświadamiając sobie, że nie znam jej nazwiska, postanawiam jednak zaryzykować i podać nazwisko z tabliczki pod dzwonkiem. - Martine. Muszę się dowiedzieć, dokąd poleciała.

Kobieta z wyraźną irytacją znowu podnosi głowę.

- Nie mogę tego zrobić. To poufne informacje.

- Ale... - Spostrzegam młodego bagażowego, który obserwuje nas kątem oka.

- Kupuje pani ten bilet czy nie? - pyta kasjerka ze zniecierpliwieniem.

Uznaję, że nie ma sensu kupować biletu, skoro nie wiem, dokąd ani nawet z którego terminalu Nicole leci.

- N-n-nie, dziękuję - mamrocze i odchodzę od kasy.

Spoglądam na bagażowego, który odszedł parę metrów dalej, jednak wciąż przygląda mi się z ukosa. Nie spuszczaając go z oczu, przeciskam się przez tłum. Po chwili bagażowy zbliża się do mnie i podaje mi jakąś torbę.

- To nie moje... - zaczynam, lecz uświadamiam sobie, że on tylko udaje, że mi pomaga.

Strzela oczami na obie strony.

- Szuka pani kogoś? - pyta po angielsku z francuskim akcentem. Kiwam głową i pokazuję mu zdjęcie.

- Widział pan tę kobietę?

- Dwieście euro.

Waham się. Nie chciałabym wydawać pieniędzy z moich szybko topniejących zasobów, ale jeśli bagażowy potrafi mi powiedzieć, dokąd Nicole się wybiera, warto się szarpnąć. Otwieram usta, żeby zaprotestować, lecz szybko je zamykam, sięgam do torby i podaję mu sto euro.

- Drugie sto dostanie pan, jeśli mi pan pomoże. Ta kobieta nazywa się Nicole Martine. - Bagażowy wstukuje imię i nazwisko do elektronicznego notesu, ale nagle przerywa i podnosi głowę. - Czy mógłby się pan pośpieszyć?

Nie odpowiada, patrzy ponad moim ramieniem. Denerwuję się coraz bardziej.

- Jeśli pan nie może...

- Tam. - Robi ruch głową, a ja patrzę w kierunku, który mi wskazuje. - To ona, nie?

Z toalety na drugim końcu hali wychodzi Nicole. Ruszam w jej stronę, słysząc za sobą protesty bagażowego domagającego się reszty zapłaty.

- Nicole!

Na mój widok Nicole zatrzymuje się, z ręką uniesioną do głowy. Spogląda ponad moim ramieniem, szukając drogi ucieczki. Jej twarz tężeje.

- Jordan... - mówi tonem zdradzającym, że tego ranka nie po raz pierwszy usłyszała moje imię.

- Powiedziałaś, że go nie znasz. - Blokuję jej drogę i wyjmuję z kieszeni zdjęcie, teraz niemalże zwinięte w kulkę. - Okłamałaś mnie.

Na jej twarzy pojawia się najpierw zaskoczenie, potem oburzenie i wreszcie rezygnacja.

- Na moim miejscu zrobiłabyś to samo.

Dociera do mnie, że Jared powiedział Nicole, kim jestem i co nas łączyło. Dlaczego jej zaufał i zwierzył się jej?

Nie ma jednak czasu na zazdrość. Nicole znowu patrzy w stronę stanowiska ochrony, kurczowo ściskając paszport. - Czy Jaredowi nic nie jest? - dopytuję się. - Gdzie jest? Mogę się z nim spotkać?

Rozgląda się na boki i głośno wypuszcza powietrze.

- Jaredowi nic nie jest - mówi cicho.

Serce podchodzi mi do gardła. Jaredowi nic nie jest. Żyje.

- Gdzie jest? - powtarzam.

- Nie mogę ci tego powiedzieć. Ale jest niedaleko. A jeśli kiedykolwiek ci na nim zależało, to zostaw go w spokoju. Z niedowierzaniem patrzę, jak idzie w stronę wyjścia, podaje paszport pracownikowi ochrony i kładzie torbę na taśmociągu. - Zaczekaj! - wołam, kiedy przechodzi przez wykrywacz metali. Odwraca się. - Czy możesz mu przynajmniej powiedzieć, że się widziałyśmy? Że próbuję go odnaleźć?

Nic nie potrafię odczytać z jej wyrazu twarzy. Bez słowa odwraca się i przechodzi przez wykrywacz metali.

- Czekaj! - wołam znowu, tym razem głośniej, ale ona jest już po drugiej stronie, za daleko, żeby mnie usłyszeć, nawet gdyby chciała. Robię krok do przodu i zatrzymuję się, kiedy znika w tłumie. Bez biletu nie przejdę przez ochronę, a zanim go kupię, Nicole już nie będzie.

Spoglądam na tablicę odlotów, przebiegam wzrokiem przez zapowiedzi lotów do różnych miejsc w Europie i Afryce Północnej. Nie zgadnę, dokąd leci Nicole. Idę z powrotem do kasy Air France, ale nie widzę bagażowego.

Przez chwilę się waham, po czym ruszam w stronę drzwi. Wyjście z lotniska będzie oznaczało uznanie, że Nicole mi się wymknęła, lecz tutaj niczego więcej się nie dowiem. Zrezygnowana wsiadam do taksówki i podaję kierowcy adres hotelu.

Kiedy taksówka odjeżdża spod terminalu, spoglądam w niebo, po którym, przez samotną chmurę, przelatuje samolot. Wyobrażam sobie, że Nicole leci do jakiegoś nieokreślonego miejsca, gdzie czeka na nią Jared, który mocno przytuli ją na powitanie. Ogarnia mnie zazdrość. Spotkanie po latach z Jaredem to moje marzenie - to ja powinnam być na miejscu Nicole. Spokojnie. Nie znam natury ich związku, nie wiem, co ich łączy.

Uciskam palcami skronie pulsujące bólem. Pod jednym względem moje poszukiwania nie okazały się porażką: Jared żyje. Nicole to potwierdziła. Ale świadomość, że nie mogę go odnaleźć, sprawia mi teraz jeszcze większe cierpienie. Tępy ból w żołądku, który czułam od wyjścia z gabinetu Mo, nasila się i wybucha.

Co dalej? Mogę tylko wrócić do mieszkania Nicole, spróbować wyciągnąć więcej informacji od sprzątaczk.

Kiedy podjeżdżamy pod dom Nicole, płacę kierowcy i wysiadam. Słońce schowało się za wysokimi budynkami, na chodnikach kładą się cienie palm. W kawiarni po drugiej stronie ulicy jest tłoczno od popołudniowych klientów. Przyglądam się im, podświadomie szukając mężczyzny z gazetą. Nie widzę go jednak.

Przy wejściu do budynku przyciskam dzwonek Nicole i wstrzymuję oddech. Sekundę później przyciskam go znowu, ale nikt nie odpowiada.

Sprzątaczką pewnie już wyszła. Zmęczona opieram się o framugę drzwi. Pulsujący ból w skroniach staje się nie do zniesienia. Nagle słyszę ciche skrzypnięcie. Spoglądam w dół i widzę, że drzwi wejściowe do budynku są lekko uchylone. Ten, kto ostatnio wychodził (być może ja, kiedy śpieszyłam się na lotnisko), nie zatrzasnął ich za sobą. Po raz pierwszy tego dnia czuję przyływ energii.

Wchodzę do budynku i pokonując po dwa stopnie naraz, biegnę na czwarte piętro. Pukam do drzwi mieszkania Nicole, nasłuchuję ciężkich kroków sprzątaczką. Łomoczę w drzwi, tym razem głośniejsze. Rozlega się tylko echo, a po nim zapada cisza.

Cofam się i opieram o poręcz schodów. Muszę się dowiedzieć, dokąd poleciała Nicole, a nie mogę czekać do jutra na powrót sprzątaczką. Czas jest bezcenny, z każdą minutą Nicole oddala się coraz bardziej, a wraz z nią moje szanse na odnalezienie jej. Jeśli mężczyzna z kawiarni rzeczywiście mnie śledzi, to mój dalszy pobyt w Monako byłby błędem. Nie, muszę poszukać tropów prowadzących do miejsca pobytu Nicole i muszę jak najprędzej opuścić to miasto. Gdyby tylko udało mi się zajrzeć do mieszkania, poszukać informacji... Próbuję przekręcić gałkę u drzwi, ale ani drgnie.

Czy dam radę tam wejść? Zaskakuje mnie pewna myśl. Dwa razy włamywałam się do pomieszczeń, nie licząc gabinetu Mo w ambasadzie, gdzie szukałam swoich akt. Raz było to mieszkanie w Liberii, za drugim razem biurowiec w San Salvador. W przeciwieństwie do tej sytuacji tamte włamania wykonałam na zlecenie, były częściowo usankcjonowane przez nasz rząd. Czy odważę się teraz zrobić to na własną rękę?

Raz jeszcze próbuję przekręcić gałkę. Zamek jest mosiężny, a drzwi solidne, dębowe. Nie dam rady się tam włamać.

Nagle czuję jakiś dziwny zapach. Świeża farba. Odwracam się w stronę pustego mieszkania na drugim końcu korytarza, przypomi-

najac sobie robotników, których widziałam tam wcześniej. Może któryś z nich ma klucze do innych mieszkań i udałoby mi się namówić go, żeby mnie wpuścił do mieszkania Nicole? Ostrożnie podchodzę do uchylonych drzwi.

- Halo! - wołam. Mój głos odbija się w pustym pomieszczeniu. Powoli otwieram drzwi. Wnętrze wygląda jak lustrzane odbicie apartamentu Nicole, sypialnia jest po prawej, nie zaś po lewej stronie.

Wchodzę, obawiając się, że za chwilę ktoś mnie przyłapie, spyta, co tu robię. W kącie stoją wyczyszczone kuwety na farbę, malarze skończyli na dziś pracę. Ostrożnie okrążam drabiny i po folii chroniącej podłogę ruszam w stronę tarasu.

Otwieram drzwi i wyglądam na zewnątrz. Balkon jest długi i wąski, rozciąga się na parę metrów w obie strony. Po lewej stronie znajduje się mieszkanie Nicole, balkonowe poręcze z kutego żelaza dzieli kilkadziesiąt centymetrów. Pośrodku dziedzińca na dole z fontanny tryska woda.

Mogłabym tedy przejść do apartamentu Nicole, ale balkony dzieli metr, a od ziemi dzielą mnie cztery piętra. Nawet jeśli mi się uda, to drzwi jej balkonu pewnie okażą się zamknięte. Wyglądają jednak na stare, nietrudno byłoby pokonać zamek.

Nagle nieruchomieję, uderzona własnym cynizmem. Kim ja jestem? Jeszcze nie tak dawno temu miałam zasady, przestrzegałam granic - pomimo niebezpieczeństw i niejednoznaczności charakteru mojej pracy. To jednak się zmieniło, kiedy Mo powiedziała mi prawdę o Jaredzie i o tym, jak mnie potraktowano. Poczułam się wtedy, jakby ziemia usunęła mi się spod nóg, a świat stanął do góry nogami. Teraz, gdy stoję na balkonie cudzego mieszkania, w pełni dociera do mnie znaczenie tej zmiany. Osoba, którą się stałam tamtej nocy, zrobiłaby wszystko, by zdobyć to, na czym jej zależy - bez względu na zasady, bo nikt ich nie przestrzegał; trzymanie się ich tylko zadziałałoby na moją niekorzyść.

Oczywiście nie prowadzę teoretycznych rozważań nad moralnością. Ryzyko jest realne i śmiertelnie poważne. Jeśli uda mi się przedostać na drugi balkon i wejść do mieszkania Nicole, dokonam włama-

nia w obcym kraju - i tym razem immunitet dyplomaty mnie nie ochroni. Zaszłam już jednak za daleko, by się wycofać.

Spoglądam przez palmy na budynek po drugiej stronie dziedzińca, sprawdzam, czy nikt mnie nie widzi. Potem idę na koniec balkonu i przerzucam torbę na balkon Nicole, krzywiąc się, kiedy ląduje z głośnym łupnięciem. Przekładam jedną nogę nad poręczą i ostrożnie wdrapuję się na zewnętrzny parapet. Biorę głęboki wdech i skaczę na balkon Nicole. Ląduję, boleśnie uderzając w jego zewnętrzną ściankę, obiema rękami łapię się poręczy. Z jękiem pokonuję barierkę.

Sprzątaczką powinna zrobić tu porządek - myślę, bezskutecznie próbując strzepnąć smugi kurzu ze spodni. Ponownie patrzę na budynek naprzeciwko, po czym odwracam się do przeszklonych drzwi i zaglądam przez cienkie, półprzezroczyste zasłonki do mieszkania Nicole. Sprzątaczką schowała do szafy porozrzucane ubrania, poza tym w apartamencie nic się nie zmieniło.

Nagle uświadamiam sobie, że w mieszkaniu może być zainstalowany alarm. Mój kolega z pracy, Lincoln, udzielił mi korepetycji z odłączania alarmu, ale z pewnością nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. Nie widzę jednak żadnych czujników ani innych śladów zabezpieczenia.

Popycham drzwi, lecz ani drgną. Wyjmuję z torby kartę kredytową i wsuwam ją za framugę. Okazuje się za twarda, szukam więc innej, która będzie na tyle elastyczna, żeby dotrzeć do zamka i go otworzyć. Wyjmuję starą kartę z wypożyczalni samochodów i próbuję raz jeszcze, zastanawiając się, czy tym razem się uda. Wreszcie słyszę kliknięcie. Wzdrygam się na dźwięk tego głośnego odgłosu i szybko ciągnę za klamkę. Drzwi otwierają się z cichym skrzypnięciem.

Nieruchomieję, nasłuchując głosów i innych oznak czyjejś obecności za drzwiami. Potem wchodzę i rozglądam się po wnętrzu. Lekki aromat perfum Nicole miesza się z cytrynowym zapachem świeżo umytych podłóg. Mój wzrok zatrzymuje się na biurku pod przeciwległą ścianą. Jego blat jest pusty, w górnym prawym rogu leży tylko nieużywany terminarz, po lewej stronie stoi kubek z długopisami.

Otwieram jedyną szufladę, ale znajduję w niej tylko trochę gumek--recepturek i pudełko ze zszywaczami. Przypomina mi się studenckie biurko Jareda zawalone książkami i notatkami. Najwyraźniej nie spędzał tu dużo czasu.

Spoglądam na podłogę i kosz na śmieci, którego sprzątaczką nie opróżniła. Szybko przy nim klękam. Kiedy przetrząsam jego zawartość, za mną rozlega się jakiś cichy szelest przypominający odgłos kocich ruchów. Zastygam. Ktoś tu jest.

Odruchowo sięgam po broń, lecz przypominam sobie, że już jej nie noszę. Zaczynam się prostować, ale nagle ktoś chwyta mnie za szyję.

Mężczyzna - czuję to po wielkości i sile uścisku jego rąk. Przez umysł przemyka mi wspomnienie o spotkaniu nad Tamizą: dłonie Sebastiana uciskające moją tętnicę szyjną, kiedy próbował mnie udusić.

Rozpaczliwie szarpie się do tyłu, próbując kopnąć napastnika w piszczel. Zaskoczony moim ruchem, zwalnia uścisk. Odskakuję, a on całym ciężarem zwała się na moje plecy. Razem lecimy do przodu, a tuż nad podłogą dostrzegam róg biurka pędzący mi na spotkanie. Próbuję podnieść rękę, ale nie zdążam się zasłonić i uderzam głową w twarde drewno. Z bólu aż ciemnieje mi w oczach.

Przez sekundę jestem tak zamroczone, że nie mogę się ruszyć. Potem podnoszę rękę do pulsującej skroni i kilka razy mrugam, usiłując pozbyć się błysków przed oczami. Mężczyzna leży na mnie. Czuję zapach jego potu i wody po goleniu, przypominają mi się jego ręce na mojej szyi.

Spanikowana próbuję się spod niego wydostać. Jego ciężar spada ze mnie, kiedy mężczyzna stacza się na bok. Z trudem siadam i wtedy rozpoznaję napastnika. Na moich nogach leży mężczyzna z kawiarni.

Co on tu robi? Może tu mieszka i zaatakował mnie, myśląc, że jestem włamywaczką? Próbuję wymyślić jakieś sensowne wyjaśnienie swojej obecności tutaj. On jednak nie wygląda na wściekłego ani choćby zaniepokojonego. Wstaje i przenosi wzrok ze mnie na drzwi, szukając drogi ucieczki. Nie, z pewnością i jego nie powinno tu być, tak samo jak mnie. Widocznie mnie śledził.

- Zaczekaj - mówię, kiedy rusza do drzwi. W pierwszym odruchu chcę jak najszybciej stąd uciec, ale ciekawość bierze górę. Dlaczego najpierw mnie atakuje, a już po chwili chce uciekać? Zatrzymuje się i odwraca. - Co tu robisz?

- Mógłbym spytać cię o to samo - odpowiada spokojnie, z silnym akcentem. - Balkon to dość niekonwencjonalne wejście do mieszkania.

Patrzemy na siebie skrzępowani.

- Widziałam cię wcześniej w kawiarni po drugiej stronie ulicy - odzywam się w końcu, masując miejsce na czole, gdzie zaczyna mi rosnać guz.

- Czytałem gazetę i piłem kawę. To się robi w kawiarni.

- Udawałeś, że czytasz gazetę - poprawiam go. - W rzeczywistości obserwowałeś ten budynek. A teraz wszedłeś do cudzego mieszkania i zaatakowałaś nieznaną kobietę.

- Ciebie też nie powinno tu być. Przestraszyłem się, kiedy wtargnęłaś przez balkon. - Pomimo niezwykłości sytuacji w jego głosie brzmi bunt. Nie zamierza się wycofać. Nie wyjaśnił, co tu robi i dlaczego chciał mnie udusić. - Nie chciałem, żebyś się przewróciła i uderzyła w głowę - dodaje z nutką skruchy. - Chciałem cię tylko unieszkodliwić i uciec. - Unieszkodliwić mnie. Jak miło. - Nic ci się nie stało? Robi krok w moją stronę, a ja się cofam.

- Dlaczego mnie śledzisz? - dopytuję się. Otwiera usta, ale przerywam mu, unosząc rękę. - Nie zaprzeczaj. Powiedz, dla kogo pracujesz i czego ode mnie chcesz.

Mężczyzna waha się, a na jego twarzy maluje się tak szczerza dezorientacja, że przez chwilę myślę, że się pomyliłam.

- Wcale cię nie śledzę.

Środkowy Wschód - dochodzę do wniosku, oceniając jego akcent po gardłowym sposobie wymawiania samogłosek.

- W takim razie co tu robisz?

- Ta kobieta - odpowiada. - Ta, którą obserwowałaś z kawiarni. Wszedłaś za nią do domu.

A więc mnie zauważył. Moje umiejętności maskowania się już nieco zardzewiały. Otwieram usta, by zaprzeczyć, że śledziłam Nicole. Przypominam sobie jednak, gdzie jesteśmy, fakt, że się tu włamałam, i uznaję, że nie ma sensu się wypierać.

- Tak - przyznaję. - Szukam kobiety, która tu mieszka. Rozmawiałam z nią, a zaraz potem wyjechała, nie wiem dokąd. Szukałam tu śladów.

- Ja też.

A więc i on śledzi Nicole. Ale jak się tu dostał? I po co? Może próbuje odnaleźć Jareda i nie ma dobrych zamiarów.

- Wyjechała - powtarzam.

- Wiem. Domyślasz się dokąd? Kręcę głową.

- Przez chwilę widziałam ją na lotnisku. - Głupio się czuję, przyznając, że już ją miałam, a jednak pozwoliłam, by mi się wymknęła. - Nie wiem, dokąd poleciała, ale miała paszport - dodaję.

Mężczyzna macha ręką.

- To nie Stany, gdzie wystarczy pokazać prawo jazdy, żeby pojechać do Disneylandu. W Europie wszyscy podróżują z paszportami. - W jego tonie brzmi lekceważenie, co wzbudza we mnie niechęć. Jednocześnie czuję ulgę, gdy okazuje się, że to nie jeden z tych zarozumiałych Amerykanów.

Wygląda na to, że nie wie, kim jestem ani czym się zajmowałam. - Poza tym do granicy jest tylko parę kilometrów. Mogła dojechać tam nawet na rowerze.

Postanawiam zignorować jego sarkazm.

- Może jednak mi powiesz... - zaczynam, ale nagle zauważam złożoną kartkę w jego dłoni. - Co to? Spogląda na mnie spokojnie.

- Niby dlaczego miałbym odpowiedzieć? Przez chwilę się waham, szukając słów. Ma rację.

- Bo zdaje się, że oboje szukamy tego samego. - Zmieniam taktykę, przypominając sobie wiedzę, którą wpajałam zagranicznym agen-

tom. Kluczem było ustanowienie wspólnego celu. - Moglibyśmy pomóc sobie nawzajem.

Zaciska wargi, na jego prawym policzku i podbródku pojawiają się dołeczki.

- Może. To chyba zależy od tego, czego szukamy i w jakim celu. Myślę, że tutaj nie powinniśmy o tym rozmawiać. Co powiesz na kolację dziś wieczorem?

- Nie - rzucam. - Nie znam cię. Na miłość boską, przecież mnie zaatakowałeś...

- Może w takim razie skoczymy na drinka? - nalega.

Gapię się na niego z niedowierzaniem. Przecież tu nie chodzi o wybór restauracji. Zresztą nie mam czasu. Muszę odnaleźć Jareda.

- Jak sama powiedziałaś, moglibyśmy sobie pomóc. Nie masz pojęcia, gdzie szukać tej kobiety - ciągnie. - Jestem, jak to się mówi, twoim najlepszym tropem.

- Nie, dzięki - odmawiam stanowczo. Nie mam najmniejszego zamiaru spędzić choć chwili w obecności człowieka, który mnie zaatakował.

Lekko opuszcza ramiona, sięga do kieszeni, wyjmuje kawałek papieru, coś na nim pisze i podaje mi kartkę.

- Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie.

Zanim zdążę zareagować, odwraca się i wychodzi z mieszkania.

4

Pół godziny później wchodzę do swojego pokoju hotelowego i rzucam się na łóżko, wciąż jeszcze roztrzęsiona po spotkaniu z mężczyzną w mieszkaniu Nicole. Po jego wyjściu zostałam tam jeszcze tylko chwilę. Przetrzęsłam zawartość kosza na śmieci, ale nic nie znalazłam. Wreszcie wyszłam w pośpiechu, obawiając się, że ktoś usłyszał odgłosy zamieszania. Do hotelu wróciłam okrężną drogą - na wypadek gdyby mężczyzna mnie śledził. Nigdzie jednak go nie widziałam. Kim był i czego chciał? Może, tak jak powiedział, po prostu szukał Nicole?

W skroni zaczyna mi pulsować. Muszę wziąć aspirynę, zanim dostanę potężnej migreny. Wiem, że nie powinnam tego robić na pusty żołądek. Przeglądam menu leżące na nocnym stoliku, krzywiąc się na widok zawyżonych cen. Kurs jest o wiele bardziej niekorzystny, niż to zapamiętałam. Podejrzewam, że stan mojego konta bankowego w Waszyngtonie zaczyna gwałtownie się pogarszać pod ciężarem nowo odkrytej niezależności.

Pieniądze nigdy nie były dla mnie przyjemnym tematem, dumam, odkładając menu i szukając w torbie napoczętej paczki krakersów, którą włożyłam tam wczoraj. Jako nastolatka nie przykładałam zbyt wiele wagi do tego, czy jesteśmy bogaci, czy biedni - mieszkaliśmy w skromnym, ale wygodnym szeregowcu na przedmieściu. Nasz dom niczym nie różnił się od innych, a ja nosiłam takie same solidne, niefirmowe ciuchy z wyprzedaży jak większość dzieciaków w mojej szkole.

Dopiero kiedy pojechałam do collegeu w Waszyngtonie i trafiłam w środowisko studentów z zagranicznymi samochodami i nowoczesnymi wieżami stereo, dostrzegłam dzielącą nas przepaść finansową. Szybko zaczęłam się wstydzić swoich niedostatków. W końcu dopięłam swego: podjęłam pracę na pół etatu w kilku kancelariach prawni-

czych i ośrodkach analitycznych, dzięki czemu zainteresowałam się tętniącym życiem politycznym miasta, zamiast wstąpić do jakiegoś stowarzyszenia studenckiego i imprezować. Zawsze jednak miałam uczucie, że pozostaję w tyle. Szukałam bankomatów, z których mogłam wyjąć dziesięć dolarów zamiast dwudziestu, zaglądałam do książeczki czekowej, zanim zdecydowałam się na zamówienie pizzy na spółkę. Dopiero w Cambridge, gdzie dostałam przyzwoite stypendium, mogłam wtopić się w środowisko bogatszych studentów i przestać się zamartwiać o finanse.

Praca w Departamencie Stanu również okazała się całkiem intratna. Ponieważ rząd opłacał wynajem domów, w których mieszkałam za granicą, przez niemal dziesięć lat nie musiałam płacić czynszu, dzięki czemu ze skromnej rządowej pensji zaoszczędziłam dość pieniędzy na niewielkie mieszkanko. Osiem miesięcy, które spędziłam w Waszyngtonie, zanim przeniesiono mnie do Londynu, okazało się kosztowne, a wysokie koszty utrzymania poważnie uszczupliły moje finanse.

Biorę w palce pierścionek zaręczynowy, który zawiesiłam na szyi na łańcuszku z białego złota. Jak zawsze w takich sytuacjach serce zaczyna mi szybciej bić. Mogłabym go oddać do lombardu i z uzyskanych pieniędzy żyć parę tygodni, a nawet miesięcy. Wracając do hotelu, rozważałam tę myśl. Nawet już weszłam do sklepu skupującego biżuterię i antyki, ale natychmiast zrezygnowałam i zamiast sprzedać pierścionek, kupiłam łańcuszek.

Kiedy teraz na niego patrzę, jeszcze bardziej niż zwykle pragnę odnaleźć Jareda. Ale jak? Sięgam do torby i wyjmuję komórkę. Potrzebuję nowego tropu. Na pewno mogę coś zrobić, poprosić kogoś o pomoc. Przez chwilę kusi mnie, żeby zadzwonić do Mo, podnieść koszt naszego targu, zażądać więcej informacji w zamian za dalsze milczenie. Nie chcę jednak, żeby się dowiedziała, że tak szybko utknęłam w martwym punkcie. Poza tym wątpię, by miała jeszcze jakieś informacje - nawet gdyby była skłonna mi pomóc.

Przypomina mi się dyrektor. Widzę jego rzednące włosy i firmową szklankę coca-coli. Paul van Antwerpen był moim drugim mentorem w Stanach, jednym z najwyższych oficerów wywiadu w departamencie. Wspominam nasze ostatnie spotkanie, kiedy wparowałam do jego gabinetu, domagając się przeniesienia z Waszyngtonu do Londynu, żeby być bliżej Sary. Wyglądał na szczerze zaskoczony - nie moją chęcią rezygnacji z prestiżowej funkcji łącznika z Radą Bezpieczeństwa Narodowego (wiedział, że często wyjeżdżam na placówki zagraniczne), ale prośbą o przeniesienie w miejsce, którego zawsze unikałam.

Ciekawe, jakie zadanie by mi wyznaczył, gdybym nie uparła się przy Londynie? Z pewnością coś by wymyślił. Van Antwerpen przypominał genialnego szachistę: przewidywał kolejne ruchy przeciwnika, na miesiące, a nawet lata. Stosował przemyślaną, ale elastyczną strategię -na wypadek gdyby rozwój sytuacji zmienił cele lub opcje. Lubiłam myśleć, że jestem jedną z najważniejszych figur na jego szachownicy, lecz jestem pewna, że kiedy wycofałam się z gry, by zaopiekować się Sarą, po prostu zastąpił mnie innym pionkiem. A jednak pomimo tego chłodu i profesjonalnego dystansu zawsze wiedziałam, że w prawdziwych tarapatach mogę na niego liczyć. Niestety odeszłam z departamentu i nawet do niego nie zadzwoniłam. Teraz to nie wchodzi w grę.

Potrzebuję pomocy. Muszę znaleźć inną osobę, do której mogłabym zadzwonić.

Nagle przychodzi mi do głowy Lincoln. W myślach widzę jego uśmiechniętą brązową twarz. Lincoln Heller był w mojej grupie nowych oficerów, z którymi niemal dziesięć lat temu zaczęłam pracować w służbach dyplomatycznych. Przez dziewięć tygodni razem chodziliśmy na wykłady dotyczące wszystkiego: od pracy w recepcji do przeżycia zamachu. Nasza grupa złożona z trzydziestu rekrutów - od świeżo upieczonych absolwentów college'ow aż po starsze osoby szukające innej ścieżki kariery - zżyła się dość mocno pomimo różnego pochodzenia. Razem gotowaliśmy, w weekendy jeździliśmy na wycieczki do Gettysburga albo Shenandoah. Większość z nas utrzymywała kon-

takt z resztą, kiedy przydzielono nam zadania i rozrzucono nas po całym świecie.

Lincoln należał do naszej grupy, chociaż nie do końca. Zaraz na początku zajęć, kiedy wykonywaliśmy ćwiczenie mające przełamać pierwsze lody - przepytaliśmy osobę siedzącą obok, a potem przedstawialiśmy ją reszcie grupy - wyznał, że pracuje dla CIA . Był jednym z wielu oficerów śledczych, którzy dla niepoznaki pracowali w Departamencie Stanu. Wyjawiłam jego prawdziwą tożsamość reszcie grupy. Wszyscy zachowaliśmy ją w tajemnicy.

Wykonywaliśmy różne zadania i nigdy nie pracowaliśmy wspólnie, ale przez wszystkie te lata pozostaliśmy sobie bliscy. Lincoln szybko awansował, odnosił sukcesy w ważnej pracy w terenie. Parę lat temu niechętnie przyjął pracę za biurkiem w Waszyngtonie, gdyż nie mógł już dłużej znosić rozłąki ze swoją żoną, Arlene, i dwiema córkami. W zeszłym roku, parę miesięcy po przyjeździe do Waszyngtonu, bywałam na obiadach w ich domu w Bethesda.

Z pamięci wybieram jego numer w Langley, wahając się przy ostatniej cyfrze. Nie wiem, czy Lincoln będzie mógł mi pomóc, lecz przynajmniej wierzę, że nikomu nie powtórzy naszej rozmowy. Wciskam guzik „Połącz”.

- Heller. - W słuchawce szybko rozlega się głęboki, ale chłodny baryton.

Słyszając znajomy głos, cicho wypuszczam powietrze.

- Lincoln, tu Jordan.

- Jordan! - Jego głos zdaje się wypełniać cały pokój. - Co u ciebie? Spoglądam na zegarek. U niego dochodzi południe. Wyobrażam sobie, jak popija kawę, czytając codzienne raporty.

- Dzwonię nie w porę?

- Oczywiście, że nie. Gdzie jesteś? Słyszałem, że nagle wyjechałaś. Ogarnia mnie lęk. Skąd o tym wie? Departament to mały świat.

Prośba o wyprowadzenie się z domu albo oddanie służbowego laptopa szybko nakręciłaby spiralę plotek. Nie spodziewałam się jednak, że wiadomości rozchodzą się aż tak szybko.

- Szkoda, że nie wpadłaś przed wyjazdem - dodaje.

Z ulgą stwierdzam, że mówi o moim wyjeździe z Waszyngtonu do Londynu, nie zaś o najnowszej informacji, że na dobre odeszłam z departamentu.

- Przepraszam, że nie pożegnałam się z tobą osobiście. Wszystko stało się tak nagle. To długa historia, obiecuję, że kiedyś ci ją opowiem. - Urywam, zastanawiając się, ile jeszcze mogę mu powiedzieć. Jeśli chcę poprosić go o pomoc, powinnam uchylić rąbka tajemnicy. Biorę głęboki wdech. - Niestety to nie wszystko. Wyjechałam z Londynu... i odeszłam z departamentu.

- Nie rozumiem.

- Złożyłam rezygnację. Nie odpowiada.

- Połączenie się rwie - mówi po paru sekundach. - Zadzwoń do mnie pod numer 703-555-7976.

Odczekaj pięć minut, dobrze?

- Dobrze. - Rozłączam się i gapię na telefon, zdezorientowana nagłą zmianą zachowania Lincolna. Może Lincoln jest tak bardzo oddany firmie, że nie zechce ze mną rozmawiać? Nawet jeśli zechce mi pomóc, nigdy nie powinnam była go stawiać w takim położeniu. Być może nie powinnam dzwonić, ale za późno na wycofanie się.

Mijają dwie minuty, trzy. W końcu wybieram numer, który Lincoln mi podyktował, i wstrzymuję oddech, gdy w słuchawce kilkakrotnie rozlega się sygnał.

- Jordan? - W końcu słyszę jego zdyszany głos. - Przepraszam, nie chciałem rozmawiać przez telefon służbowy. - Sądząc po odgłosach z otoczenia, wyszedł z domu. - Co się stało? Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku - odpowiadam. Właściwie to prawda, choć nie do końca.

Słyszę, jak zapala papierosa, choć dawno temu rzucił palenie. Arle-ne chyba *by go* zabiła, gdyby się dowiedziała.

- W takim razie dlaczego, do diabła, odeszłaś? - pyta, najpierw głęboko się zaciągając dymem. W jego głosie brzmi niedowierzanie. Były w naszej grupie osoby, które wiedziały, że nie zostaną długo, dyle-

tanci chcący popробować życia dyplomaty; dostali listy uwierzytelniające, jednak brakowało im wytrzymałości niezbędnej do wiecznego przemieszczania się z miejsca na miejsce. Ale Lincoln i ja zawsze się od nich różniliśmy. Od samego początku byliśmy skazani na tę pracę. Odnależliśmy swoje miejsce w osobnych instytucjach, praca pochłoneła nas bez reszty. Chętnie poświęcaliśmy się, jeżdżąc po całym świecie, co było ceną ekscytacji i prestiżu. Zawsze pojechalibyśmy tam, dokąd by nam kazano. W każdym razie tak nam się wydawało. Teraz Lincoln pracował za biurkiem, żyjąc życiem młodych oficerów w terenie. Z kolei ja całkowicie zrezygnowałam z pracy w departamencie. Lincoln wiedział, że tylko coś bardzo ważnego skłoniłoby mnie do podjęcia takiej decyzji.

- Hmm, to dość skomplikowane. - Przygryzam dolną wargę, zastanawiając się nad krótką wersją. - Poprosiłam o przeniesienie do Londynu, żeby zaopiekować się chorą przyjaciółką ze studiów. Ale okazało się, że ktoś mnie wystawił.

- Poważnie? Kto?

Waham się. Mam ochotę powiedzieć więcej, niż powinnam.

- Powiedzmy, że osoby lepiej zarabiające niż my.

- Dlaczego ktoś miałby zrobić coś podobnego? - pyta niecierpliwie, jakby rozmawiał z dzieckiem. W jego głosie brzmi sceptycyzm.

- To długa historia. Ma związek z moim chłopakiem ze studiów, Jaredem Shortem.

Słyszę, że zapala następnego papierosa.

- Jared - mówi powoli. - To ten, który...?

- Który zginął? Tak, w każdym razie tak mi się wydawało. - Słyszę chłód we własnym głosie. - Okazało się, że i to było kłamstwo. - Ale to Jared mnie oszukał, myślę, po raz pierwszy zła na niego.

W słuchawce zapada cisza. Wyobrażam sobie, jak Lincoln próbuje sobie przyswoić moje wyjaśnienie, chce powiedzieć, że to nie może być prawda. Pracował jednak w departamencie dość długo, by wiedzieć, że to całkiem możliwe - za odpowiednią cenę każdy z nas weźmie udział w cudzej grze.

- Odeszłam więc z departamentu i teraz szukam Jareda - mówię w końcu.
- Czy zwykły urlop by nie...? - zaczyna, ale urywa w pół zdania. Z wdzięcznością uświadamiam sobie, że Lincoln nie będzie próbował wybić mi tego z głowy, nawet jeśli uznał, że zwariowałam. Podobnie jak Sara to jedna z niewielu osób, na które pod tym względem mogę liczyć. - Jak mogę ci pomóc? - pyta, domyślając się, po co zadzwoniłam.
- Chciałabym, żebyś znalazł informacje na temat pewnej osoby, jeśli to możliwe. Nie chcę narażać cię na kłopoty.
- Nie ma sprawy. O kogo chodzi?
- Nicole Martine. - Podaję mu nazwisko spod dzwonka na drzwiach, jedyne, jakie znam. - Chyba jest Francuzką. Mieszkała w Monako na rue des Lilas dwanaście. Zna Jareda, chociaż nie mam co do tego całkowitej pewności. Interesuje mnie, czym się zajmuje, gdzie przebywa, gdzie mieszkała, wszystko. W słuchawce zapada cisza. Wiem, że Lincoln zastanawia się, kim jest Nicole i co ją łączy z Jaredem.
- Mam poszukać informacji również na temat Jareda?
- Szybko oceniam ryzyko. Z powodu swoich badań Jared już dawno temu znalazł, się pod lupą wywiadu, Mo mogła mi nie powiedzieć wszystkiego, ale nie chcę wywoływać zainteresowania jego osobą.
- Jeśli uda ci się zachować dyskrecję. Mo przekazała mi wszystkie informacje, jakie miała, jednak nie zaszkodzi spróbować.
- Dyskrecja zapewniona - obiecuje. Podaję mu nazwiska, którymi Jared posługiwał się przez ostatnie dziesięć lat. - W porządku. Muszę teraz iść na spotkanie, ale prześwietlę ich, kiedy tylko będę mógł. Zadzwoń do ciebie?
- Pewnie. Podam ci swój e-mail na wypadek, gdybyś chciał mi coś przysłać. - Dyktuję adres swojego konta na hotmailu, które założyłam w zeszłym roku w Waszyngtonie, by żarty od moich rodziców nie mieszały się ze sprawami zawodowymi. - Bardzo ci dziękuję. Pozdrów ode mnie Arlene i dziewczynki.

Rozłączam się, kładę się na plecach i wbijam wzrok w sufit, zastanawiając się, co Lincoln znajdzie. Może nic i co wtedy? Przypomina mi się mężczyzna z mieszkania Nicole. Po raz setny zastanawiam się, kto to taki i czego chce od Nicole.

Odruchowo wyjmuję karteczkę od niego, przypominając sobie jego zaproszenie. Wcale nie chcę się z nim spotykać, ale nie mam innych planów na wieczór. Może warto poświęcić godzinę, żeby sprawdzić, co wie?

Wybieram numer zapisany na kartce. W tej samej chwili z paniką uzmysławiam sobie, że nawet nie znam jego imienia. Nie zdążam się rozłączyć, bo rozlega się kliknięcie i w słuchawce słyszę już znajomy męski głos z silnym obcym akcentem.

- *Oui?*

- Tu Jordan. - Celowo podaję tylko swoje imię. Staram się powstrzymać drżenie w głosie. - Poznaliśmy się dzisiaj...

- A, tak. - Nie wydaje się ani trochę zaskoczony moim telefonem. Nie zamierza ułatwić mi sprawy, uświadamiam sobie, kiedy w słuchawce na parę sekund zapada cisza.

- Zaproponowałeś mi spotkanie. Mówiłeś, że masz dla mnie jakieś informacje - dodaję szybko, przeklinając własną nieporadność.

- Le Grill o ósmej. - Nie czeka na odpowiedź. - Do zobaczenia. - Rozlega się kliknięcie i połączenie zostaje przerwane.

5

Szybkim krokiem idę przez place du Casino i mijam Casino de Monte Carlo - ogromny rokokowy pałac otoczony wypielegnowanymi ogrodami biegnącymi przez cały jeden bok placu. Od swoich studenckich wypraw do Monako pamiętam to kasyno, ale widywałam je tylko z oddali. Przyjaciółka, która pozwoliła nam nocować u siebie na podłodze, przewiozła nas koło niego, zanim wybraliśmy się na wybrzeże do Antibes i Cannes. Nie weszliśmy do środka: pewnie i tak by nas nie wpuszczono w postrzępionych dzinsach i flanelowych koszulach. Teraz, gdy przyglądam się eleganckim gościom wchodzącym przez obsadzoną palmami bramę, czuję się równie nie na miejscu jak tamta luzacka studentka, którą kiedyś byłam.

Na szczęście nie muszę tam wchodzić - według przewodnika, który znalazłam w swoim hotelowym pokoju, Le Grill znajduje się na ostatnim piętrze hotelu de Paris sąsiadującego z kasynem. Wchodzę do wykwintnego hotelowego holu i ruszam do windy. Wsiadam na górze i widzę błękitno-białą jadalnię zakończoną tarasem na świeżym powietrzu. Przyglądam się klientom, młodym i stylowo ubranym. Sączą koktajle, czekając na wolny stolik. Nigdzie nie widzę mężczyzny, z którym się umówiłam.

Spoglądam na zegar nad barem i zauważam, że jest już dziesięć po ósmej. Garbię się ze zmęczenia. Powinnam obmyślać kolejny krok przybliżający mnie do Jareda, wsiąść do samolotu. Nie wiem jednak, dokąd pojechała Nicole, zabrakło mi już tropów, nie mam się do kogo zwrócić po pomoc. Rozmowa z tym mężczyzną to moja jedyna szansa - zakładając, że mnie nie wystawił.

W lustrze pojawia się znajoma postać za moimi plecami. Mężczyzna jest o wiele przystojniejszy, niż zapamiętałam. Jego opalenizna

mocno się odcina od jasnego koloru lnianej sportowej marynarki. Teraz wydaje mi się mniej muskularny, smuklejszy.

- Dobry wieczór - mówi. Czekam na przeprosiny za spóźnienie, ale nadaremnie. Czuję lekką irytację, kiedy przypomina mi się jego gwałtowne zachowanie w mieszkaniu Nicole. Nie muszę jednak lubić jego towarzystwa. Mogę wyjść, kiedy tylko wyciągnę od niego parę informacji.

Podchodzi do nas *maître d'hôtel*.

- Monsieur Bruck. - Wymawia to nazwisko ze swobodą świadczącą o tym, że mój towarzysz był tu już wiele razy. - Pański stolik jest gotowy.

Zaskoczona, spoglądam na nieznanego. Zgodziłam się tylko na drinka, nie na kolację. Czyżby był aż tak bezczelny? *Maître* prowadzi nas przez restaurację na werandę do okrągłego koktajlowego stolika z zapierającym dech w piersiach widokiem na morze i topniejące pomarańczowe słońce zachodzące za horyzont.

- Pomyślałem, że tu będzie łatwiej porozmawiać - mówi mężczyzna, kiedy *maître* odchodzi.

Moja irytacja maleje.

- Spytałabym o rezerwację, ale nie znałam twojego nazwiska - mówię znaczącym tonem.

- Oczywiście. Nie zostaliśmy sobie odpowiednio przedstawieni. Nazywani się Aaron Bruck. - Podaje mi dłoń nad stołem. Spostrzegam, jak bardzo jasnoniebieska koszula z rozpiętym kołnierzykiem podkreśla lazur jego oczu. - Znajomi mówią do mnie Ari.

- Jordan Weiss. - Ma taką minę, że zastanawiam się, czy już zna moje nazwisko. Postanawiam od razu przejść do sprawy. - Dlaczego szukasz Nicole? - W jego oczach pojawia się czujność, a ja natychmiast żałuję, że byłam tak bezpośrednia. Powolne działanie mające na celu zdobycie informacji to podstawowa zasada pracy w wywiadzie - niestety zupełnie niepasująca do mojej osobowości.

- Ja... - zaczyna, lecz w tej chwili pojawia się kelner i spogląda na nas wyczekująco. - Na co masz ochotę? - pyta Aaron.

Po paru ostatnich intensywnych dniach przydałoby mi się czyste martini, może nawet dwa, ale z wyjątkiem szkockiej z lodem, którą wypiałam podczas krótkiego lotu z Londynu, starałam się unikać pokusy znieczulenia się alkoholem. Muszę zachować trzeźwość umysłu.

- Poproszę białe wino - mówię.

- Może szampana? - proponuje. - Mają tu duży wybór.

- Brzmi nieźle. - Patrzę, jak fachowo zamawia butelkę, nawet nie zaglądając do karty. Z bliska widzę, że jego brązowe włosy przetykane są siwizną.

- Byłaś w kasynie? - pyta po chwili; zapomniał o moim pytaniu o Nicole albo woli je zignorować. Postanawiam na razie sobie odpuścić.

- Tak. To znaczy nie, nie w środku - poprawiam się, czując zażenowanie swoim brakiem wyrafinowania.

- Powinnaś tam zajrzeć. Jak pewnie wiesz, salony gier to wielka atrakcja tylko dla turystów.

- Bogatych turystów.

Bawi się paskiem od zegarka.

- Tak, oczywiście. Nie takich, jakich widuje się w Las Vegas. Chodzi mi jedynie o to, że zgodnie z tutejszym prawem obywatelom Monako nie wolno wchodzić do kasyn.

- Rozumiem. - Odchylam się na krzesło i spoglądam na światła skrzące się w oddali.

Kelner wraca z butelką, odkorkowuje ją.

- Skąd pochodzisz? - pytam, kiedy Aaron próbuje szampana. Ciekawość bierze górę.

Z aprobatą kiwa głową, a kelner nalewa nam szampana do kieliszków, wstawia butelkę do srebrnego kubelka i odchodzi.

- To skomplikowane - odpowiada Aaron, kiedy zostajemy sami. Przechylam głowę.

- Wydaje mi się, że to całkiem proste pytanie.

- Moja matka była sabra, Żydówką urodzoną w Izraelu. - Po angielsku mówi płynnie, choć z lekkim wahaniem. Wysięk, z jakim bu-

duże zdania, zanim je wypowie, w parze z obcym akcentem zdradzają, że nie jest to jego ojczysty język. - Rodzina mojego ojca pochodzi z Polski. Mój dziadek przeżył pogrom w Bełżcu, ale jego pierwsza żona tam zginęła. Po wojnie został w Polsce i otworzył sklep w Warszawie. Tam poznał moją babcię. Urodził się mój ojciec. W latach sześćdziesiątych, podczas komunistycznych czystek, przenieśli się do Stanów. Moja matka była studentką z wymiany zagranicznej, miała stypendium na uniwersytecie Johnsa Hopkinsa i tam się poznali. - Historię swojej rodziny opowiada beznamiętnie, jakby czytał raport.

- A więc urodziłeś się w Ameryce?

- Tak. Mam podwójne obywatelstwo: izraelskie i amerykańskie. Wychowałem się w Hajfie, ale większość letnich wakacji spędzałem z dziadkami w Baltimore.

- To musiało być ciekawe. - Powstrzymuję się od zasypania go pytaniami. Dlaczego nie pyta o mnie? Na pewno się zastanawia, dlaczego szukam Nicole, chyba że już zna powód.

Z głębi restauracji dobiegają dźwięki pianina.

- Ja też jestem Żydówką - mówię, jakbym próbowała udowodnić swoją wiarygodność. Nie wygląda na zaskoczonego. Może dlatego, że moje nazwisko brzmi jak żydowskie. A może z innego powodu? Ciemne, kręcone włosy, lekki garbek na nosie. Podaje mi kieliszek i bierze swój do ręki.

- Za wspólne interesy - mówi.

Unoszę kieliszek do nosa i chłonę aromat szampana, zanim upiję łyk. Ten toast to zaproszenie do rozmowy o Nicole. Zapada po nim krępująca cisza. Żadne z nas nie jest gotowe zacząć.

Bąbelki łaskoczą mnie w nos, kiedy sączę szampana. - Gdzie teraz mieszkasz? - pytam, zmieniając temat na łatwiejszy. W jego oczach pojawia się dziwny wyraz, Aaron na chwilę nieruchomieje, jakby przestraszony tym pytaniem. Znam tę reakcję: bierze się z życia na walizkach, z braku miejsca, które można by nazwać domem.

- W Tel Awiwie - odpowiada w końcu, ale bez przekonania. - Osiadłem tam kilka lat temu po odejściu z armii.

Ciekawe, czym teraz się zajmuje. Krótkie włosy mogą być pozostałością po życiu wojskowego, lecz spojrzenie drapieżnika i zwinne ruchy sugerują coś innego. Może nadal pracuje dla rządu. Czyżby i Izraelczycy szukali Jareda? To ryzykowna teza, ale już nic nie wydaje mi się nieprawdopodobne.

Chrząkam, wzmagam czujność.

- Zatrzymałeś się gdzieś w pobliżu?

- Mniej więcej. Nie mieszkam w hotelu, tylko na jachcie znajomego w porcie. Co cię sprowadza na południe Francji? - Napelnia mój kieliszek.

Przez chwilę się waham. Wolę zadawać pytania niż mówić o sobie, ale zbieranie informacji to coś w rodzaju tańca: muszę coś ofiarować za to, co do tej pory usłyszałam, zanim zdobędę nowe informacje.

- Pracuję jako dyplomata dla amerykańskiego rządu - zaczynam, starannie dobierając słowa. - To znaczy, kiedyś tym się zajmowałam. Teraz jestem na urlopie i zastanawiam się nad przyszłością. - Właściwie to nie kłamstwo.

- Ściganie Nicole Martine po ulicach Monako to dość kiepski pomysł na wakacje - mówi prowokująco.

Kiwam głową, uświadamiając sobie nieprawdopodobieństwo mojej historii.

- Szukam swojego przyjaciela. Z tego powodu wzięłam urlop, przynajmniej częściowo. Myślę, że Nicole jest z nim w jakiś sposób związana albo wie, gdzie on przebywa.

- Jak się nazywa twój przyjaciel?

Waham się. Już raz nieomal doprowadziłam do Jareda nieodpowiednich ludzi.

- Jared. - Podaję tylko jego imię i obserwuję twarz Aarona, ale pozostaje ona bez wyrazu. - A ty?

- Zależy mi na samej Nicole.

Nie udaje mi się spytać dlaczego, bo wraca kelner z talerzem orzechów, sera i oliwek - przystawek do szampana. Kiedy stawia przed na-

mi jedzenie, zastanawiam się nad odpowiedzią Aarona. Do tej pory traktowałam Nicole jedynie jako ślad prowadzący do Jareda, trop, dzięki któremu mogłabym go znaleźć. Przypomina mi się Sophie, moja koleżanka z pracy w Londynie. Uważałam ją za piękną, głupiutką blondynkę, zanim dowiedziałam się, że ma doktorat z finansów i biegle zna arabski. Nie powinnam popełniać tego samego błędu z Nicole. Kim ona właściwie jest i dlaczego Aaron się nią interesuje?

- Ładny - mówi nagle, wskazując na górną część mojej sukienki.
- Słucham? - Jestem zaskoczona jego bezpośredniością.
- Pierścionek.

Spoglądam w dół. Nie wiedziałam, że pierścionek widać nad dekoltem czarnej sukienki, którą specjalnie na ten wieczór kupiłam w hotelowym butik.

- Dzięki. To pamiątka po przyjacielu.

Nie naciska, tylko podsuwa mi talerz. Żołądek mi się skręca. Od wyjazdu z Londynu z nerwów zupełnie straciłam apetyt, ale teraz z uprzejmości biorę oliwkę i parę orzechów. Aaron częstuje się resztą, dosłownie rzuca się na nie jak na obfitą kolację. Ten apetyt świadczy o latach spędzonych w niedostatku, o tym, że należy jeść, kiedy tylko się da, bo nie wiadomo, kiedy znowu będzie można napełnić żołądek.

Walczył, przychodzi mi nagle do głowy. Nie powiedział, czym zajmował się w armii, ale natychmiast wyczuwam, że był na froncie i to go zmieniło. Pod pewnym względem to nas łączy. Oczywiście ja nie byłam na wojnie, jednak życie za granicą, ryzykowanie własnego życia w zakątkach świata, o których większość ludzi nawet nie czytała ani nie słyszała - to zmienia człowieka.

Wracam myślami do swojego pobytu w szpitalu w Waszyngtonie, gdzie dochodziłam do zdrowia po obrażeniach, jakich doznałam w Liberii. Na łóżku obok leżała siedmio- czy ośmioletnia dziewczynka po wypadku samochodowym. Pamiętam, jak jej ojciec robił baloniki w kształcie kurczaka, nadmuchując szpitalną lateksową ręką-

wiczkę. Był to zwykły gest mający rozweselić dziewczynkę. Kiedy jednak myślałam o dzieciach w Afryce, którym brakowało nawet czystej wody czy bandażu, już nie wspominając o chirurgicznych rękawicach, złościło mnie to marnotrawstwo, ta łatwość, z jaką korzystaliśmy z bogactwa życia, uważając je za coś oczywistego. Próbowałam wytłumaczyć tę frustrację swojej matce, która ze współczuciem kiwała głową, ale jej oczy pozostawały bez wyrazu. W tamtej chwili mocniej niż kiedykolwiek poczułam, w jaki sposób tamte przeżycia na mnie wpłynęły, jak mnie zmieniły w sposób, którego nie mogli pojąć nawet moi najbliżsi.

Kiedy teraz patrzę na Aarona, przypuszczam, że wrócił z wojny albo terenu objętego jakimś konfliktem zbrojnym, całkowicie odmieniony, nie umiejąc na nowo dopasować się do życia, które za sobą zostawił. Czy ktoś na niego czekał, próbując zrozumieć jego przemianę?

- Przepraszam za spóźnienie - mówi, przerywając moje rozmyślenia. Z wysiłkiem skupiam się na jego słowach, które wypowiada pomiędzy kolejnymi kęsami. - Musiałem potwierdzić swoje podejrzenia: Nicole poleciała do Austrii.

- Do Austrii? - powtarzam. Od wyjścia z lotniska zakładałam, że uciekła do Jareda, a skoro - jak twierdziła - był daleko stąd, brałam pod uwagę Afrykę albo Amerykę Południową, odległe miejsca, które w ciągu ostatnich dziesięciu lat zapewniały mu anonimowość. Czy to możliwe, że jest w Europie, tak blisko? Mam ochotę zeskoczyć z krzesła i natychmiast pobiec na lotnisko.

- Tak. Nie jestem pewien, czy to jej ostateczny cel podróży, czy tylko kolejny etap. - Nie wymienił miasta, do którego Nicole się udała. Nie wie czy nie chce powiedzieć? - Nie miała na dalszą podróż, przynajmniej kiedy wyjechała z Nicei. Jutro z samego rana lecę do Austrii. - Urywa, a ja patrzę na niego, oczekując kolejnych informacji. - Będę zaszczycony, jeśli się do mnie przyłączysz.

- Och. - Zaskoczona jego zaproszeniem, odsuwam się od stołu i wstaję. Dlaczego zaproponował nieznajomej kobiecie wspólną po-

dróż? Robię krok w stronę werandy i spoglądam na wodę. Nagle zaczyna mi się kręcić w głowie i robi mi się gorąco. Pochylam się do przodu i przytrzymuję murku.

Aaron podchodzi do mnie z zaskakującą szybkością.

- Dobrze się czujesz?

- T-t-tak - mamroczę zawstydzona. Kiedy zawroty głowy mijają, prostuję się. - Po prostu jestem trochę zmęczona.

Nagle wyciąga rękę w stronę mojej twarzy, a ja uchylam się przestraszona.

- Przepraszam - mówi, cofając dłoń. Wskazuje na głowę. - Masz guza, tam, gdzie się uderzyłaś.

„Bo mnie popchnąłeś” - mam ochotę powiedzieć, ale milczę. Przypomina mi się jego atak i cały absurd tej sytuacji. Robię krok do tyłu.

- Nic mi nie jest. Guz zniknie za dzień lub dwa. - Znowu patrzę na wodę, światła skrzące się w oddali. Zrobiło się chłodniej, lekka bryza wieje od morza, niosąc ze sobą tropikalne zapachy i aromat niewidocznych ogrodów w dole.

- Odeszłaś z pracy, żeby odnaleźć przyjaciela - mówi cicho, podchodząc do mnie. - Musiałaś mieć ważny powód.

Jego głos brzmi jednocześnie pocieszająco i zachęcająco, nakłania do zwierzeń. O tak, myślę, kiedy w moim umyśle pojawia się twarz Jareda. Był jedynym mężczyzną, którego kochałam. To wystarczająco ważny powód.

Odzyskuję ostrość widzenia. Spoglądam na Aarona, który bacznie się we mnie wpatruje, i przez chwilę mam ochotę mu o wszystkim opowiedzieć. Nie mogę jednak stracić czujności. Przełykam ślinę.

- Skoro już mowa o powodach, to nie powiedziałaś mi, dlaczego szukasz Nicole.

Teraz to on milknie.

- Pracuję dla klienta, który szuka Nicole w związku ze swoimi interesami zawodowymi. Teraz nie wolno mi zdradzić nic więcej, ale resztę powiem jutro... jeśli zdecydujesz się ze mną pojechać.

- Ja nie... - zaczynam i znowu urywam. Przyglądam się jego twarzy, zastanawiając się, ile z tego, co mi powiedział, jest prawdą, i co przede mną ukrywa. Może tak jak inni chce mnie wystawić, wykorzystać, by namierzyć Jareda? On jednak spogląda ponad moim ramieniem na kontury miasta. Ma obojętny wyraz twarzy, jakby go nie obchodziło, czy z nim pojedę.

Zastanawiam się nad jego propozycją. Podróż do Austrii z mężczyzną, którego dopiero co poznałam, który parę godzin temu mnie zaatakował, wydaje mi się absurdalna. Zawsze wolałam pracować sama, tym bardziej teraz, gdy zdradziło mnie parę osób, którym w pełni ufałam. Chociaż wcale nie podoba mi się perspektywa podróżowania z Aaronem, to jednak nie wiem, co mogłabym zrobić więcej. Zabrakło mi tropów. Poza tym - co przyznaję z niechęcią - Aaron wzbudził moją ciekawość. Dlaczego chce odnaleźć Nicole, jakie ma źródła informacji?

Zaryzykuj - coś mi podpowiada. W swojej pracy jako agenta wywiadu przekonałam się, że często najlepiej słuchać intuicji, nawet jeśli stawała w sprzeczności z racjonalnym myśleniem i jeśli bardziej konserwatywni oficerowie uważali to za szaleństwo. Ale właśnie to ryzykanctwo zapewniało mi stały przyływ adrenaliny. Oczywiście parę razy zdarzyło się, że podszepty intuicji nieomal doprowadziły mnie do śmierci.

- Aaron... - zaczynam.

- Ari - poprawia mnie, podając zdrobienie, którego używają jego znajomi. Znowu spostrzegam, że stoi bliżej mnie, niż jest to potrzebne, i zagląda mi głęboko w oczy

Odwracam wzrok, na nowo pełna podejrzeń. Dlaczego oferuje mi pomoc?

- Nie znasz mnie, nie wiesz, czemu próbuję odnaleźć swojego przyjaciela.

Lekceważąco macha ręką.

- Nieważne. Masz swoje powody, a ja mam swoje. Liczy się jedynie to, czy możemy sobie nawzajem pomóc. - Wraca kelner z rachun-

kiem, a Aaron go podpisuje. - A teraz muszę cię przeprosić - mówi tak oficjalnie, że zaczynam myśleć, że tylko wyobraziłam sobie bliskość, jaką mi okazał zaledwie chwilę wcześniej. - Samolot odlata jutro o siódmej dziesiątej, linie Tyrolean Airlines. To na wypadek, gdybyś się zdecydowała. A jeśli nie... było mi miło z tobą porozmawiać. - Nie czekając na odpowiedź, wstaje i idzie przez restaurację, zostawiając mnie z zamętem w głowie.

6

Dochodzi wpół do siódmej, kiedy idę przez główną halę lotniska Côte d'Azur. Nie panuje tu aż taki tłok jak wczoraj, ale i tak jest pełno biznesmenów z niewidocznymi słuchawkami w uszach, rozmawiających przez telefon komórkowy, trzymających w jednej ręce teczki, a w drugiej tekturowe kubki z cappuccino.

Przyglądam się kasom biletowym. Na drugim końcu sali znajduje się opustoszała kasa Tyrolean Airlines. Podchodzę i niecierpliwie pompuję nogą, kiedy kasjerka obsługuje mężczyznę przede mną. Teraz, gdy postanowiłam jechać z Aaronem, za wszelką cenę nie chcę spóźnić się na lot.

Kiedy mężczyzna odchodzi, występuję do przodu.

- Jordan Weiss - mówię, podając paszport. - Powinna być rezerwacja na moje nazwisko.

Kobieta wpisuje moje dane do komputera.

- Zgadza się, pani Weiss. Ma pani bagaż?

- Nie. - Wyjmuję z portfela kartę kredytową i wstrzymuję oddech, zastanawiając się, ile może kosztować bilet last minute, ale kasjerka macha ręką.

- Pani bilet został opłacony. - Podaje mi kartę pokładową. - Po przejściu przez stanowisko ochrony zapraszam do wyjścia numer dwanaście. Odlot przewidziano na szóstą pięćdziesiąt.

Przyglądam się karcie pokładowej. Wiedeń. Czy Aaron kupił bilet z opcją zwrotu, czy też po prostu założył, że przyjdę? Co prawda ulżyło mi, że nie musiałam wydawać pieniędzy, ale nie podoba mi się to, że teraz czuję się zobowiązana - zwłaszcza wobec mężczyzny, którego motywy wciąż są dla mnie niejasne. Nie mam jednak czasu na takie rozważania - samolot odlatuje za niespełna dwadzieścia minut. Ruszam w stronę kolejki do stanowiska ochrony.

Przesuwam się w kolejce do wykrywacza metali między słupkami połączonymi linką i ogarniają mnie coraz większe wątpliwości. Mało brakowało, a w ogóle nie przyjechałabym na lotnisko. Kiedy się obudziłam, przypomniały mi się niebieskie oczy i umięśnione ręce Aarona, gdy pochylał się nad stolikiem i prosił, żebym pojechała razem z nim. Jakie są jego prawdziwe motywy? Z pewnością równie dobrze jak ja wie, że towarzystwo może spowolnić akcję. Poza tym nie miałam żadnych informacji, które ułatwiłyby mu odnalezienie Nicole.

Leżałam w łóżku, właściwie już zdecydowana zostać w Monako i poprowadzić śledztwo na własną rękę. W tej chwili zahuczała moja komórka. Nieodebrana wiadomość od Lincolna. Nic nie napisał, tylko wysłał załącznik z informacjami na temat Nicole Martine. Przejrzałam je w pośpiechu: dwadzieścia dziewięć lat, urodzona w Libanie -czego nigdy bym nie podejrzewała, zważywszy na jej jasne włosy. Z zawodu była marszandem, mieszkała w Johannesburgu, Belize i Buenos Aires. Przypomniałam sobie, że Jared też mieszkał w Belize. Czy to właśnie tam się poznali? Starając się zignorować zazdrość, przeszłam do następnego punktu: widziano ją w Namibii w maju 2004 roku. Przewijam wiadomość do dołu, ale na tym lista informacji się kończyła. Zupełnie jakby od tamtej pory Nicole zniknęła z radarów.

Wcisnęłam klawisz „Odpowiedz” i szybko podziękowałam Lincolnowi. Po chwili namysłu wysłałam mu drugą wiadomość z prośbą o informacje na temat obywatela Izraela i Stanów Zjednoczonych o nazwisku Aaron Bruck.

Przez parę minut leżałam w łóżku, raz za razem czytając informacje o Nicole. Skoro była handlarzem sztuki, to całkiem możliwe, że klient Aarona szukał jej właśnie z tego powodu - co oznaczało, że Aaron nie kłamał, utrzymując, że jego poszukiwania nie mają związku z Jaredem. Raport Lincolna nie zawierał żadnych świeżych informacji, które pomogłyby mi w odnalezieniu Nicole. Ponieważ nie miałam innych tropów, postanowiłam pojechać na lotnisko i przyłączyć się do Aarona. Nie miałam nic do stracenia. Jeśli ta podróż okaże się złym pomysłem, po powrocie zawsze mogę go splawić. Szyb-

ko wzięłam prysznic, wymeldowałam się z hotelu i pojechałam na lotnisko.

Kiedy teraz zbliżam się do wyjścia, dostrzegam Aarona siedzącego za rozłożoną gazetą. Zerka ponad nią, tylko udając, że czyta - tak samo jak przedtem w kawiarni - a w istocie rozgląda się po terminalu. Szuka mnie? Możliwe, ale uświadamiam sobie, że chodzi o coś więcej: ma wzrok zwierzęcia spodziewającego się ataku, chociaż to on sam udaje się na polowanie. Czy i to jest pozostałością z jego służby wojskowej? Czy też ma jakiś związek z jego obecną pracą, z poszukiwaniem Nicole?

Wreszcie mnie dostrzega, nasze spojrzenia się krzyżują. Podchodzę.

- Dzień dobry - mówi. Składa gazetę, a kiedy podnosi wzrok, jego twarz znowu jest spokojna, bez śladu napięcia, jakie widziałam na niej przed chwilą. Tego ranka wygląda jeszcze atrakcyjniej. Nie mogę się powstrzymać, wpatruję się w jego świeżo ogoloną szczękę. - Cappuccino? - Podaje mi jeden z dwóch kubków stojących na krześle obok. - Kupiłem dwie, na wypadek gdybyś zdecydowała się przyjść.

Zastanawiam się, czy ten gest to oznaka uprzejmości, czy zbytnej pewności siebie. Uznaję, że chodzi o to pierwsze. Biorę od niego ciepły kubek i upijam łyk kawy.

- Dziękuję. - Kawa jest gorzka, ale na krześle leżą dwie brązowe paczuszki cukru i jedna ze słodzikiem. Aaron przygotował się na wszelkie możliwości. - Zapłaciłeś za mój bilet - wyrzucam z siebie. - Niepotrzebnie. Oddam ci pieniądze, kiedy tylko znajdziemy się w Wiedniu.

Macha ręką, jakby odganiał komara.

- Oddałaś bagaż do odprawy? Poklepuję torbę na ramieniu.

- Mam tylko to.

Unosi jedną brew i przez chwilę spodziewam się, że spyta o przyczynę braku bagażu. On jednak bierze swoją kawę, żeby zrobić mi miejsce obok siebie, i stawia ją na podłodze przy plecaku khaki. Nie zdążam usiąść, bo z głośników płynie głos kobiecy wzywający pasażerów naszego samolotu.

Nasz samolot to turbośmigłowiec. Po obu stronach przejścia znajduje się pojedynczy rząd foteli obitych beżową skórą. W kabinie siedzi garstka pasażerów, głównie mężczyzn w garniturach. Idę za Aaronem i zajmuję miejsce po prawej, które mi wskazuje. Wkłada plecak do szafki na bagaż i siada przede mną, a ja czuję się dziwnie wdzięczna za kilkadziesiąt centymetrów przestrzeni między nami.

- A więc - mówię parę minut później, kiedy stewardesa kończy kontrolę przed startem i nasz samolot zaczyna kołować - masz jakiś pomysł, gdzie mamy szukać Nicole?

- Mam parę tropów. - Nie rozwija tej myśli. Chciał, żebym pojechała z nim, ale nie zamierza obdarzyć mnie zaufaniem na tyle dużym, by podzielić się informacjami, które mogłabym wykorzystać dla własnych celów.

Nie odzywamy się, gdy samolot podjeżdża do końca pasa startowego i hałaśliwie przyśpiesza. Wyglądam przez okno, kiedy koła odrywają się od ziemi. Po chwili unosimy się nad dachami budynków i czubkami drzew, na horyzoncie widać linię brzegu. Nad przybrzeżnymi górami ostry podmuch wiatru kołysze samolotem.

Kątem oka zerkając na Aarona, ze zdziwieniem spostrzegam, że kurczowo ściska poręcz fotela, a na jego twarzy pojawia się niepokój.

- Co się dzieje? - pytam, odwracając się do niego.

- Nic. - Słyszę jednak, że oddycha powoli, jakby liczył w myślach. - Jeśli chodzi o twój bagaż, a właściwie jego brak... - odzywa się po chwili, kiedy wzbijamy się nad chmury, a turbulencje mijają. Jęczę w duchu. Miałam nadzieję, że o tym zapomniał. On jednak jest skupiony, nieustępliwy tak samo jak ja.

- Straciłam go - odpowiadam krótko, odwracając wzrok. To nie do końca nieprawda. - Przed przyjazdem do Monako nie miałam czasu kupić nowych rzeczy.

- Straciłaś go w wybuchu w twoim mieszkaniu?

Spoglądam na niego, oszołomiona. Nic mu o tym nie wspominałam.

- Skąd wiesz?

Wzrusza ramionami.

- Chyba nie myślisz, że podróżowałbym z tobą, nic nie wiedząc o twojej przeszłości, co?

Nie, oczywiście, że nie. Ja zrobiłam to samo, a w każdym razie próbowałam.

- I...?

- Jordan Weiss. Trzydzieści dwa lata. Amerykanka, niezamężna. Pracowałam dla Departamentu Stanu w Warszawie, San Salvadorze, Manili. - Unosi jedną brew. - Krótka służba, w dość niefortunnym okresie, w Monrowii. - Staram się ukryć wszelkie emocje. Byłam w Liberii przez niespełna dwa tygodnie, kiedy doszło do zamachu stanu. - I jak mi idzie?

Tym razem to ja wzruszam ramionami. Ujawnienie, że Aaron posiada informacje na temat mojej przeszłości, to nie przypadek, lecz walka o władzę mająca mi dać do zrozumienia, że to on ma nade mną przewagę. Nie zareaguję, nie dam mu tej satysfakcji.

- Pracowałam w wywiadzie - ciągnie - ale twoja rola w rządzie jest dość niejasna. Mówię „pracowałam”, bo nie jesteś na wakacjach ani nie wzięłaś urlopu. Odeszłaś z pracy. - W jego głosie pobrzmiwa żal związany albo z faktem mojej rezygnacji, albo może z tym, że nie byłam z nim szczerą. - Poprosiłaś o przeniesienie do Londynu, a tydzień później złożyłaś rezygnację.

Rozmyślałam gorączkowo. Skąd on to wszystko wie? Nie jestem naiwna, zdaję sobie sprawę z tego, że dostęp do danych elektronicznych chroni przed upublicznieniem tylko najściślej tajne informacje. Mimo to w osłupienie wprawia mnie fakt, że moją - ponoć tajną - przeszłość w istocie może poznać każdy. Zaczynam też wątpić, czy Aaron rzeczywiście jest prywatnym detektywem, za którego się podaje.

Nadal przygląda mi się, czekając na moją reakcję. Przypominam sobie, że to obcy człowiek, nie jestem mu winna żadnych wyjaśnień. Naszą rozmowę przerywa stewardesa prowadząca między rzędami foteli wózek z napojami.

- Przepraszam, że o tym nie wspomniałam - mówię, kiedy odchodzi, zostawiając nam po szklance soku pomarańczowego.

- Nie twierdzę, że musimy mówić sobie wszystko - odpowiada Aaron. - Ale jeśli już coś mówimy, to trzymajmy się prawdy, dobrze?

Prawda. Przez ostatnie parę tygodni co chwila przekonywałam się, że nie mogę liczyć na szczerść najbliższych mi osób, że minione dziesięć lat mojego życia opierało się na kłamstwie. A jednak ten mężczyzna, którego znam zaledwie jeden dzień, spodziewa się ode mnie szczerości. Co za ironia losu. Nie żąda całkowitego odsłonięcia się, tylko tego, bym nie kłamała. Próbuję znaleźć słaby punkt jego propozycji, ale bezskutecznie.

Jasne.

- Twoja kariera dobrze się zapowiadała. Próbowałem się dowiedzieć, dlaczego z niej zrezygnowałaś, jednak mi się nie udało.

Nie, takich rzeczy nie umieszcza się w aktach, nie wtedy, gdy fakt odejścia mógłby doprowadzić do tych, którzy te akta tworzą. Wyobrażam sobie wpis: odeszła z pracy, gdy odkryła, że była oszukiwana przez ambasadora i zastępczynię szefa placówki. Jak informatycy w Departamencie Stanu zaszyfrowaliby tę informację?

Aaron nadal badawczo mi się przygląda. Nie jestem jednak gotowa opowiedzieć mu o zdradzie Mo, o odkryciu, które kazało mi pójść tą drogą.

- Jak powiedziałaś, nie musimy mówić o sobie wszystkiego, prawda? - Aaron kiwa głową, uznając własne zasady. - Zebrałaś niezłe dossier na mój temat - zauważam. Szkoda, że jeszcze nie dostałam od Lincolna żadnych informacji o Aaronie, dzięki którym nasze szanse by się wyrównały. - Na pewno dla równowagi możesz mi powiedzieć coś więcej o sobie.

Odwraca wzrok. Czuję, że waży słowa.

- Wczoraj wieczorem powiedziałem już całkiem sporo. Jestem jedynakiem, moi rodzice nie żyją. Jestem rok starszy od ciebie - dodaje z półuśmiechem.

Zaskoczył mnie. Te siwiejące włosy i kurze łapki w kącikach oczu. dałabym mu czterdzieści lat.

- Żonaty? - pytam, krzywiąc się w duchu. Przez jego twarz przemyka cień.

- Byłem. Miała na imię Aviva. Poznaliśmy się, kiedy mieliśmy po osiemnaście lat, a rok później się pobraliśmy. Urodziła nam się córka. - Wyjmuje z portfela zdjęcie oszalamiająco pięknej czarnowłosej kobiety o oliwkowej cerze i lśniących, ciemnych oczach w kształcie migdała. Na kolanach trzyma dwu- czy trzyletnie dziecko - istną kopię samej siebie, ale z mocnym podbródkiem i pełnymi wargami Aarona. - To Yael.

- Masz dziecko. - Nie potrafię ukryć zdziwienia. Nie wyobrażałam sobie Aarona jako męża, a tym bardziej jako ojca.

- Miałem. - Zaciska zęby. - Moja żona i córka zginęły. Odruchowo wydaję z siebie cichy okrzyk.

- Tak mi przykro.

- To był koszmarne wypadek. Wjechały na niewybuch tuż przed moją bazą. Na szczęście Yael zmarła natychmiast. Ale moja Avi -Urywa i wstrzymuje oddech. - Cierpiała wiele dni, zanim pozwoliłem jej odejść.

- Tak mi przykro - powtarzam, zażenowana banalnością tych słów. Pamiętam, jak cierpiałam dziesięć lat temu, kiedy myślałam, że straciłam Jareda. Ale śmierć dziecka wydaje mi się niewyobrażalna.

Aaron chrząka.

- Po ich śmierci zacząłem pracować jako prywatny detektyw. Dostaję zlecenia na całym świecie. I przemieszczasz się jak najdalej i jak najszybciej, próbując uciec przed bólem, myślę. Znam ten rodzaj zachowania, sama tak sobie radziłam, dopóki parę tygodni temu nie wróciłam do Londynu.

- A teraz chcesz odnaleźć Nicole... ? - zawieszam głos.

Podnosi wzrok, oczy ma już przytomne. Nawet zatopiony we wspomnieniach nie da się złapać w pułapkę rozmowy na temat, którego chce uniknąć.

- Tak - odpowiada.
- Aaron...
- Ari - poprawia mnie.
- Ari - powtarzam z rosnącym zniecierpliwieniem. - Szanuję twoją prywatność, ale zgodziłam się na podróż z tobą. Mógłbyś przynajmniej uchylić rąbka tajemnicy.
- Aaron odchyła się, wypuszcza powietrze przez zęby.
- Wiesz cokolwiek o wytwórstwie wina?
- Wina? - Nie wiem, czego się spodziewałam, lecz na pewno nie tego. Jaki związek ma wino z Nicole? - Nie, właściwie to nic. - Cofnijmy się trochę. - Wychyla się do przodu i zniża głos. - Poznałaś Nicole, tak? - Rozmawiałyśmy przez chwilę.
- Ile o niej wiesz?
- Niewiele. - Nie zamierzam dzielić się z nim informacjami od Lincolna, w tej chwili tylko taką przewagę mam nad Aaronem.
- Samolot wpada w turbulencję i lekko podskakuje. Wyciągam rękę, żeby przytrzymać kubek na tacce przed sobą. Ari ciągnie, krzywiąc się:
- Nicole Martine jest nie tylko piękna, ale i mądra. Studiowała handel antykami na Sorbonie. W innym życiu mogłaby wykładać na Oksfordzie albo w Cambridge. Ona jednak nie jest w czepku urodzona, jak to się mówi. Zanim uciekła do Paryża, wychowywała się na ulicach Bejrutu. Naukę opłacała, pracując na czarnym rynku. Handlowała wszystkim: od papierosów aż po broń. Kiedy miała dwadzieścia parę lat, przerzuciła się na handel bardziej wartościowymi towarami: biżuterią, antykami, dziełami sztuki. Kiwam głową, przypominając sobie e-mail od Lincolna. - Kradzionymi?
- Niektóre pochodziły z podejrzanego źródła. Właściciele innych sprzedawali je, żeby uniknąć podatków. Cały dowcip polega na sprzedaży lub kupnie luksusowego towaru bez konieczności odpowiadania na zbyt wiele pytań. - Zniża głos do szeptu. - Ale ostatnio zaangażowała się w fałszerstwo wina.

- Fałszerstwo wina?
- Tak, w ciągu ostatniej dekady ten biznes bardzo się rozwinął. Chodzi o sprzedaż markowych win, które nie są oryginalne.
- Przypominam sobie, że czytałam o tym w gazetach. Jakiś facet twierdził, że ma butelki wina z kolekcji Thomasa Jeffersona. Ari się przeciąga.
- Tak, to była jedna ze spraw. Ten biznes jest prowadzony na znacznie większą skalę, niż ci się wydaje. Poza powszechnie znanymi historiami istnieje cały ogromny rynek, na którym fałszywe drogie wina sprzedaje się w wielkich ilościach. Powiedzmy, że masz dobrego burgunda po dwieście pięćdziesiąt dolarów za butelkę. Jeśli nalejesz do butelek tańszego wina i nakleisz skopiowane etykiety.
- ..możesz sprzedawać tysiące butelek z ogromnym zyskiem - kończę.
- Właśnie tak. Praktycznie rzecz biorąc, trudno odróżnić sfalszowane wino od oryginalnego. Takimi przekrętami zajmowała się Nicole, choć nie jestem pewien, jak bardzo była w to zaangażowana. Patrzę przez okienko na bezchmurne niebo, przyswajając sobie informacje od Aarona. Aż trudno uwierzyć, że ta piękna blondynka, którą poznałam w Monako, to spekulantka działająca na czarnym rynku. I jaki to ma związek z Jaredem? Miał tak sztywne zasady, nie mogę sobie wyobrazić, by zadawał się z kimś takim jak Nicole. Odwracam się z powrotem do Aarona.
- A twój klient interesuje się tym, bo... ?
- Zastanawia się nad moim pytaniem, rozważa, czy uda mu się nie odpowiedzieć. Jego uniki mnie irytują, ale jednocześnie dobrze go rozumiem. Nie chce zdradzać tożsamości swojego klienta ani celu śledztwa - tak samo jak ja nie chcę ujawniać informacji, które dostałam od wywiadu. W końcu na jego twarzy pojawia się rezygnacja.
- Przemysłowcy bardzo się niepokoją tymi fałszerstwami. To ogromny problem dla branży winiarskiej. Jeśli ktoś nakleja oryginalne etykiety na butelki z tańszym winem, marka wkrótce straci na

wartości i cały biznes poniesie milionowe straty. Zdarzały się przypadki zatruc sfalszowanym winem, więc wytwórcy martwią się o swoją wiarygodność. Zatrudnili mnie, żebym odnalazł Nicole i dowiedział się, ile wie. Mam nadzieję, że nakieruje mnie na osobę, która dostarcza jej sfalszowane wina, i że zakończymy ten proceder.

- I to wszystko? - pytam sceptycznie.

- Tak. Ale to nie takie proste. Nicole ciągle przenosi się z jednego kraju do innego, nie ma stałego adresu ani miejsca zamieszkania, a w każdym razie nie miała wtedy, kiedy udało nam się ustalić jej tożsamość i namierzyć ją w Monako.

Ogarnia mnie rozczarowanie. Skoro nie wiemy, gdzie jest Nicole, jak odnajdę Jareda?

- Jeden z moich informatorów dowiedział się o zaplanowanym spotkaniu w Wiedniu - dodaje Aaron.

- Dlaczego więc nie wyjechałeś wczoraj wieczorem, kiedy tylko się dowiedziałeś, dokąd udaje się Nicole?

- Nie może, zajmując się biznesem, wyjechać tak szybko. Poza tym czekałem na dodatkowe informacje na temat jej miejsca pobytu.

- To ma sens. - Odchylam się, nieco rozluźniona. Wygląda na to, że Aaron nie bez powodu szuka Nicole i że powód ten nie ma żadnego związku z Jaredem. Może nasza współpraca jednak da jakieś efekty. - Dziękuję, że mi o tym powiedziałeś.

Z dziwnym wyrazem twarzy przygryza dolną wargę.

- Jordan... - Urywa. - Musisz coś wiedzieć. - Odwraca wzrok. - Wczoraj wieczorem po naszej rozmowie przeprowadziłem małe śledztwo w związku z tym mężczyzną, którego szukasz, Jaredem. Nazywa się Jared Short, tak?

- Tak - wyduszam z siebie, zaskoczona. Podałam mu tylko imię.

- Jak ci wczoraj mówiłem, nic o nim nie wiedziałem, ale kiedy podałaś mi jego imię, pomyślałem, że warto go sprawdzić. - Przez chwilę się waha. - Kiedy przyjrzałem się wspólnikom Nicole, poznałem jego nazwisko i dotarłem do paru informacji.

Nie mogę oddychać. Nastawiam się na to, że za chwilę usłyszę iż nastąpiła pomyłka i Jared jednak nie żyje.

- O co chodzi? - pytam.

Aaron spuszcza wzrok, przebiera palcami po podłokietniku.

- Z całą pewnością jest powiązany z Nicole i niestety nie tylko w sensie zawodowym. Jordan, Nicole jest żoną mężczyzny, którego szukasz. Są małżeństwem.

- Przykro mi - powtarza Aaron, kiedy nasza taksówka powoli porusza się w korku na autostradzie pod Wiedniem. Deszcz ukośnie uderza o przednią szybę samochodu.

Kręcę głową, nadal nie mogąc wykrztusić z siebie ani słowa. Tysiące myśli i pytań kłębią się w mojej głowie. Odkąd Aaron przekazał mi w samolocie tę informację, wciąż dudni w moim umyśle niczym zacinająca się płyta: Jared jest żonaty. Siedziałam, oniemiała, w swoim fotelu. Aaron zamachał na stewardesę i zamówił dwie szkockie z lodem, które wypiałam jednym haustem, nie bacząc na to, że jeszcze nie minęła dziesiąta rano.

Nie wiem, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy, zastanawiałam się, czując alkohol piekący mnie w gardle i wypalający prawdę w mojej psychice. Po spotkaniu z Nicole oczywiście przemknęło mi przez myśl, że może darzyć go uczuciem, że coś ich łączy. Nigdy jednak - pomimo dowodów na to, że od lat są ze sobą związani - nie domyśliłabym się, że są małżeństwem. Może dlatego, że jeszcze parę dni temu myślałam, że Jared nie żyje. W tysiącach scenariuszy, w których sobie wyobrażałam, gdzie był i co robił przez wszystkie te lata, widziałam go uciekającego samotnie, bez żadnych więzi. Nawet kiedy dowiedziałam się, że żyje, uparcie wierzyłam, że gdyby mógł, wróciłby do mnie. Bo zawsze myślałam, że na mnie czeka. Co za idiotka.

Otulam się płaszczem, żeby uchronić się przed wilgotnym powiewem wdzierającym się przez szpary nad zamkniętymi oknami taksówki. Pod koszulą czuję na skórze lodowato zimny pierścionek zaręczynowy. Widzę Nicole w progu mieszkania, próbuję sobie przypomnieć, czy nosiła obrączkę. Na pewno bym ją zauważyła.

- Poznali się w Ameryce Środkowej - mówi Aaron, kiedy taksówka skręca na szeroką Ringstrasse. W Belize, myślę, przypominając sobie raport Lincolna. - Pobrali się cztery lata temu - dodaje.

Cztery lata temu. Cofam się myślami w przeszłość. Byłam wtedy w San Salvadorze, użerałam się z agentem DEA*, który mnie podrywał. Wiedziałam, że nic z tego nie wyjdzie, bo moje rany jeszcze się nie zagoiły, jeszcze nie doszłam do siebie po stracie Jareda. Gdzie byłam tego dnia, gdy zapomniał o mnie i ożenił się z Nicole? Zakładając, że nie odkochał się dużo wcześniej, że między mną a Nicole nie było innych kobiet. Uświadamiam sobie, jak krótko byliśmy razem. Ledwie go znałam.

- Ten Jared... - zagaduje mnie Aaron, kiedy mijamy gmach opery. - Rozumiem, że łączyło was coś więcej niż przyjaźń?

- Tak - przyznaję.

- On ci to dał?

Wtedy spostrzegam, że obracam w palcach pierścioneł wiszący na łańcuszku na mojej szyi.

- Dawno temu. - Aaron nadal mi się przygląda, uświadamiam sobie, że należy mu się choć krótkie wyjaśnienie. - Chodziliśmy ze sobą na studiach. Właściwie to było coś więcej niż zwykłe randki - dodaję pośpiesznie na widok jego pobłażliwej miny.

Przez parę minut w milczeniu wygląda przez okno.

- Byłaś już kiedyś w Wiedniu? - zmienia temat.

- Tak. Pierwszy raz na studenckiej wyprawie. Wtedy wydawał mi się niemalże... - spoglądam na kolumnady przed muzeami, szukając odpowiedniego słowa - ..sterylny.

- I nieskłonny do przeprosin - dodaje Aaron. - Za wojnę. Dla mnie Austriacy to po prostu Niemcy, którzy nigdy nie przeprosili za to, co się stało.

Zaskoczona jego ostrymi słowami, szybko przenoszę wzrok na przód taksówki, ale kierowca chyba nas nie słyszy. Zawsze wzdra-

* **DEA - Amerykańska Agencja Antynarkotykowa.**

gałam się przed pojęciem zbiorowej odpowiedzialności w odniesieniu do holokaustu, jednak z drugiej strony w słowach Aarona tkwi niezaprzeczalna prawda.

- Parę razy przejeżdżałam przez Wiedeń, kiedy stacjonowałam w Warszawie - mówię, ignorując jego uwagę. Aaron marszczy nos. -O co chodzi?

- Mieszkałaś w Polsce.

- Z Polakami też masz jakiś problem? - Nie odpowiada. - Wiesz, to nie oni zaczęli wojnę - ciągnę zaczepnym tonem. - Byli pod okupacją. Zginęły trzy miliony Polaków.

- A reszta pomogła nazistom wsadzić Żydów do bydłych wagonów. Już nie wspomnę o stuleciach antysemityzmu przed wojną i pogromach po wojnie.

Przez chwilę się waham, zastanawiając się nad odpowiedzią, nad tym, jak bardzo chcę się zagłębić w ten temat. Podobne rozmowy wiele razy odbywałam ze znajomymi Żydami i krewnymi. Poglądy tych, których rodziny zginęły w holokauście, były szczególnie mocno ugruntowane. Pojechałam do Warszawy z takimi samymi uprzedzeniami, ale rzeczywistość okazała się o wiele bardziej złożona i niejednoznaczna. - Byłeś w Polsce? - pytam w końcu.

- Nie. Mój ojciec nigdy nie chciał tam wrócić, a ja uszanowałem jego życzenie. Nie pojechałbym i do Austrii, i do Niemiec, gdyby nie praca. Patrz - wskazuje przez okno na starszego mężczyznę przechodzącego przez ulicę. - Może to zbrodniarz wojenny albo przynajmniej kolaborant.

- To niesprawiedliwe. Poza tym on ma ze sto lat. Naprawdę chcesz karać starych ludzi za to, co zrobili tak dawno temu?

- Co do jednego - mówi ponurym, wkurzająco upartym głosem. Próbuje zrozumieć jego czarno-białą wersję historii i przekonać go

do własnej. W końcu jednak rezygnuję, uświadamiając sobie, że to na nic. Nie mam siły na debaty polityczne.

Taksówka krąży po starówce, przejeżdża koło placu. W oddali rozpoznaję sylwetkę katedry Świętego Stefana na tle posępnego, szarego

nieba. Skrećamy w wąską uliczkę i zwalniamy przed małym, skromnym hotelem.

- To tutaj zatrzymała się Nicole? - pytam, kiedy Aaron płaci kierowcy, on jednak ignoruje moje pytanie.

- Chodźmy.

Duże krople deszczu moczą mi włosy i ubranie w ciągu tych paru sekund, jakich potrzeba na podejście do drzwi frontowych. W holu Aaron prowadzi mnie do fotela.

- Zaczekaj tutaj.

Zbyt zmęczona, by się spierać, siadam ciężko i patrzę, jak Aaron podchodzi do recepcji, rozmawia z recepcjonistą i wyjmuje kartę kredytową. Martwięję. Miałam nadzieję, że od razu znajdziemy Nicole. Nie planowałam noclegu w Wiedniu. Po chwili Aaron wraca.

- Nasze pokoje jeszcze nie są gotowe.

Jęczę w duchu. Skoro już koniecznie musimy tu zostać, to mam ochotę zwinąć się w kłębek i uciec w sen albo przynajmniej wziąć gorącą kąpiel. Zauważam restaurację na drugim końcu holu.

- Pić - mówię, wskazując na jedyną drogę ucieczki.

- Nie wiem, czy... - zaczyna, ale ja już idę w stronę restauracji. Na drugim końcu opustoszałej sali, w której unosi się stęchły zapach

papierosów i piwa, wąsaty mężczyzna za barem wyciera kieliszki.

- Poproszę szkocką - mówię. Patrzy na mnie, ale się nie rusza. Wdrapuję się na barowy stółek i wskazuję na butelki za nim. - *Bitte* -dodaję, lecz on wciąż patrzy na mnie dziwnym wzrokiem. Nie chodzi o to, że mówię po angielsku, raczej o fakt, że zamawiam mocny alkohol na śniadanie.

Zaintrygowany spogląda ponad moim ramieniem, kiedy za mną staje Aaron. Zupełnie jakby czekał na zgodę mojego męża.

- *Zwei, bitte* - mówi Aaron.

Siada na stołku obok mnie. Barman nalewa szkocką i stawia przed nami szklaneczki. Aaron unosi swoją i stuka w moją, po czym upija łyk i krzywi się.

- A więc ten Jared... bardzo ci zależy na tym, żeby go znaleźć. Czy fakt, że się ożenił, coś zmienia?
- Nie - odpowiadam, oburzona aluzją, że latam po całym świecie jak zakochana nastolatka uganiająca się za byłym chłopakiem. Teraz jeszcze bardziej potrzebuję odpowiedzi na to, co się stało dziesięć lat temu - dlaczego Jared sfingował swoją śmierć i wyjechał bez słowa.

Ale o tym Aaron nie wie, a w każdym razie nie powinien. Obserwuję jego twarz, zastanawiając się, ile mu powiedzieć.

- Chodzi nie tylko o odnalezienie byłego chłopaka. Jared utonął w rzece dziesięć lat temu, kiedy studiowaliśmy w Cambridge, a w każdym razie tak brzmiała oficjalna wersja.

- Nie rozumiem.

Wypijam potężny łyk szkockiej. Tym razem mniej pali w gardle niż tamta w samolocie.

- Kiedy w zeszłym miesiącu wróciłam do Anglii, odkryłam, że cała ta historia to jedno wielkie kłamstwo. Jared sfingował własną śmierć, bo ktoś chciał go dopaść.

Aaron ze szczerym zdumieniem szeroko otwiera oczy.

- I przez tyle lat o niczym nie wiedziałaś?

- Nie. - Patrzę, jak oswaja się z tą myślą. Uświadamiam sobie, że myśli o swojej żonie. Każdy, kto kiedyś stracił kogoś bliskiego, wyobraża sobie, że któregoś dnia okaże się, że to pomyłka, że ta osoba w rzeczywistości żyje. Dla Aarona moja opowieść musi brzmieć jak sen. Oczywiście w moich marzeniach ta osoba nie rozpoczęła nowego życia i nie ożeniła się.

Kończę szkocką. Barman podnosi butelkę, pytając mnie wzrokiem, czy dolać. Potakuję. Powinam zachować trzeźwość myślenia, ale na razie mnie to nie obchodzi.

- Co jeszcze o nich wiesz? - pytam. Aaron przygryza dolną wargę. - Powiedz - nalegam. Chcę, muszę wiedzieć.

- Przez ostatnie cztery lata podróżowali razem jako para.

- Może to tylko fasada, może dla zachowania pozorów udają małżeństwo?
- Są prawdziwym małżeństwem - dodaje łagodnie, jakby czytał w moich myślach. - Nie na pokaz. Oczywiście. Nicole jest piękną kobietą, a Jared... cóż, to Jared. Dlaczego nie mieliby się pokochać? Czuję mdłości wywołane tyleż alkoholem, co tym odkryciem.

- Przepraszam - mamroczę, zeskakuję ze stołka i ruszam do wyjścia. W holu zaczynam biec do łazienki na drugim końcu. W ostatniej chwili wpadam do kabiny. Zwracam szkocką razem z żólcia, kawą i sokiem pomarańczowym. Znowu mam odruch wymiotny, ale mój żołądek już jest pusty. Cała roztrzęsiona prostuję się, podchodzę do umywalki i ochlapuję wodą twarz i kark.

W głowie kotłują mi się pytania Aarona. Czy nadal chcę odnaleźć Jareda? Mogłabym zrezygnować. Wiem, że żyje i ma się dobrze. I zaczął nowe życie z Nicole. A jednak to nie ma znaczenia, a jeśli ma, to takie, że tym bardziej chcę go odszukać. Muszę się dowiedzieć, co się stało. Dlaczego po mnie nie wrócił? W którym momencie postanowił, że woli zacząć od nowa?

Przyglądam się odbiciu swojej twarzy w lustrze. Skóra wygląda szaro, a delikatny makijaż, jaki w pośpiechu sobie zrobiłam dziś rano, spłynął. Pod oczami mam ciemne kręgi, a włosy wciąż są wilgotne i skręcone od deszczu. Wyobrażam sobie elegancką Nicole z nienaganną fryzurą. Trudno winić Jareda, że wołał ją.

Zakładając, że tak właśnie było - odzywa się inny głos w mojej głowie, spokojniejszy i bardziej racjonalny niż ja sama. Rozmyślam. Potrzebuję faktów. Wyjmuję z kieszeni telefon, sprawdzam, czy przyszły nowe e-maile, ale skrzynka jest pusta. Otwieram ostatnią wiadomość od Lincolna, wciskam „Odpowiedz” i piszę: „Proszę, sprawdź też Nicole Short”. Okropna jest myśl, że Nicole może używać nazwiska Jareda, lecz informacja od Lincolna dotyczyła stanu rzeczy sprzed czterech lat, a mniej więcej w tym czasie Nicole i Jared się pobrali.

Wciskam „Wyślij” i chowam telefon. Przyglądam włosy, wychodzę z toalety i idę przez hol. Kiedy zbliżam się do baru, widzę, że Aarona już tam nie ma. Zniknęły też szklaneczki po szkockiej, a na ich miejscu stoją dwie filiżanki z parującą kawą.

Przysuwam sobie jedną i rozglądam się, dumając, dokąd poszedł Aaron. Może stwierdził, że jestem zbyt roztrzęsiona i postanowił na własną rękę szukać Nicole? Ale chwilę później wraca do restauracji, po drodze zamykając telefon.

- Przepraszam, musiałem zadzwonić.

- Nie ma sprawy. - Chowa telefon do kieszeni, a wtedy poły jego marynarki się rozchylają i widzę pistolet zatknięty za pasek od spodni. Ogarnia mnie niepokój. Jak mu się udało wnieść broń na pokład samolotu? Podróżowanie samolotem linii międzynarodowych wymaga specjalnego pozwolenia, a takiego zwykły prywatny detektyw z pewnością by nie dostał. I po co mu broń, skoro szuka Nicole w sprawach biznesowych? Znowu się zastanawiam, czego mi nie powiedział i ile prawdy w tym, co mi wyjawiał.

- Broń przechowywałem w hotelowym sejfie - mówi, podążając za moim wzrokiem. - Nocowałem tu w zeszłym tygodniu, a właściciel hotelu okazał się tak uprzejmy, że zgodził się przechować mój pistolet. Obserwuję jego obojętną twarz i nie potrafię stwierdzić, czy Aaron kłamie. Zapada kilkusekundowe milczenie.

- Nasze pokoje są gotowe. - Podpisuje rachunek, który barman zostawił na kontuarze. - Może pójdziemy się rozpakować? - Podaje mi rękę i pomaga zejść ze stołka, ale ignoruję jego gest. Dopijam kawę i schodzę sama.

W holu idzie prosto do windy, maleńkiej i staromodnej, z zakratowanymi drzwiami. W środku jest miejsce zaledwie dla dwóch osób. Staję twarzą do drzwi, oddycham płytko, starając się nie zwracać uwagi na ciepło jego ramienia na swoim.

Jedziemy na trzecie piętro i wychodzimy na korytarz oświetlony przyćmionym światłem. Zza zamkniętych drzwi dobiega śmiech z te-

lewizorów, jakaś para kłóci się gwałtownie. Aaron zatrzymuje się pod drugimi drzwiami od końca korytarza i otwiera je kluczem.

Odwracam się i patrzę na niego znacząco, kiedy wchodzi za mną.

- Powiedziałaś „pokoje”, w liczbie mnogiej - przypominam mu.

- Nie mogłem poprosić o drugi pokój, bo zwróciłbym na siebie uwagę. Gdyby ktoś pytał, nazywasz się Jordan Bruck. Pobraliśmy się cztery miesiące temu w Mediolanie po krótkiej znajomości.

- Ja nie... - zaczynam, ale milknę. Udawanie żony tego mężczyzny wydaje mi się dziwaczne. Czy Jared i Nicole podróżowali, udając małżeństwo, zanim naprawdę się pobrali?

- Mnie też się to nie podoba - mówi tonem ostrzejszym niż kiedykolwiek; uświadamiam sobie, że myśli o żonie.

Przeciska się obok mnie i kładzie torby na podłodze pod oknem. Pokój jest wąski, większą jego część zajmuje królewskie łoże. W powietrzu unosi się zapach wilgoci.

Otwieram usta, żeby znowu zaprotestować, ale się rozmyślam. Mam nadzieję, że nie zostaniemy tu długo. Ari zapala lampkę na nocnym stoliku koło telefonu, która wypełnia pokój żółtym światłem. Spoglądam na podniszczone meble, z tęsknotą wspominając eleganckie hotelowe pokoje w Monako.

- I co teraz? - pytam, siadając na brzegu łóżka.

- Teraz czekamy. - Otwiera torbę i zaczyna w niej grzebać. Przechylam głowę.

- Na co, Ari? Myślałam, że wiesz, gdzie jest Nicole. Podnosi wzrok znad torby.

- Wiem. Zatrzymała się na północ stąd, w dzielnicy Brigittenau. Bezskutecznie próbuję zlokalizować tę część miasta.

- Nie rozumiem. Skoro wiesz, gdzie jest, to na co czekamy? Dlaczego tam nie pojedziemy, zanim znowu nam się wymknie?

Czuję, że waży słowa.

- Przede wszystkim czekam na potwierdzenie jej adresu. Ale co ważniejsze, na dziś wieczór jest umówiona z jednym ze swoich głównych wspólników. Lepiej będzie, jeśli tam ją złapiemy.

- Lepiej dla kogo?
- Dla mnie. - Prostuje się. - Dla mojego klienta. Wstaję.
- Dlaczego?
- Tego nie mogę powiedzieć.
- Cholera jasna! - wybucham. - Mam tu po prostu siedzieć i czekać?
- Jordan, chodzi nie tylko o ciebie. - Staje przede mną. Głos ma spokojny, ale policzki mu czerwienieją, a na szyi pulsuje żyła. - Wziąłem cię ze sobą i wbrew zdrowemu rozsądkowi podzieliłem się z tobą informacjami. Tyle że liczy się nie tylko odnalezienie twojego byłego chłopaka.
- Już ci mówiłam, że nie był tylko... - zaczynam. Podnosi rękę.
- Chodzi o coś ważniejszego.
Stoimy teraz twarzą w twarz i żadne nie ma zamiaru się cofnąć.
- Na przykład o co? Zaciska wargi.
- Nicole nie wyjedzie przed spotkaniem - odpowiada, ignorując moje pytanie. - Nie wie, że tu jesteśmy.
- W Monako wiedziała - dopowiadam to, czego nie wyartykułował. - Nie uciekłyby stamtąd, gdybym jej nie wystraszyła, prawda?
- Czekam, aż zaprzeczy, on jednak tego nie robi.
- Ari... - urywam, zaskoczona tym, że używam jego zdrobnienia. Od jak dawna to robię? Przetykam ślinę, fala gorąca oblewa mi twarz. -A jeśli się mylisz? - naciskam. Na jego twarzy maluje się zmieszanie, jakby wcześniej nie brał tego pod uwagę. - A jeśli Nicole jednak zdąży uciec?
- Nie ucieknie - odpowiada z pewnością siebie. - A jeśli nawet, to dowiemy się dokąd i pojedziemy za nią.
- Ale...
- Zaufaj mi. - Nie pozwala mi dokończyć. - Zabrałem cię ze sobą. Gdyby nie ja, wciąż tkwiłabyś w Monako.

Tu ma rację. Do tej pory nie wprowadził mnie w błąd. Ja jednak jestem uparta. Powinniśmy dopaść Nicole teraz, zanim znowu ją stracimy. Niechęć do naginania się do cudzej oceny sytuacji to jeden z powodów, dla których nigdy nie pracowałam z partnerem.

Dochodzę jednak do wniosku, że dalszy spór nie ma sensu. Rzucam się na łóżko.

- Mamy czas - mówi Ari. - Chcesz wyskoczyć na kawę albo coś zjeść?

Wyglądam przez okno na zalaną deszczem ulicę i kręcę głową.

- Opowiedz mi więcej o tym fałszerstwie wina.

Ari kładzie się na drugim brzegu łóżka, zachowując bezpieczną odległość.

- W ciągu ostatnich lat przemysł winiarski bardzo się rozrósł w Stanach i w Europie. Kraje rozwijające się też się nim zainteresowały: Bułgaria, Gruzja...

- Gruzja? - powtarzam z niedowierzaniem.

- Tak. Niektórzy uważają, że wino z krajów nekanych w'ojną jest szczególnie dobre. Nawet Izrael wszedł w ten interes. I mówię tu o wysokim poziomie, nie o Manischewitz.

Parskam śmiechem na myśl o słodkim jak ulepek winie, które piliśmy podczas wieczorów sederowych.

- Rynek konsumentów też się rozrósł - ciągnie - zwłaszcza w Chinach, Rosji, Indiach, tam, gdzie pojawiła się nowa klasa średnia, młodzi profesjonaliści, którzy chcą poznać zachodni styl życia.

Zakłada ręce za głowę. Kiedy się przeciąga, nie mogę oderwać wzroku od T-shirta opinającego jego tors.

- Są też rynki drugorzędne - dodaje. - Turystyka winiarska stała się lukratywnym biznesem. Wakacje połączone z wycieczkami do winnic. No i fundusze inwestycyjne.

- Fundusze inwestycyjne?

- To jak fundusze otwarte, z tym że portfelem akcji jest wino. -Ziewa. - Ludzie kupują akcje, wydają od dwudziestu pięciu dolarów do paru milionów. Fundusze skupują luksusowe wino - bordeaux, bur-

gunda - a potem przechowują je, by wino jeszcze bardziej zyskało na wartości. W Londynie nawet jest giełda, na której fundusze te mają wysokie notowania. Koneserzy wina uważają, że to bardzo seksowna inwestycja, chociaż mogą nigdy nawet nie zobaczyć, już nie wspominając o spróbowaniu wina, które kupują. Poza tym niektórzy uważają, że to bardziej stabilny sektor rynku niż inne, bo popyt na wino najprawdopodobniej będzie rosnąć.

- A problem z fałszerstwem...? - Poganiam go, próbując wrócić do tematu Nicole.

- Ludzie chcą drogich win, ale za jak najniższą cenę. Jak już mówiłem w samolocie, można podrobić doskonałą markę i wprowadzić ją na rynek po nieco niższej cenie, sprzedać wino w ilościach hurtowych i nieźle na tym zarobić. Producenci wina nie cierpią tych praktyk, ale siedzą cicho, bo jeśli konsumenci przestaną wierzyć w markę i jakość wina, ucierpi na tym cały przemysł. Dlatego fałszerze od lat działają niemalże jawnie - producenci wina im nie przeszkadzają, żeby sprawa nie wyszła na jaw.

- A co z Nicole? - pytam. - Jaką rolę ona w tym odgrywa?

- Ktoś sprzedał podróbkę bardzo cennej marki. Nicole pośredniczyła w transakcji. Jeśli odkryję, z kim robi interesy, odnajdę najważniejszych graczy.

Milknie, zamyka oczy i po paru chwilach słyszę jego równy oddech. Nadal ma ręce założone za głowę w geście, który przypomina poddanie się. Teraz już nie muszę się pilnować. Podziwiam mięśnie rysujące się pod jego koszulą, miejsce za uchem między karkiem a linią włosów. Jest zmysłowy, ale w sposób naturalny, niezamierzony - w przeciwieństwie do mężczyzn, którzy wykorzystują swoją atrakcyjność dla własnych celów. Ari wygląda surowo i naturalnie, co czyni go jeszcze bardziej niebezpiecznym.

W moim umyśle, nagle i bez ostrzeżenia, pojawia się pewna myśl. Wyobrażam sobie, że pochylam się i całuję go, a on się budzi i obejmuje mnie umięśnionymi ramionami. Z trudem wyrzucam z myśli ten obraz. Co we mnie wstąpiło? To tylko moja zraniona duma, potrzeba

potwierdzenia swojej kobiecości spowodowana tym, że Jared wybrał inną. Nie ma nic złego w moim pociągu do Aarona, lecz nie powinnam sobie komplikować sytuacji. Przede wszystkim muszę odnaleźć Jareda i poznać prawdę.

Jared się ożenił. Wbrew temu, co powiedział Ari, może to być tylko gra, sposób na ukrycie się. Wiem jednak, że to nieprawda. Jared nigdy by się nie związał dla zachowania pozorów. Ale z drugiej strony nigdy by mi nie przyszło do głowy, że mógłby sfingować własną śmierć, więc może jednak nie znałam go tak dobrze, jak mi się wydawało.

Po plecach przebiega mi dreszcz. Sięgam po koc złożony w nogach łóżka i przykrywam nas oboje. Powieki mi ciężą i wkrótce pokój znika.

Jestem w Cambridge, stoję na Midsummer Common, patrzę na północ w stronę rzeki Cam. Za mną, na tle późnopołudniowego słońca rysują się wieżycy college ow St. John i Trinity.

Dobiega stamtąd dzwonienie, słodkie i ciche. Pojawia się rower, a kiedy rozpoznaję postać rowerzysty, serce mi rośnie. „Jared!” - wołam, ale on mnie nie widzi. Nieruchomo patrzy przed siebie tymi swoimi zielonymi oczami, szybko pedałuje, a poły jego rozpiętej czarnej togi łopoczą na wietrze. Nie zwalnia ani nie skręca i przez chwilę boję się, że na mnie wpadnie. Wzdrygam się i zamykam oczy. Rowerzysta przejeżdża obok, jakby mnie tam w ogóle nie było. Szybko się odwracam, lecz jego sylwetka rozprasza się niczym pył i w mgnieniu oka znika.

Jared! Tym razem budzę się ze snu. W pokoju jest już prawie całkiem ciemno, lampka jest wyłączona, szare niebo ledwie widoczne za na wpół zaciągniętymi zasłonami.

Znowu zamykam oczy, pragnąc wrócić do miejsca we śnie, z nadzieją, że jeśli szybko z powrotem zasnę, zobaczę Jareda. Jednakże trafiam do jakiegoś obcego pokoju. To gabinet lekarski. Wdycham zapach środków odkażających, mrużę oczy w rażącym świetle jarzeniówki na suficie. Przez cienką koszulę czuję lodowate zimno metalowego stołu. Nagle w podbrzuszu czuję ostry ból, krzyczę i znowu się budzę.

Ściskam koc, bezskutecznie próbując powstrzymać dreszcze. To tylko sen. Nie, to coś więcej. Już kiedyś byłam w tym gabinecie. Od lat o nim nie myślałam, zakopałam to wspomnienie tak głęboko w umyśle, że przestało mi się wydawać rzeczywiste.

Otwieram oczy i mrugam, by oswoić wzrok z ciemnością. Kiedy rozglądam się po pokoju, przypominają mi się wydarzenia minionego dnia: lot z Monako, odkrycie, że Jared i Nicole są małżeństwem, szkocka. Głowa pęka mi z bólu. Co za brak profesjonalizmu. Ari pewnie uważa mnie za kompletną ignorantkę.

Ari. Czy zauważył, jak płakałam i trzęsłam się przez sen? Przewracam się na bok, ale miejsce obok mnie jest puste, tylko lekko zmięte prześcieradło świadczy o tym, że Ari tam leżał.

Siadam i patrzę w stronę łazienki.

- Halo? - wołam, jednak nikt nie odpowiada.

Zapalam nocną lampkę. Przy telefonie leży liścik napisany na kartce z hotelowej papeterii: „Poszedłem coś sprawdzić. Niedługo wracam. Jedzenie na stole. A. B.". Ma pochyły, strzelisty charakter pisma, a inicjały zdają się odfruwać z kartki, jakby Ari kończył pisać w biegu.

Z paskudnym smakiem przetrawionego alkoholu w ustach wstaję z łóżka i podchodzę do stołu, gdzie przy papierowej torbie stoją dwie cappuccino. W torebce znajduję aspirynę i parę ciepłych rogalików z salami i serem. Wgryzam się w jeden. Ten znajomy, swojski smak natychmiast mi przypomina o studenckich podróżach po Europie, przyjazdach nocnym pociągiem do nowego miasta. Kiedy planowaliśmy, które zabytki zwiedzić i w którym hostelu przenocować, wydawałam parę cennych monet na taką właśnie kanapkę.

Kończę jeść, popijam kawą dwie aspiryny, idę do łazienki i odkręcam kurek w wąskiej kabinie prysznicowej. Czekając, aż popłynie gorąca woda, znowu wracam myślami do Jareda. To głupie, że go ścigałam, mając nadzieję, że na mnie czeka i wciąż coś do mnie czuje. Wczoraj Ari spytał, czy zamierzam kontynuować te poszukiwania. Teraz zastanawiam się nad tym pytaniem: czy powinnam przestać? Mogłabym przerwać ten pościg i rozpocząć choć pozornie szczęśliwe życie.

Wciąż jednak muszę się dowiedzieć, dlaczego Jared wyjechał i nigdy nie wrócił. Świadomość, że gdzieś tam jest i że już nigdy go nie zobaczę, wydaje mi się nie do zniesienia.

Dwadzieścia minut później wychodzę z łazienki, po drodze susząc włosy.

- Ari? - wołam, ale pokój nadal jest pusty. Jestem zirytowana. Mógł mnie uprzedzić, dokąd idzie i kiedy wraca. Nie mogę być zależna od niego i nie wiedzieć, co robi i dlaczego.

Mój wzrok pada na migające czerwone światełko na drugim końcu pokoju. To guzik wiadomości na telefonie. Wcześniej lampka się nie paliła, ktoś musiał zadzwonić, kiedy brałam prysznic. Podchodzę do nocnego stolika i przez chwilę się waham. Z pewnością to wiadomość nie dla mnie, a Ari mówił, że nikt nie wie, że się tu zatrzymał. Pewnie to tylko pomyłka. Zaciekawiona podnoszę słuchawkę i wciskam guzik. „Masz jedną nową wiadomość” - rozlega się kobiecy głos z automatu. Na chwilę zapada cisza, po czym słyszę głos mężczyzny: „*Denisgasse achtzehn*”. Potem rozlega się kliknięcie i połączenie zostaje zakończone.

Zaintrygowana przez parę sekund gapię się na telefon. Potem wciskam guzik „Replay” i znowu odsłuchuję wiadomość, zapisując ją na kartce pod liścikiem od Ariego. *Denisgasse achtzehn*. Co to znaczy? *Achtzehn* to „osiemnaście”. Czyżby chodziło o adres?

Sięgam po torebkę. Spokojnie, nakazuję sobie, wyjmując komórkę. Ta wiadomość pewnie w ogóle nie jest dla nas. Łączę się z internetem, otwieram wyszukiwarkę MapQuest i wpisuję adres. Pojawia się mapka z zaznaczoną ulicą Denisgasse. Powiększam ją i aż mi dech zapiera w piersiach. Ulica ta znajduje się w dzielnicy Brigittenau, tam, gdzie mieszka Nicole.

Czuję przypływ adrenaliny. Dlaczego ktoś miałby zostawić taką wiadomość na hotelowej automatycznej sekretarce? Dlatego że Ari miał tu być sam.

Studiuję mapkę, zastanawiając się. Powinam zadzwonić do Ariego albo przynajmniej zostawić mu informację. Przypominam sobie

jednak, że nalegał, żebyśmy do wieczora nie zbliżali się do Nicole. Wszystko mi mówi, że czekanie to błąd - do tej pory może być już za późno, Nicole znowu wyjedzie. Nie mogę ryzykować.

Wstaję niezdecydowana, co robić. Lepiej nie zdradzać zaufania Ariego, nie jechać tam samotnie i nie narażać jego, a także mojego śledztwa. Ari niedługo wróci i wtedy spróbuję go namówić, żebyśmy wcześniej pojechali do Nicole. Wiem jednak, że to mi się nie uda. An jest tak samo uparty jak ja i nic go nie zmiękczy. Jeśli będę na niego czekać, Nicole znowu zniknie, a ja raz jeszcze stracę szansę na odnalezienie Jareda. .

Nie, muszę pojechać tam teraz. Jeśli się pośpieszę, może zdążę wrócić, zanim Ari zauważy moją nieobecność. Zdecydowana, ściągam włosy i w pośpiechu łapię torebkę. Rzucam na pokój ostatnie przepraszające spojrzenie i z kartką ściśniętą w dłoni wmykam się na korytarz.

8

Ulewa przemieniła się w drobną mżawkę, ale niebo wciąż jest złowieszczo szare, zapowiadając nadciągającą burzę. Rozglądam się na obie strony, by się upewnić, czy Ari nie wychodzi zza rogu. Potem pędzę na postój taksówek przy skrzyżowaniu i wsiałam do jedynej wolnej.

- *Denisgasse achtzehn, bitte* - mówię swoim szkolnym niemieckim. Kiedy zjeżdżamy z krawężnika, wyglądam na obcą ulicę, na puste stoliki w kawiarni pod gołym niebem. Z rosnącym poczuciem winy myślę o Arim. Przywiózł mnie tu. Gdyby nie to, nadal tkwiłabym w Monako, bez żadnego tropu. Ale jego uniki, upór, by działać według swego planu, nie zostawiły mi wyboru: muszę sprawdzić, czy uda mi się odnaleźć Nicole na własną rękę.

Czy - powtarzam w myślach, pełna wątpliwości. Mam tylko adres. Nawet nie wiem, czy zastanę tam Nicole. A jeśli, to pewnie tak samo jak w Monako nie będzie chciała ze mną rozmawiać.

Taksówka zwalnia i zatrzymuje się gwałtownie. Zaskoczona, spoglądam na kierowcę. Ari powiedział, że Nicole mieszka w innej dzielnicy, a my przejechaliśmy dosłownie jedną przecznicę. Wychylam się do przodu.

- *Entschuldigen Sie, bitte?* - dukam, ale kierowca nie odpowiada. Czuję, jak włoski na rękach stają mi dęba. Coś tu nie gra.

Nagle tylne drzwi się otwierają i zanim zdążę zareagować, do samochodu wsiada jakiś blondyn. Szukam w umyśle słów, by mu powiedzieć, że taksówka jest zajęta.

On jednak patrzy prosto na mnie, celowo wsiadł do zajętej taksówki.

- Witam, Jordan.

Zastygam. Skąd zna moje imię? Przestraszona naciskam kłamkę, ale drzwi są zamknięte. Odruchowo sięgam po pistolet, którego nie mam, i rozpaczliwie rozglądam się po wnętrzu samochodu, szukając drogi ucieczki. Mogłabym kopnięciem wybić okno i wzywać pomocy.

- Wszystko w porządku - mówi zaskakująco dobrym angielskim bez akcentu. Zważywszy jednak na to, co przeżyłam w Londynie, to niewielka pociecha. Mężczyzna opuszcza lewą rękę, jakby szukał broni. Rzucam się, by go powstrzymać, ale on uspokajającym gestem podnosi drugą rękę. - Spokojnie. Chciałem ci tylko pokazać legitymację. Jestem Tom Montgomery z placówki w Wiedniu. - Podaje mi legitymację.

Na widok pieczętki uświadamiam sobie, że to CIA. Serce wali mi jak młotem.

- Jak mnie znalazłeś? Mo cię wysłała?

- Mo? Niestety nie wiem, o kim mówisz. - Wygląda na to, że mówi szczerze. Ale skoro nie Mo go wysłała, to kto? Lincoln na pewno by mnie nie wydał, a jeśli nawet, to przecież mu nie powiedziałam, gdzie jestem. Niemożliwe, żeby tak szybko mnie namierzył. - Wysłał mnie Paul van Antwerpen.

- Dyrektor? - Z powrotem opadam na fotel. - Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

- Uprzedzał, że będziesz podejrzliwa. Poprosił, żebym przekazał, że w twoim gabinecie w Departamencie Stanu było skrzypiące krzesło, którego używał dwadzieścia lat temu. I że w San Salvadorze mieszka wasza wspólna znajoma Margaret.

Nieco się uspokajam. Często żartowaliśmy z tego krzesła, o czym mógł wiedzieć jedynie dyrektor. A o Margaret, sekretarce w ambasadzie, która w rzeczywistości była agentem wywiadu, wspomniałby tylko zaufanej osobie.

- Po co cię wysłał? Czego chce? Mężczyzna niespokojnie wygląda przez okno.

- Wolałbym tutaj o tym nie rozmawiać. Może pogadamy w jakimś zacisznym miejscu?

- Raczej nie. - Odosobnienie świadka to jedna z najstarszych podręcznikowych technik wywiadu. Nie chcę wylądować sam na sam z tym facetem, nawet jeśli dyrektor rzeczywiście go wysłał. No i muszę odnaleźć Nicole, zanim Ari odkryje moje zniknięcie i zacznie mnie szukać. - Za dziesięć minut mam spotkanie - mówię, żałując, że podałam kierowcy adres. - Porozmawiamy więc tutaj albo wysiadam.

Montgomery wychyla się do przodu i mówi coś po niemiecku do kierowcy, który włącza silnik.

- Złożyłaś rezygnację w Departamencie Stanu. - Nie odnosi się bezpośrednio do moich powiązań z jego agencją, do tej szczególnej funkcji, jaką sprawowałam przez ostatnie lata. - Mogę spytać dlaczego?

Z jednej strony chciałabym mu opowiedzieć o wszystkim, mieć już z głowy Maureen i całą resztę. Ale z drugiej dochowanie tajemnicy to część mojego układu z Mo. I chociaż ten mężczyzna mnie odnalazł, to zrobił tak na polecenie dyrektora - o ile wiem, Mo nie złamała przysięgi. Nie, mój los jest nierozdzielnie spleciony z jej losem, przynajmniej na razie, muszę więc zachować milczenie.

- To długa historia - odpowiadam w końcu.

- Są pewne procedury - mówi chłodno. - Protokół. Gdybyśmy mogli po prostu cię prześwietlić...

- W londyńskiej ambasadzie jest cała dokumentacja dotycząca mojej rezygnacji. - Jemu jednak chodzi o coś więcej niż dokumenty dla Departamentu Stanu. Moja praca jako agenta wywiadu połączyła mnie z agencją więzią, którą nie tak łatwo zerwać.

- Tak, ale szczegóły okazały się raczej skąpe. - Ogarnia mnie poczucie winy, kiedy wyobrażam sobie dyrektora, który dowiaduje się o moim odejściu i zastanawia się, dlaczego protegowana, której poświęcił tyle czasu i energii, zniknęła bez uprzedzenia i słowa wyjaśnienia. Mo, jego odwieczna rywalka, na pewno nie podzieliłaby się z nim szczegółami dotyczącymi mojej rezygnacji, nawet gdyby nie wskazywały na jej udział w tym przekręcie. Powinnam przynajmniej do niego zadzwonić. Nie zniósłabym jednak jego pytań czy rozczą-

rowania w głosie. - W każdym razie dyrektor miał nadzieję, że zmienisz zdanie.

- Tak? - To zupełnie nie pasuje do oficjalnego stylu bycia dyrektora. Te słowa mi schlebiają, ale nie zmieniają mojej decyzji ani wydarzeń, z powodu których ją podjęłam. - Niestety to nie wchodzi w grę. Nie wrócę do departamentu. - Patrzę przez okno na dostawcę lawirującego wózkami załadowanym pudłami między kałużami na chodniku.

- Nie mieliśmy na myśli departamentu - mówi mężczyzna cicho. Staram się zareagować spokojnie.

- Nie rozumiem. - Oczywiście doskonale wiem, co ma na myśli, jednak próbuję zyskać na czasie, żeby oswoić się z tą myślą.

- Jordan, tym razem zabralibyśmy cię do siebie. Pracowałabyś jako tajny agent. Twój obecny status - rozczarowany dyplomata, który złożył rezygnację - to idealna przykrywka. Możemy ci załatwić pracę w prywatnym sektorze albo na własną rękę, jeśli wolisz...

Mówi dalej, ale ja już nie słucham. Myśli kotłują mi się w głowie. Wrócić, tym razem jako jeszcze bardziej tajny agent. Mężczyzna nie mówi o oficjalnej przykrywce, jaką miał Lincoln, kiedy udawał dyplomata. Tacy agenci przynajmniej mogą mówić, że pracują dla amerykańskiego rządu, i korzystać z immunitetu dyplomaty, gdyby coś poszło nie tak. Moja rola byłaby całkowicie inna. Nieoficjalna praca pod przykrywką, bez zgody i poparcia rządu, to najtrudniejsze zadanie, jakiego agent może się podjąć.

A jednak, pomimo całego ryzyka, ta propozycja wydaje mi się interesująca. Mogłabym na własną rękę wykonywać pracę, którą uwielbiam, bez całej tej biurokracji, która tak mnie frustrowała, bez oszustw, przez które odeszłam. I chociaż nie składałabym raportów bezpośrednio van Antwerpenowi, to odkupiłabym swoją winę, wynagodziłabym zawód, jaki mu sprawiłam. Nie mogę jednak się tego podjąć, nie po tym wszystkim, co się stało.

- Nie mogę - mówię w końcu.

Na twarzy Montgomery'ego pojawia się zaskoczenie.

- Podaj swoje warunki - mówi, jakbym nie odpowiedziała, a sprawa wciąż była do rozważenia. - Na pewno nie muszę tłumaczyć, że to wyjątkowa propozycja, że dyrektor musiał zadać sobie wiele trudu.

- Przykro mi, ale nie jestem zainteresowana. - Staram się mówić z pewnością siebie, wiedząc, że jeżeli się zawaham, rozmowa na tym się nie skończy.

Montgomery wzrusza ramionami i wskazuje na kartkę, którą mi dał.

- Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń pod ten numer. - Słyszę kliknięcie, kiedy drzwi samochodu się otwierają.

Wkładam kartkę do kieszeni i wysiadam z taksówki. Cała roztrzęsiona patrzę, jak odjeżdża. Dyrektor mnie odnalazł, chce, żebym wróciła, chociaż zrejterowałam. Z pewnością w ciągu najbliższych dni jeszcze wiele razy będę się zastanawiała nad tą ofertą. Tymczasem jednak muszę odnaleźć Nicole.

Zbyt zdenerwowana, by łapać następną taksówkę, idę do metra, na dole studiuję mapę i kupuję bilet. Padam na popękane plastikowe krzeselko, wciąż jeszcze nie mogąc się otrząsnąć po tym spotkaniu.

Kiedy pociąg z turkotem wjeżdża w ciemny tunel, znowu zastanawiam się nad ofertą. Na początku swojej kariery w Departamencie Stanu raz miałam szansę przejść na drugą stronę. Wydarzyło się to podczas szkolenia w terenie w Langley. Lincoln zaprowadził mnie do sali konferencyjnej z oknem, przez które nic nie widziałam. W środku czekali na mnie dwaj mężczyźni w szarych garniturach. Czy chcę zostać agentem CIA pod przykrywką dyplomaty? Wahałam się. Zajęcie agenta wywiadu wydawało mi się atrakcyjne, ale odmówiłam, obawiając się izolacji, sekretów, którymi nie mogłabym się podzielić z najbliższymi.

Półtora roku później w Warszawie agencja znowu się ze mną skontaktowała, tym razem z inną propozycją: miałabym zostać oficerem służb dyplomatycznych przeszkolonym w wywiadzie. To zajęcie było czymś nowym, przeznaczonym tylko dla garstki starannie wyselekcjonowanych kandydatów. Zmęczona ciągłymi przeprowadzkami, szyb-

ko przyjął ofertę. W ciągu paru tygodni zwolniono mnie z ówczesnego zadania pod pretekstem konieczności opieki nad chorym krewnym i zostałam wysłana na szkolenie w Farmie.

Ale nawet potem mój status nie był jasny. Nie pracowałam dla CIA, zostałam zrekrutowana przez zewnętrzną agencję i obsadzona na stanowisku dyplomaty. Pracowałam na własną rękę, zajmowałam się tajnymi sprawami, lecz wciąż byłam do dyspozycji dyrektora. Nie musiałam meldować się szefowi placówki i - nie licząc rzadkich sytuacji, kiedy to było konieczne - nie utrzymywałam kontaktów z pozostałymi agentami.

Czy teraz chcę do tego wrócić? Kiedy odeszłam z departamentu, zdradzona przez Mo i innych, spaliłam za sobą wszystkie mosty. Teraz, z perspektywy paru dni i kilku tysięcy kilometrów, zrozumiałam, że byli oni jedynie częścią systemu - systemu, z którego byłam kiedyś taka dumna.

Jak wyglądałaby moja kariera, gdybym nie odeszła? Niewielu agentów, zwłaszcza kobiet, pracuje zawsze w terenie. Nie wyobrażałam sobie jednak, że miałabym wrócić do Waszyngtonu, utyc i zgnuśnieć za biurkiem i opowiadać w kółko te same wojenne historie, aż stałyby się nudne. Nie, nadal przyjmowałabym zadania od dyrektora, chociaż oczywiście w miarę upływu lat ich natura i ryzykowność by się zmieniły.

Dosyć tego, myślę, kiedy pociąg hamuje z piskiem na stacji Frie-densbrucke. Pochlebia mi to, że dyrektor zadał sobie tyle trudu, by mnie odnaleźć, ale ten rozdział życia już zamknęłam.

Wysiadam z wagonu i podążam za tłumem pasażerów do wyjścia. Tunel prowadzący na ulicę jest zaskakująco brudny, śmierdzi w nim moczem i śmieciami.

To nie ten Wiedeń, który znam - uświadamiam sobie szybko, gdy wychodzę na górę i idę ulicą w stronę mostu nad kanałem. Brigittenau to dzielnica imigrantów, pełna sklepów z nazwami napisanymi cyrylicą. Skądś dudni zagraniczne techno. To produkt uboczny rozwoju Unii Europejskiej: pomimo drakońskich austriackich praw dotyczących

imigrantów przybyło tu mnóstwo robotników z krajów byłego bloku wschodniego, skuszonych perspektywą wyższych zarobków w tej najbliższej z zachodnich stolic.

Kiedy tak się rozglądam po tej brudnej robotniczej dzielnicy, przypomina mi się Brick Lane, okolica w londyńskim East Endzie, gdzie parę tygodni temu ścigałam Vance'a Ellisa. Szukałam go, by dotrzeć do Duncana, z którym Jared na studiach zbierał materiały do pracy naukowej. Jeszcze przed rzekomą śmiercią Jareda strach zamknął Dun-canowi usta. Razem z Vance'em wiedli spokojny żywot, dopóki nie wróciłam do Anglii i nie zaczęłam zadawać pytań.

Przerażony Duncan uciekł z kraju, a ja śledziłam Vance'a z teatru, w którym występował, do offowego gejowskiego klubu nocnego w indyjsko-pakistańskiej dzielnicy. Chciałam się dowiedzieć, gdzie przebywa Duncan. Później tej samej nocy Vance'a znaleziono martwego. Wyglądało to na samobójstwo, ja jednak wiedziałam, że został zamordowany, dlatego że wiedział za dużo - i dlatego że rozmawiał ze mną.

Próbuję się pozbyć wyrzutów sumienia. Skręcam w Denisgasse. Już przestało padać, po burzy pozostały jedynie małe kałuże na chodniku. Tutejsze budynki są w opłakanym stanie. Apartamenty w niegdyś eleganckich kamienicach podzielono na małe mieszkania, na balkonach suszy się pranie, na ścianach wiszą anteny satelitarne. Zatrzymuję się i patrzę na drogowskaz, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zabłądziłam. Nie do wiary, że Nicole mogłaby się tu zatrzymać. Czy Jared wie, że jego żona przebywa w takich miejscach?

Dom oznaczony numerem osiemnaście to nijaki budynek z pustym sklepem na parterze, niczym się nieróżniący od sąsiednich. Wyciągam rękę do klamki, ale nagle nieruchomieję. Czy Nicole rzeczywiście tu mieszka? I czy zastanę ją samą? Może powinnam wysłać do Ariego SMS-a z informacją, że tu jestem? Nie mogłabym się jednak przyznać do tego, że ukradłam jego informację i dla własnych egoistycznych celów naraziłam jego śledztwo na szwank.

Hol za drzwiami jest malutki. Goła żarówka oświetla poplamione ściany i brudną podłogę wyłożoną płytkami oraz korytarz z kilkoma mieszkaniami. Coś mi mówi, żeby zawrócić. Nie mam pojęcia, co tu znajdę. Mogę wrócić do hotelu i udawać, że nic się nie stało. Powiedzieć Ariemu, że poszłam na spacer, a później zgodnie z planem spotkać się z Nicole.

Nagle ciszę, niczym nóż, przerywa wysoki, przenikliwy krzyk.

Odskakuję do tyłu. Krzyk dobiegający z pierwszego piętra wciąż dzwoni mi w uszach. To głos Nicole, jestem tego pewna.

Zastygam, nie wiedząc, co robić. Szaleństwem byłoby iść tam bez broni, ale jeśli sprowadzę pomoc, może być już za późno. Nasłuchuję. Cisza. Ruszam po schodach, starając się nie hałasować i trzymać jak najbliżej ściany.

Na pierwszym piętrze widzę uchylone drzwi. Podchodzę, bezskutecznie próbuję zajrzeć przez szparę do środka. Biorę głęboki oddech, lekko popycham drzwi i nieruchomieję, przerażona.

Na podłodze leży jakiś mężczyzna. Ma otwarte oczy, a jego głowę i szyję otacza kałuża krwi. Nad nim, z nożem w dłoni, klęczy Nicole.

- Nicole? - mówię. Nie odpowiada. Robię krok w głąb mieszkania. Ręce i bluzka Nicole są poplamione krwią. Podchodzę do niej i delikatnie dotykam jej ramienia. - Nic ci nie jest?

Przestraszona podrywa się i macha nożem w moją stronę. Odskakuję, w ostatniej chwili unikając dźgnięcia nożem w brzuch. Kiedy próbuje zająć mnie z drugiej strony, łapię ją za nadgarstek i przytrzymuję w bezpiecznej odległości.

- Nicole, przestań!

Patrzy na mnie oszalałym wzrokiem, zbyt zdezorientowana, by mnie rozpoznać. Za nią na podłodze leży rozbita butelka wina, której zawartość spływa ze ściany, o którą ją roztrzaskano.

- Jestem Jordan Weiss. Poznałyśmy się w Monako. Pamiętasz? Nic ci nie zrobię. - Strzela oczami na boki, próbując sobie przyswoić tę informację. Jej ręka nieco się rozluźnia, ale na twarzy wciąż maluje się

nieufność, a misterna niegdyś fryzura jest rozburzona. Skórę ma bladą i spoconą. - Co się stało?
Nie odpowiada. Jej ręka znowu się napina, a oczy się rozszerzają. Podążając za jej wzrokiem, uświadamiam sobie, że nie patrzy na mnie.

Chcę się odwrócić, ale coś z potężną siłą we mnie wali. Lecę do przodu, a Nicole wyrywa mi się i przejeżdża nożem po moim przedramieniu. Krzyczę. Krew tryska mi z nadgarstka, a ja z głuchym łupnięciem padam na mężczyznę na podłodze.

Próbuję się podnieść, ktoś mnie kopie i znowu ląduję na zwłokach. W ręce czuję przeszywający ból. Podnoszę głowę. W drzwiach mieszkania widzę Nicole, która patrzy w tej chwili na korytarz.

- Nicole... - proszę ją o pomoc, lecz ktoś brutalnie łapie mnie za kołnierz i stawia na nogi. Kątem oka dostrzegam potężnego, śniadego mężczyznę w czarnej skórzanej kurtce.

Odruchowo kopię do tyłu, próbując trafić go w krocze. Moja noga ląduje na wewnętrznej stronie jego uda. Oszołomiony mężczyzna jęczy i puszcza mnie. Odwracam się, a wtedy dostaję łokciem w szczękę, lecę w tył i uderzam głową o podłogę. Z bólu aż mi ciemnieje przed oczami. Mężczyzna biegnie za Nicole.

Z wysiłkiem, próbując złapać oddech, klękam. Słyszac kroki na korytarzu, usiłuję wstać i przygotować się do obrony. Ktoś dotyka moich pleców.

- Jordan, to ja. - To Ari. Obejmuje mnie silnymi ramionami. Nieco się uspokajam, czując jego znajomy zapach. Puszcza mnie. - Co się stało? Jesteś ranna? - W jego głosie brzmi troska.

Dopiero wtedy zauważam, że jestem cała we krwi - mojej i tego martwego mężczyzny - co sprawia, że moje obrażenia wyglądają na poważniejsze niż w rzeczywistości.

- Nic mi nie jest - odpowiadam, trzymając się za krwawiący nadgarstek.

- Czy ty...? - Przenosi wzrok na martwego mężczyznę.

- Nie - odpowiadam szybko. - Już nie żył, kiedy tu przyszedłem. Ale Nicole...

- Widziałaś ją? Była tu? Kiwam głową.
- Nie wiem, czy ona to zrobiła. Był tu jakiś mężczyzna. Uciekła, a on pobiegł za nią. Otwiera usta, jakby chciał mnie o coś jeszcze spytać, ale rezygnuje.
- Musimy zwiewać. Ktoś mógł usłyszeć hałas i wezwać policję. Jeszcze tego brakuje, żebyśmy zostali wmieszani w sprawę morderstwa. - Wstaje i pomaga mi się podnieść, a potem podchodzi do martwego mężczyzny. Przesuwa rękami po jego ciele, wyjmując portfel i zaczyna go przeszukiwać.
- Kto to?
- Później ci to wyjaśnię. - Z powrotem chowa portfel do kieszeni mężczyzny. Potem wkłada rękę pod ciało, wyjmując pistolet i wtyka go sobie za pasek. - Chodźmy.
- Ale co się dzieje? - dopytuję się, kiedy idziemy korytarzem. - Czy to ma jakiś związek z...
- Ćśśś - ucisza mnie. Zasłania mi usta dłonią i przyciska mnie do ściany. Na dole rozbrzmiewają odgłosy kroków, coraz głośniejsze. Ari odsuwa się ode mnie i wyjmując broń. Potem schyla się i daje mi znak, że bym nie ruszała się z miejsca, po czym idzie w stronę schodów.
- Zamykają się drzwi któregoś mieszkania i odgłosy kroków cichną.
- Musimy uciekać. Już!- Łapie mnie za rękę i ciągnie ku schodom.
- Na zewnątrz mnie puszcza i rozgląda się na obie strony. Szybko oddala się od budynku, nie zwracając uwagi, czy idę za nim. Z wysiłkiem próbuję dotrzymać mu kroku.
- Parę przecznic dalej wciąga mnie do jakiegoś opuszczonego budynku.
- Jak się czujesz? - pyta, przesuwając dłońmi po moich ramionach i klatce piersiowej. Jego dotyk jest bezosobowy, jakby to lekarz mnie badał w poszukiwaniu ran.
- Dobrze, tylko to mnie boli. - Podnoszę rękę. Ogląda ją ze zmarszczonym czołem.

- Głęboka rana. Mało brakowało, a Nicole przecięłaby ci tętnicę. -Zdejmuje koszulę i zawiązuje mi ją na nadgarstku, by powstrzymać krwawienie. Potem znowu podnosi wzrok. Troska na jego twarzy ustąpiła miejsca gniewowi. - Jordan, do cholery. Coś ty sobie wyobrażała?

Przygryzam dolną wargę. Obawiam się tej konfrontacji, szukam jakiegoś wytłumaczenia swojego postępowania i nie znajduję żadnego.

- Chciałam od razu pójść do Nicole - tłumaczę się bez przekonania.

- A więc ukradłaś informację dla mnie i poszłaś sama? - Nie odpowiadam. - Powinnaś trzymać się mojego planu i czekać. A ty poszłaś, nieuzbrojona i sama... - Odwraca głowę. - Mogłaś zginąć.

- Nie musiałeś mnie ratować - mówię z uporem. - Sama dałabym sobie radę. - Wiem jednak, że to nieprawda. - Poza tym nie miałam pojęcia, że coś mi grozi. - Przypominam sobie, że Ariego wcale nie zdziwił widok martwego mężczyzny na podłodze. - Ari, kim byli ci ludzie?

Spodziewam się, że stwierdzi, że nie wie, on jednak tego nie robi.

- Najpierw wynośmy się stąd - mówi. Rozgląda się na obie strony i prowadzi mnie dalej ulicą.

9

Po powrocie do naszego hotelu Ari nalewa wody do elektrycznego czajnika stojącego na niskiej ławie i podłącza go do prądu. Siadam w nogach łóżka.

- Nicole uciekła.

- Oczywiście. - Podchodzi do swojej torby, wyjmuję koszulę i plastikowe pudełeczko. - Pokaż rękę. - Czuję na skórze jego ciepły oddech, kiedy bada mój zraniony nadgarstek. Marszczy brwi. Wyjmuję z pudełka igłę do robienia szwów.

Cofam się.

- Co robisz?

- Muszę ci założyć szwy.

- Sam je założysz?

- Chyba że wolisz jechać do szpitala.

Przez chwilę zastanawiam się, ale kręcę głową. Za dużo pytań, za dużo zmarnowanego czasu.

- W armii dziesiątki razy zakładałem szwy - dodaje, otwierając buteleczkę z alkoholem do dezynfekcji. Czuję ostre pieczenie, kiedy przemywa mi ranę. Podnosi igłę. - Lepiej nie patrz.

- Dam radę. - Jednak odwracam wzrok i wpatruję się w ścianę.

- Kiedy wróciłem, ciebie nie było - mówi z wyrzutem.

- Jak mnie znalazłeś? - Ogarnia mnie poczucie winy.

- Odśluchałem wiadomość na sekretarce i wszystkiego się domyśliłem.

- Nie chciałam tego słuchać - mówię słabym głosem. - To znaczy, nie wiedziałam, czego dotyczy ta wiadomość, ale kiedy jej wysłuchałam, no...

- I teraz Nicole znowu zniknęła.

- Nawet gdybym poczekała na ciebie, i tak mogłaby wyjechać albo stałoby jej się coś jeszcze gorszego. - Przygryzam wargi, powstrzymując się od krzyku, gdy igła wbija się w moje ciało, powodując przeszywający ból.

- Pewnie by zginęła - przyznaje.

- Zginęła? - Nagle dociera do mnie powaga tej sytuacji. Gdyby Nicole zginęła, Jared znowu byłby wolny i... Przerывam te rozmyślenia, przerażona własnym cynizmem.

Kiedy zerkam na swoją dłoń, Ari właśnie zakłada ostatni szew.

- Ari, kim byli ci mężczyźni? - pytam, z trudem łapiąc oddech. Nie odpowiada, tylko zawiązuje szew i znowu oczyszcza ranę.

- Przepraszam, że poszłam sama - mówię, łapiąc go za rękę. Intymność tego gestu, jego ciepła skóra pod moją dłonią wytrącają mnie z równowagi. - Ciągłe prosisz, żebym ci zaufała, ale jak mam ci ufać, skoro nie mówisz mi prawdy? Już się kiedyś zawiodłam na ludziach, których uważałam za swoich zaufanych współpracowników i przyjaciół. Nie mogę pozwolić, żeby to się powtórzyło. Jeśli nadal będziemy się wymieniać tymi półprawdami, zaszkodzimy śledztwu i sobie samym. Albo więc działamy razem, albo nie działamy w ogóle. Najwyższa pora, żebyś mnie we wszystko wtajemniczył.

Przez parę sekund patrzy na mnie bez słowa, po czym odsuwa się. Prostuje się, podchodzi do stołu i wyjmuję dwie torebki herbaty. Dłoń lekko mu drży, kiedy wkłada je do filiżanek.

- Są dwie różne odpowiedzi na twoje pytanie. Jedna dla martwego mężczyzny na podłodze, druga dla tego, który ścigał Nicole.

- Nie działali razem?

- Nie sędzę. Ten, który zginął, to Friedrich Heigler. Był współnikiem Nicole w handlu podrabianym winem. Myślałem, że spotkam ich razem wieczorem.

- Przecież mówiłeś, że mieli przeprowadzić transakcję wieczorem.

- Taki był plan. Widocznie przesunęli godzinę spotkania na wcześniej.

- Albo Heigler przyszedł bez zapowiedzenia - sugeruję. Ari bierze łyżeczkę i obraca ją w palcach.
 - To prawda. Mogli się o coś pokłócić.
 - Myślisz, że to Nicole go zabiła?
- Przez chwilę zastanawia się nad tym spotkaniem.
- Trudno mi to sobie wyobrazić.
- Skąd może mieć pewność? Przecież jej nie zna.
- Trzymała nóż - zauważam. - Wyjaśniłaby nam wszystko, gdyby tylko została po tym, jak jej pomogłam.
 - W dość dziwny sposób okazała wdzięczność - przyznaje.
 - Albo Heiglera zadźgał ten mężczyzna, który mnie zaatakował. Kto to?
- Ari staje przede mną. Spoglądamy sobie prosto w oczy.
- Słyszałaś o Marcosie Santinim?
 - Nie. To on?
 - Nie, ale mógł to być jeden z jego ludzi.
 - Jego ludzi? - Przechylałam głowę. - Nie nadążam...
 - Santini prowadzi jedno z największych przestępczych przedsięwzięć w północnych Włoszech.
 - Mafia? - Niezupełnie. Santini ma powiązania z paroma mafiosami, jego ciotka to jeden z najpotężniejszych szefów w Neapolu... - Ciotka? - przerywam mu zaskoczona.
 - Tak, kobiety-szefowie w mafii zdarzają się częściej, niż ci się wydaje. Lucia Santini, czyli Tygrysiczka, jak się o niej niekiedy mówi, przejęła interes, kiedy jej mąż poszedł do więzienia. Jest tak samo bezwzględna jak mężczyźni. Ale Marcos to raczej biznesmen. Zarabia nie na wymuszeniach, tylko na wykorzystywaniu poufnych informacji. - Co ma wspólnego z Nicole?
 - Jak już powiedziałem, fałszowanie wina to niebezpieczny interes. Pamiętasz, co mówiłem o funduszach inwestycyjnych? - Kiwam głową. Woda w czajniku już się gotuje, para bucha z dzióbka. - Nicole

sprzedła całą partię podrobionego bordeaux funduszowi w Londynie. Kiedy się okazało, że jest sfałszowane, fundusz został zdewaluowany i stracił miliony.

- I to wszystko przez wino? - Ari przytakuje. - Było aż tyle warte?

- Nie tylko samo bordeaux. Było cenne, ale nie aż tak bardzo. Ale ta sprzedaż spowodowała efekt domina. Inwestorzy stracili zaufanie do funduszu i wycofali się, a ci, którzy zostali, ponieśli ogromne straty. - Podnosi czajnik i nalewa wrzątku do filiżanek. - Santini był jednym z nich. - Podaje mi filiżankę. - Mleka?

- Nie, dzięki. - Biorę filiżankę i dziękuję za cukier. - I teraz Santini chce się zemścić na Nicole? Ari przecząco kręci głową.

- Santini to biznesmen. Raczej próbuje odzyskać stracone pieniądze. Chociaż z pewnością w grę wchodzi tu też zranione ego. Santini uważa się za eksperta w dziedzinie wina i prawdopodobnie wkurzył się, że Nicole go nabrała.

- Nie bardzo chce mi się wierzyć w tych łagodnych mafiosów - mówię. - Nie zdążyłam mu się przyjrzeć, ale mężczyzna, który wybiegł z mieszkania Nicole, wyglądał na typowego bandziora.

- Stara szkoła mocno się trzyma - przytakuje Ari. - Nie zrozum mnie źle. Santini potrafi użyć siły fizycznej, jeśli chce coś załatwić, i potrafi być równie bezwzględny jak starzy mafiosi, a może nawet bardziej. Ale nie robi tego własnymi rękami.

- A więc wysłał tego mężczyznę, żeby wydobyć pieniądze od Nicole?

- Prawdopodobnie tak. Dowiedziałbym się, gdybym go złapał, ale kiedy znalazłem się na miejscu, on już uciekł.

Ari mógł gonić człowieka Santiniego, jednak wolał wejść do mieszkania, żeby mnie odnaleźć.

- Mafia ściga Nicole - mówię, oswajając się z tą myślą.

- W pewnym sensie. Zakładając, że ten facet jej nie złapał. - Ogarnia mnie przerażenie. Jeśli coś się stało Nicole, moje szanse na odnalezienie Jareda maleją do zera. - Nie martw się - dodaje Ari szybko.

Nicole umie zadbać o siebie. I wątpię, by człowiek Santiniego zaryzykował kolejną konfrontację tak szybko po tym, co się wydarzyło w mieszkaniu. Prawdopodobnie się przegrupują i dopiero po jakimś czasie zaczną pościg.

Przypominam sobie ciało Heiglera na podłodze i przeszywa mnie dreszcz. Ujmuję filiżankę w obie dłonie i upijam łyk, parząc język zbyt gorącą herbatą.

- Po prostu to wszystko wydaje mi się absurdalne - mówię. - Zabijać dla wina. - Wiem jednak, że chodzi nie tylko o wino, lecz i o pieniądze, tak samo jak w pracy Jareda i sekretach, które mógł ujawnić. -A władze? - pytam. - Dlaczego nie pójda z tym na policję?

- To wykluczone. Po pierwsze, ta transakcja była nielegalna, więc złożenie doniesienia na policji naraziłoby wszystkich na ryzyko. Również samą Nicole - dodaje, jakby chciał mnie uspokoić. Jeśli Nicole trafi do więzienia, nie doprowadzi mnie do Jareda. - Jak już mówiłem w samolocie, moi klienci, ci z przemysłu winiarskiego, wolą załatwić to nieoficjalnie, bo nie chcą, by sprawa fałszerstwa wyszła na jaw. - Ale skoro wiedziałeś, że mafia szuka Nicole, dlaczego zwlekałeś z konfrontacją? - pytam, upijając kolejny łyk herbaty.

- Nie miałem o tym pojęcia. Oczywiście wiedziałem, że wkurzyła paru nieciekawych ludzi, sprzedając podrobione wino, i że była umówiona z kimś w sprawie sprzedaży. Nie sądziłem jednak, że mafia spróbuje ją tutaj dopaść. - Widząc moje powątpiewanie, bierze mnie za rękę. - Moi informatorzy nie przekazali mi takich wiadomości. Gdybym wiedział, próbowałbym jak najszybciej się z nią spotkać. Milczę, zastanawiając się nad tym wytłumaczeniem. Ma sens. Tak samo jak ja, nie chciał, żeby Nicole zginęła.

- Wierzę ci - mówię w końcu.

- Oczywiście gdybyś mi zaufała, zamiast działać za moimi plecami. .. - Puszcza moją dłoń i odwraca się.

- Przepraszam - mówię szybko. - Bałam się, że Nicole znowu zniknie. - Co zresztą się stało. - Działałam odruchowo, bez zastanowienia.

- Jordan, ja też już kiedyś się sparzyłem.

Nie jestem zaskoczona. Fakt, że oboje zostaliśmy zdradzeni przez ludzi, którym ufaliśmy, to jedna z przyczyn, dla których tak dobrze się rozumiemy. Może jednak oznacza to również, że nie możemy ufać sobie nawzajem na tyle, żeby współpracować. Na tę myśl żołądek podchodzi mi do gardła. Tylko z pomocą Ariego mogę odnaleźć Jareda.

- Zawrzyjmy pakt - proponuję, wstając i biorąc go za rękę. - Już koniec z sekretami, zgoda? Mówimy sobie wszystko i zawsze działamy razem. Chronimy siebie nawzajem.

Przyglądam się mu, kiedy rozważa moją propozycję.

- Zgoda.

Przypomina mi się agent CIA, który wsiadł do mojej taksówki. Czy powinnam powiedzieć o nim Ariemu? Mam poczucie winy, ukrywając to przed nim, chociaż przyrzekliśmy sobie szczerłość. Ale ta sprawa nie ma związku z tym, czym się zajmujemy, i wolałabym nie odpowiadać na skomplikowane pytania dotyczące mojej przeszłości.

- I co teraz? - pytam tylko.

- Wracamy do punktu wyjścia. Przepytam swoich informatorów, spróbuję się dowiedzieć, dokąd uciekła Nicole, i odnaleźć ją, zanim to zrobią ludzie Santiniego.

Zastanawiam się, czy go spytać o tych informatorów, jednak się rozmyślam. Wolę nie przesadzać.

- Jest jednak coś jeszcze - dodaje. - Ten mężczyzna w mieszkaniu Nicole widział cię i wie, że ty go widziałaś. Stałaś się celem, prawdopodobnie będą chcieli cię wyeliminować.

Po plecach przebiega mi dreszcz.

- No to super. Przepłoszyłam Nicole, a siebie naraziłam na niebezpieczeństwo. - Spodziewam się, że Ari zaprzeczy albo powie, że bym nie oceniała się tak surowo, on jednak tego nie robi. - Jeśli ci ludzie są tak niebezpieczni, jak twierdzisz, to przyda mi się taka zabawka. - Wskazuję na pistolet przytroczony do paska jego spodni.

Ari unosi brew.

- Umiesz się tym posługiwać?

Szybko uświadamiam sobie swój błąd. Zwykli dyplomaci nie potrzebują broni. Nauczyłam się strzelać dlatego, że pracowałam jako agentka wywiadu. Próbuję znaleźć wiarygodne wytłumaczenie, ale niestety bezskutecznie.

- Nigdy bym nie pomyślał, że masz broń - dodaje. Niespokojnie przestępuję z nogi na nogę.

- W ciągu paru ostatnich lat miałam kilka niezwykłych zleceń. To znaczy jeszcze przed Anglią.

- Aha. - Nie wygląda na zaskoczonego. Nie, oczywiście, że nie. Przecież już widział moje dossier. Skąd, do diabła, tyle o mnie wie? Jego dostęp do informacji sugeruje, że Ari nie jest zwykłym prywatnym detektywem, choć pewnie ma jeszcze znajomych z czasów pracy w armii. Znowu czuję brak równowagi w naszej relacji, co mocno mnie niepokoi. Zapisuję sobie w myślach, żeby skontaktować się z Lincolnem, spytać, czy dowiedział się czegoś o Arim.

Znowu wracam myślami do ludzi Santiniego i z niepokojem rozglądam się po pokoju.

- Jak myślisz, wiedzą, gdzie się zatrzymaliśmy? Przeczająco kręci głową.

- Nikomu nie podawałam swoich namiarów.

Tylko temu informatorowi, który zadzwonił z wiadomością o miejscu pobytu Nicole, myślę.

- Powinniśmy być bezpieczni - dodaje Aaron. - Ale na wszelki wypadek znajdę dla nas inne lokum.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle powinniśmy zostawać w Wiedniu - stwierdzam, wstając. - Nicole wie, że ktoś jej szuka, więc pewnie znowu wyjechała.

Nie odpowiada, tylko siada obok mnie, łapie mnie za rękę, przyciąga do siebie i kładzie ją sobie na kolanach. Serce wali mi mocno. Co on wyprawia? Spozstrzegam, że po prostu ogląda moje szwy.

- Boli?

Zawstydzona tym, że źle zinterpretowałam jego intencje, odwracam wzrok, czując, jak fala gorąca oblewa mi szyję.

- Nie, wszystko w porządku.

On jednak nie puszcza mojej ręki, palcami gładzi wewnętrzną stronę nadgarstka.

- Jordan - mówi. Spoglądamy sobie prosto w oczy i nagle uświadamiam sobie, że pociąg do Ariego, który próbowałam zignorować, nie jest jednostronny. Z trudem łapię oddech. Ari podnosi moją dłoń do ust. Jestem zbyt zaskoczona, żeby zareagować. Chcę zaprotestować, ale natychmiast rezygnuję. Ari delikatnie ssie koniuszki moich palców, aż mnie przeszywa dreszcz. Kolana się pode mną uginają. Ari łapie mnie, przyciąga do siebie, prawie sadzając sobie na kolanach.

Cofam dłoń.

- Jor... - zaczyna przepraszająco i jednocześnie błagalnie. Nie pozwalam mu skończyć. Pochylam się i przyciskam usta do jego ust z taką siłą, że pada na plecy. Obejmuje mnie, pociągając mnie za sobą.

Kiedy rozpina mi bluzkę, na chwilę ogarniają mnie wątpliwości: przecież go nie znam, nie powinnam mu ufać. Ari całuje mnie coraz mocniej, przesuwa dłońmi po moim ciele. Czuję rosnące pożądanie. Oczywiście miałam innych mężczyzn: niezręczną noc z Chrisem w Londynie, która była błędem, jeszcze zanim się wydarzyła, krótkie schadzki z Markiem, oficerem wywiadu, z którym spotykałam się przed wyjazdem z Waszyngtonu. Ale nigdy nie czułam tego co teraz. Tak mogłoby być z Sebastianem, gdyby się nie okazało, że to zdrajca. Odsuwam od siebie tę myśl, poddając się namiętności, jakiej nie czułam od dziesięciu lat.

Sięgam ręką do dołu, najpierw do paska spodni, potem wkładam ją pod spód, a Ari jęczy. Idzie w moje ślady, jego ręce wędrują coraz niżej. Dotyka mnie i nagle eksploduję, całe pożądanie wybucha w jednej chwili.

- Masz prezerwatywę? - pytam szeptem, kiedy opada pierwsza fala podniecenia, a rozsądek bierze górę. Bardzo go pragnę, ale nie mogę zaryzykować i przespać się z nim bez zabezpieczenia.

Jęczy.

- Nie. Nie planowałem tego.

Przewracam się na bok, wciąż wtulając się w niego. To, że nie jest przygotowany - do seksu ze mną czy inną kobietą - z jakiegoś powodu mnie cieszy.

- Mogę pobiec i kupić... - proponuje.

Waham się. Chcę posiąść go całego, ale z drugiej strony nie chcę psuć tej chwili.

- Nie teraz.

- Dobrze. - Zgadza się, nie nalega, przyjmuje to, co mu zaoferuję. Przez chwilę myślę, że na tym koniec, lecz on unosi się, opiera na jednym łokciu, lekko popycha mnie na łóżko i wędruje ustami od moich piersi w dół. Zamykam oczy.

Potem w milczeniu leżymy w ciemności. Oddycha powoli i przez chwilę myślę, że zasnął, ale kiedy odwracam się do niego, okazuje się, że mi się przygląda.

- O co chodzi? - pytam, nagle zawstydzona, obciągając pogniecioną bluzkę.

- O nic. Zastanawiałem się tylko nad tym, co powiedziałaś wcześniej. Zdradził cię ktoś, komu ufałaś. Kto to był?

Przełykam ślinę, uświadamiając sobie, jak niewiele opowiedziałam Ariemu o tym, co się wydarzyło.

- Paru ludzi. Szukali Jareda z powodu jego badań. Mieli władzę. I Mo... - Już dłużej nie mogę milczeć. - Była zastępcą ambasadora w Londynie. Była też moim mentorem w Departamencie Stanu, myślałam, że mogę jej ufać. Potem okazało się, że sfałszowała list od mojej przyjaciółki, Sary, chorej na stwardnienie boczne, i ściągnęła mnie do Anglii, żebym doprowadziła ją do Jareda.

- Rozumiem - mówi beznamiętnie.

- Był ktoś jeszcze. - W moich myślach pojawia się twarz Sebastiana. - W Londynie pracowałam z pewnym mężczyzną, szkockim agentem. Byliśmy w jednym zespole. Okazało się, że jest zdrajcą.

- Na pewno nie mogłaś o tym wiedzieć. - Jego głos brzmi kojąco.

Wzruszam ramionami.

- Może tak, a może nie. W Anglii nie byłam w najlepszej formie. Dźwigałam bagaż przeszłości, dlatego popełniłam wiele błędów. Zbliżyłam się do Sebastiana, zaangażowałam się, przez co straciłam czujność. W wyniku tego zginęła moja koleżanka z pracy, Sophie, i jeszcze jedna osoba, a moja przyjaciółka Sara znalazła się o krok od śmierci.

Przez chwilę milczy, a ja zastanawiam się, czy zmienił o mnie zdanie, gdy się dowiedział o moich błędach. Potem jednak mnie obejmuje i wtula twarz w moją szyję. Oddychamy w tak równym tempie, że już nie wiem, kiedy kończy się jego oddech, a zaczyna mój. Wciąż czuję ciarki na myśl o tym, co właśnie między nami zaszło. Nie było to tak nieoczekiwane, jak wolałabym myśleć - zaiskrzyło między nami, odkąd się poznaliśmy, a iskrę tę jeszcze bardziej podsycalo niebezpieczeństwo towarzyszące naszemu poszukiwaniu Nicole.

Nagle sobie uświadamiam, że naprawdę go lubię. Myśl ta jest tyleż zaskakująca, co niezaprzeczalna. To nie jakiś tam przelotny romans, skorzystanie z okazji czy chwilowy pociąg fizyczny. Od czasów Jareda z żadnym mężczyzną nie rozumiałam się tak dobrze - ta nić porozumienia z Arim jest może nawet mocniejsza, bo łączą nas podobne doświadczenia, wydarzenia, które uczyniły nas tym, kim jesteśmy teraz. Istnieje między nami więź, silna chemia, które mówią mi, że to może być coś więcej.

Napinam mięśnie. Nie wolno mi. Nie mogę sobie pozwolić na tak silne zaangażowanie, moje życie jest zbyt skomplikowane, a odpowiedzi, których oczekuję od Jareda, znajdują się dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Nie sądzę zresztą, by Ari zamierzał wiązać się ze mną na poważnie. Znam takich mężczyzn, najemników pracujących na całym świecie, podejmujących się niebezpiecznych zadań. W każdym kraju mają kobietę, wyślizgują się ze związków tak gładko jak James Bond. Mężczyźni tacy jak Ari nie mogą sobie pozwolić na zaangażowanie.

Ogarnia mnie senność kojąca zamęt w głowie. Wtulam się mocniej w pierś Ariego, zamykam oczy i odpływam w sen.

Jakiś czas później budzę się gwałtownie. W pokoju panuje całkowita ciemność i przez chwilę nie mogę sobie uzmysłwić, gdzie jestem. Jak przez mgłę przypominam sobie hotel. Która godzina? W ręce czuję pulsujący ból, przypomina mi się konfrontacja z Nicole i potem zbliżenie z Arim.

Wyciągam rękę w jego stronę, ale łóżko jest zimne i puste.

Siadam.

- Ari? - Cisza. Włączam nocną lampkę. Gdzie on się podział? Zaglądam do notesu na nocnym stoliku, lecz tym razem nie ma tam dla mnie żadnej wiadomości.

Z powrotem się kładę i wspominam minione godziny, intensywną rozkosz, jaką sobie daliśmy. Czyżbym zrobiła coś nie tak? Może się rozzłościł, że przerwałam? Ale już raz popełniłam błąd. Chwila namiętności w moim pokoju w akademiku pewnego wiosennego poranka całą wieczność temu. Jared nade mną, pożądanie odbierające zdrowy rozsądek.

Wizja ta znika równie szybko, jak się pojawiła, i zastępuje ją ponury obraz gabinetu lekarskiego. Tuż po powrocie z Anglii spóźniał mi się okres, więc zrobiłam sobie test ciążowy. Zmartwiałam, kiedy na pasku pojawiła się druga różowa kresczka potwierdzająca moje obawy. Byłam zaledwie parę tygodni w ciąży, kiedy znalazłam w książce telefonicznej adres kliniki w północnej Wirginii tuż za Beltway i zadzwoniłam tam z prośbą o jak najszybszą wizytę. Recepcjonistka rozmawiała ze mną obojętnym tonem, jakbym zapisywała się do fryzjera albo na kontrolę dentystyczną.

Tego letniego poranka zadzwoniłam do prowadzącego zajęcia, powiedziałam, że jestem chora, i pojechałam do kliniki, ignorując okrzyki paru demonstrantów przy wjeździe na parking. Wypełniając formularze, skłamałam, że ktoś mnie odbierze. Nie słuchałam opisu procedury, którą przedstawiła mi pielęgniarka, ani innych możliwych

opcji. Zawsze miałam zdecydowane poglądy w tej kwestii. Na studiach, jeszcze zanim uzyskałam pełnoletność, brałam udział w demonstracjach na rzecz legalizacji aborcji. Zresztą co mogłabym zrobić? Miałam dwadzieścia dwa lata, utrzymywałam się sama, znajdowałam się na progu kariery, która zapewniała mi podróże po całym świecie. Jared nie żył. W moim życiu brakowało miejsca na dziecko.

Nie pamiętam samego zabiegu. Po wszystkim leżałam w sali z kilkoma innymi kobietami, skubałam krakersy, popijałam sok pomarańczowy i słuchałam czyjś szlochania. Zalewie parę miesięcy wcześniej byłam w Cambridge, piłam likier Pimm na imprezach pod gołym niebem i wylegiwałam się na słońcu. Jak mogłam do tego dopuścić? Zupełnie jakby moje szczęście okazało się czymś tak złym, że teraz musiałam za nie odpokutować.

Nie opowiedziałam o tym nikomu, nawet Sarze. Zakopałam to wspomnienie w umyśle tak głęboko, że niekiedy wydawało mi się, że to tylko wyobraźnia, koszmar, który nigdy się nie wydarzył. Nawet po powrocie do Anglii, kiedy zaczęłam ścigać upiory przeszłości, nie dopuściłam do siebie tamtych przeżyć. Kiedy jednak dowiedziałam się, że Jared żyje, zaczęły znowu wkradać się w moją świadomość - nieugięty cień przypominający, co kiedyś zrobiłam.

Teraz, po raz pierwszy, kiedy leżę w łóżku w hotelowym pokoju, te wspomnienia i poczucie winy wracają niepowstrzymanie, z całą siłą. Myśląc, że Jared nie żyje, zabiłam jego dziecko. Czy podjęłabym inną decyzję, gdybym znała prawdę? Chciałabym odpowiedzieć przecząco: i tak zdecydowałabym się na aborcję, wybierając karierę zawodową i życie w pojedynkę. Ale w głębi ducha wiem, że wróciłabym do Anglii i przekazałabym mu tę wiadomość. Na pewno postanowilibyśmy mieć to dziecko i założyć rodzinę. Gdybym tylko wiedziała, wszystko potoczyłoby się inaczej. Wszystko byłoby inaczej.

Teraz po raz pierwszy zrozumiałam, że przez wszystkie te lata unikałam zaangażowania nie ze względu na pamięć o Jaredzie, lecz z powodu poczucia winy wywołanego tym, co zrobiłam. Uważałam, że nie

zasługuję na szczęście, nie potrafiłam oddzielić miłości do Jareda od konsekwencji, które miały mi towarzyszyć przez całe życie.

Czując, że mur, który w sobie zbudowałam, zaczyna się kruszyć, odsuwam od siebie te wspomnienia. Myślę o Sarze. Pomimo upływu lat i tysięcy kilometrów, jakie nas dzieliły, pozostała moją najlepszą przyjaciółką, psychoterapeutką i spowiedniczką. Żałuję, że jej tu nie ma, że nie mogę z nią porozmawiać i przy jej pomocy znaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

Wyławiam z torby telefon i przez chwilę się waham. Jest środek nocy, ale to nigdy nie miało znaczenia. Wybieram jej numer.

- Halo? - odzywa się zaspanym głosem.

- Sar, to ja, Jordan. Błyskawicznie się budzi.

- Jordie, co się stało? Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku - odpowiadam szybko. Mam wyrzuty sumienia i jest mi głupio, że ją wyrwałam ze snu. - Przepraszam, że dzwonię tak późno. Chciałam się tylko przywitać.

- Cieszę się, że dzwonisz. Co u ciebie?

- Dobrze... - Urywam, nie wiedząc, ile mogę jej powiedzieć. - Mój plan nie wypalił, więc postanowiliśmy...

- My?

Odgarniam włosy z czoła. Prawie zapomniałam, ile się wydarzyło od naszej ostatniej rozmowy.

- Podróżuję z mężczyzną o imieniu Aaron, który szuka Nic... - Biorę głęboki wdech, uświadamiając sobie, że powinnam się cofnąć i wszystko wyjaśnić. Zastanawiam się, od czego zacząć. - Jared jest żonaty - wyrzucam z siebie.

- Och. - Raczej nie jest zbyt zaskoczona tą informacją. - Dobrze się czujesz?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Odkąd dowiedziałam się o małżeństwie Jareda, skupiałam się na tym, co to oznacza dla mojego śledztwa. Ale w istocie bardzo to przeżyłam - przez lata za śmierć Jareda wini-

łam los, na który nie miałam wpływu. Nie było w tym nic osobistego. Teraz, gdy rozmawiam z Sarą, dociera do mnie rzeczywistość: Jared wybrał nowe życie zamiast wrócić do mnie. Odrzucił mnie - tak jakby zerwał ze mną, jeszcze zanim skończyliśmy studia.

- Nie wiem. - Przelykam ślinę. Staram się ominąć ten temat. -W każdym razie Aaron, ten mężczyzna, o którym wspomniałam, próbuje odnaleźć żonę Jareda, Nicole. Połączyliśmy więc siły...

- Nadal szukasz Jareda - przerywa mi.

- Tak. Wciąż chcę poznać prawdę. - I zobaczyć go. - Ari uważa, że...

- Ari - powtarza tonem obserwatora, bez oceniania. - Jaki on jest?

- Pochodzi z Izraela. Przystojny. „Ciacho”, jak by to ujęli Brytyjczycy. - Krzywię się w duchu z nadzieją, że Sara nie wyczuwa, że się rumienię. — Uparty jak osioł.

- Brzmi znajomo. - Śmieje się, po chwili znowu poważnieje. - Jordie... - Nie kończy zdania, ale czuję wątpliwości w jej głosie odzwierciedlające moją własną walkę wewnętrzną. Martwi się, że tak szybko po aferze z Sebastianem znowu zaufałam niewłaściwemu mężczyźnie, jednak nie chce podcinać mi skrzydeł, jeśli wreszcie pojawiła się szansa na odnalezienie prawdziwej miłości.

- Wiem. Wydarzyło się to nie w porę, no i nadal szukam Jareda.

- Jared mnie nie obchodzi - rzuca. Jej ton, ostrzejszy niż kiedykolwiek, zaskakuje mnie. - Nic mu nie jesteś winna. Niepotrzebnie opłakiwałaś go przez lata. Naraziłaś swoje życie na niebezpieczeństwo, chcąc dopilnować, by wyniki jego badań trafiły we właściwe ręce, a teraz jeździsz po całym świecie, szukając go. - I do tego jest żonaty, dodaję w myślach, wiedząc, że ona tego nie powie. - Nie chcę, żebyś znowu cierpiała - mówi na koniec.

- Nie będę. Daję ci słowo, że jestem ostrożna. Ale już dosyć o mnie. Jak się czujesz?

- Świetnie. - Jej głos łagodnieje. - Jeszcze nie zaczęłam terapii, dopiero przeprowadzają badania. Ale tu jest pięknie i bardzo się cieszę, że Ryan ze mną przyjechał. Jutro wybieramy się na przejażdżkę nad

jezioro. Cokolwiek więc się stanie... - Czuję, że próbuje nie robić sobie zbyt wielkich nadziei, stara się cieszyć pobytem w Genewie, niezależnie od tego, czy terapia jej pomoże, czy będą to ostatnie dni jej życia.

- Sar, nie mów tak. Nawet tak nie myśl. Znajdujesz się w najlepszej klinice na świecie, a terapia na pewno zadziała. - Musi zadziałać. - Wracaj już do łóżka. Niedługo znowu zadzwonię.

Kiedy opuszczam rękę z telefonem, rozlega się kliknięcie i drzwi pokoju się otwierają.

- Halo? - wołam takim głosem jak w dzieciństwie, kiedy słyszałam rodziców idących do mnie na górę.

- To ja - mówi Ari. Użył zaimka zamiast swojego imienia, co jest równie intymne jak minioną noc. - Przepraszam, że cię obudziłem.

- Już nie spałam. Wszystko w porządku?

- Tak. Nie chciałem cię martwić. Wyszedłem po wodę. Aha, i jeszcze po to... - Sięga do kieszeni, wyjmując pistolet i kieruje lufę w podłogę, żeby sprawdzić, czy magazynek jest pusty. Zaskoczona gapię się na broń. - Mówiłaś, że potrzebujesz pistoletu - wyjaśnia. - Tak, ale...

Lekko uśmiecha się jednym kącikiem ust.

- Chyba mogę ci go powierzyć. - Potem poważnieje. - I będę spokojniejszy, wiedząc, że masz broń. - Trochę w jego głosie mówi mi więcej o jego uczuciach niż wszystko inne. Dla niego to też nie tylko pociąg fizyczny. - Na wypadek gdybyśmy musieli się rozdzielić - dodaje.

- Rozdzielić? - powtarzam. W tej chwili uświadamiam sobie, jak bardzo w tak krótkim czasie przyzwyczałam się do jego obecności, do traktowania nas jako zespołu. - Dlaczego miałyby się to wydarzyć? - Bez powodu - mówi, ale dziwny wyraz jego twarzy zdradza, że Ari coś przede mną ukrywa. - Wiesz, jak się tym posługiwać, prawda?

Uśmiecham się w duchu na wspomnienie zdumienia kolegów z pracy, kiedy pokonałam ich na strzelnicy.

- Jasne. - Ujmuję kolbę, szacuję wagę pistoletu, oswajam się z jego wielkością. - A ty?

Wzrusza ramionami.

- Mogę używać tego, który znalazłem przy ciele Heiglera.

- Jeśli wolisz, ja go wezmę.

- Nie, weź mój. Jest lepszy, bardziej przewidywalny. Ale używaj go ostrożnie. Lekko odrzuca w prawo.

Ogarnia mnie tęsknota, kiedy wyobrażam sobie glocka, którego zostawiłam w ambasadzie w Londynie. Trudno się rozstać z bronią, więc wiem, że ten gest to oznaka zaufania Ariego.

- Dzięki.

Wkładam pistolet do torebki.

- Powinienem był dać ci go wcześniej. Oczywiście nie wiedziałem. .. - Urywa. Pomimo tego, co między nami zaszło, wciąż jest urażony moją zdradą, tym, że na własną rękę szukałam Nicole. Po chwili jego twarz się rozjaśnia. - Przyniosłem jeszcze to. - Podaje mi pudełko prezerwatyw.

- Och. - Nie wiem, co powiedzieć. Podziękować czy zażartować?

- Bez presji - dodaje szybko. - Tak na wszelki wypadek.

- Na wszelki wypadek - powtarzam powoli. Znowu czuję pożądanie. Wyciągam rękę do Ariego i ciągnę go na łóżko obok siebie.

Kiedy się do mnie przytula, czuję na udzie vibracje jego telefonu. Ari nie przestaje mnie całować i przez chwilę myślę, że zignoruje telefon. On jednak z jękiem odsuwa się ode mnie.

- Halo? - słyszę płynący ze słuchawki czyjś nagłący męski głos. Chwilę później Ari się rozłącza.

- Kto to był? - pytam.

- Ktoś, kto może znać odpowiedzi, których szukamy. - Przez chwilę jeszcze leży przy mnie, po czym zrywa się z łóżka. Siadam niechętnie, obciągając bluzkę.

- Dokąd jedziemy?

- Nie ma czasu. Wyjaśnię ci po drodze. Weź ze sobą wszystkie swoje rzeczy. - Przechyliłam głowę. - Jeśli zdobędziemy tę informację, już tutaj nie wrócimy.

10

Otwieram oczy i spoglądam w pogrążone w półmroku wnętrze samochodu.

- Cześć.

Ari nie odrywa wzroku od drogi przed sobą, zmienia biegi, z łatwością manewrując po ostrym górskim zakręcie.

- Odpoczęłaś trochę?

- Mhm - mamroczę, przecieram oczy i siadam. - Gdzie jesteśmy?

- Blisko granicy.

Przed paroma godzinami wyjechaliśmy z hotelu. Ari nas nie wymeldował i chociaż tego nie powiedział, to domyśliłam się, że zrobił tak na wypadek, gdyby nas śledzono, a nie dlatego że planował powrót. Potem zaprowadził mnie do samochodu - małego czarnego fiata, który stał w garażu obok hotelu i którym teraz jedziemy. Zastanawiałam się, czy to jego samochód, a jeśli nie, to skąd go ma, ale nie pytałam, a on sam niczego nie próbował wyjaśnić. Opuściliśmy miasto w milczeniu. Na przedmieściu znajdowało się sporo domów mieszkalnych, w oknach panowała już ciemność, okiennice zamknięto na noc.

- Dokąd jedziemy? - spytałam, kiedy znaleźliśmy się na autostradzie.

- Do północnych Włoch. Do producenta win, który pomoże nam odnaleźć Nicole.

- Do Włoch - powtórzyłam, zaskoczona odległością, jaką mieliśmy pokonać, i faktem, że wracamy do rejonu, który tak niedawno opuściliśmy. - Nie byłoby szybciej samolotem?

Pokręcił głową.

- Winnica znajduje się spory kawałek na północny zachód od Triestu, najbliższego miasta.

Gdybyśmy mieli czekać na samolot, a potem wypożyczyć samochód, zajęłoby nam to tyle samo czasu.

- Aha. - To wyjaśnienie miało sens, ale nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że wybrał podróż samochodem, żeby zniknąć z radarów ludzi Santiniego.

Na południe od Wiednia krajobraz stał się bardziej surowy. Ari prowadził doskonale, przewidując zakręty i unikając wybojów z pewnością siebie człowieka znającego tę trasę. Zamilkł, nastawił radio na stację grającą jazz, a ja - ukołyszana muzyką i ruchem samochodu - znowu poddałam się senności.

Teraz siadam, wyglądam przez okno i próbuję się ogarnąć. Okolica wygląda mniej dramatycznie niż parę godzin temu: zamiast gór widać łagodne wzgórza. Jednopasmowa droga jest zupełnie pusta.

- Jak się czujesz? - pyta Ari, a ja nie wiem, czy chodzi mu o moją ranną rękę, czy o nasze zbliżenie. Zakładam, że o to pierwsze.

- Dobrze. Nadgarstek jeszcze trochę boli. Chętnie napiłabym się kawy i skorzystała z toalety.

- Ja też, ale jesteśmy na kompletnym pustkowiu. Aż tęsknię za amerykańskimi przydrożnymi knajpkami sieci Howarda Johnsona.

- Ostatnio zastąpiły je kawiarnie Starbucksa. - Uśmiecham się.

- Minęło trochę czasu - przytakuje. - W każdym razie tu nie ma co liczyć na kawę z mlekiem. Jeśli musisz skorzystać z toalety, po przekroczeniu granicy zjadę na pobocze. - Zerka na niebo, które zrobiło się jasnoszare. Domyślam się, że chce przekroczyć granicę jeszcze przed świtem.

- Nie trzeba - mówię, spoglądając na gęste, niezbyt zachęcająco wyglądające zarośla po obu stronach drogi. Otwieram okno. Rzeńskie nocne powietrze pachnie ziemią, palonymi liśćmi i nawozem. - Daleko jeszcze?

Wyjmuje z torby butelkę wody i podaje mi ją. Upijam łyk, tylko tyle, żeby zwilżyć usta, ale nie obciążyć jeszcze bardziej pęcherza.

- Nie.

Skanując w myślach mapę Europy, przypominam sobie, że Triest leży na tym maleńkim kawałeczku Włoch nad Bałkanami.

Ari bierze ode mnie butelkę i upija kilka dużych łyków. Patrząc, jak jego grdyka się porusza, przypominam sobie minioną noc. Bardzo chcę jak najszybciej odnaleźć Nicole, ale z drugiej strony żałuję, że nie jesteśmy w hotelu i nie możemy dokończyć tego, co zaczęliśmy.

Jedziemy dalej pustą drogą i parę minut później docieramy do przejścia granicznego. Stoi tam budynek niewielki większy od szopy ogrodnika. Za brudnym oknem widzę dwóch wartowników: jeden drzemie, drugi ogląda czarno-biały film w małym telewizorze. Nie ma tu żadnej bramy ani posterunku, moglibyśmy niezauważenie wjechać do Włoch. Zupełnie inaczej niż za moich studenckich czasów, kiedy na granicy celnicy dwa czy trzy razy w ciągu jednej nocy pukali do drzwi naszego przedziału i bez pytania zapalali światło, żeby przejrzeć nasze dokumenty.

Ari podjeżdża do szopy i lekko puka do drzwi. Strażnik wystawia głowę, leniwie przegląda paszporty i ruchem głowy daje znak, że możemy jechać dalej.

- Brakuje mi pieczętek w paszporcie - zauważam, kiedy strażnik zamyka za sobą drzwi.
 - Unia Europejska bez granic ma swoje zalety, ale to nie jedna z nich - przytakuje Ari.
- Zauważam, że program radiowy zmienił się z muzycznej audycji na jakąś debatę po niemiecku.
- Czego słuchasz?
 - Wiadomości i komentarzy. - Krzywi się. - Mówią o sytuacji w Izraelu i Gazie.

Kiwam głową. Przed moim wyjazdem z Londynu prasa rozpisywała się o atakach Izraela na Hezbollah i związanych z tym reperkusjach dla Palestyńczyków.

- Ostatnio wypadłam z obiegu. Co się tam dzieje?
- Izrael zaatakował bastion Hezbollahu i zginęła pewna liczba cywilów.
- To straszne.
- Straty wśród ludności cywilnej są straszne - przyznaje - ale nieuchronne.

Jego chłodny, zdystansowany ton wprawia mnie w irytację. Czy uważa, że śmierć jego rodziny to też strata wśród ludności cywilnej?

- Ale jeśli twój kraj...

- Który? - przerywa mi, sztywniejąc.

Waham się. Przez ten jego akcent i ciemną karnację łatwo zapomnieć, że jest również Amerykaninem.

- Izrael - mówię w końcu. Czerwienieje.

- Powinniśmy móc się bronić. Nikt inny nie zadba, by Żydzi mieli własny kraj. Pamiętam, co ojciec opowiadał, kiedy byłem mały, o tym, jak jego rodziców wyrzucono z kilkunastu krajów, kiedy próbowali uciec do Europy. Nie zrozum mnie źle. Kocham Amerykę i w nią wierzę. Ale kiedyś razem z całą resztą świata odwróciła się od Żydów.

- I myślisz, że to się może powtórzyć?

- Tak. Dlatego zawsze wybiorę Izrael. Jeśli będę musiał wybierać -dodaje.

Wzbiera we mnie gniew.

- W takim razie może nie powinieneś mieć amerykańskiego obywatelstwa.

- Od kiedy to obywatelstwo oznacza ślełą lojalność? Ty nigdy nie kwestionujesz decyzji swojego rządu? - Kwestionuję. I nie twierdę, że nie popieram Izraela. Rozumiem, że to państwo jest potrzebne. Ale używamy holokaustu jako wymówki dla tego, by się wyróżniać spośród innych i nie stosować do zasad, które narzucamy innym.

- To było ludobójstwo! - wybucha. - Zamordowano sześć milionów ludzi.

- A co z Rwandą, Jugosławią, Kambodżą? - pytam. - Czy w Darfurze jest mniej strasznie? A może świat mniej się nim interesuje, bo ofiary nie są białe i nie dzieje się to w Europie? - Urywam, lecz Ari nie odpowiada. - Ari, nie twierdę, że holokaust nie daje Żydom prawa do stworzenia własnego państwa, ale przemieniliśmy to w prawo do stosowania przemocy. Z naszego cierpienia uczyniliśmy miecz zamiast

tarczy, używamy go do atakowania innych - tak samo jak kiedyś łamano nasze prawa.

Wali dłonią w tablicę rozdzielczą.

- Nie żyłaś tak jak my, otoczona przez wrogów. Wyobraź sobie tylko, ludzie, którzy życzyli ci śmierci, mieszkali zaledwie parę metrów od ciebie. Z naszego domu do granicy można było dojechać szybciej niż kolejką w Waszyngtonie do pracy.

Patrzę na niego, zaskoczona tym, jak w tak krótkim czasie temat nas rozpala. Przetykam ślinę, próbuję się wycofać.

- Nie mówię, że Izrael nie powinien się bronić, ale zachowanie proporcji, odpowiedzialność wobec niewinnych cywilów...

- Nie byłaś tam - powtarza. - Bez ofiar właściwie nie da się walczyć z wrogiem, który prowadzi wojnę partyzancką, używa cywilów jako tarcz ochronnych. Robimy, co możemy, żeby przetrwać.

Rośnie we mnie frustracja. Ari to inteligentny człowiek - dlaczego jest tak ślepy na błędy swojego rządu? - To samo można powiedzieć o Stanach Zjednoczonych - mówi, zanim udaje mi się coś wtrącić. - Wtargnęli do Iraku i obalili rząd, ale ignorują konflikty, gdzie cierpi więcej osób, na przykład w Kongu albo w Sudanie.

Przygryzam dolną wargę. W ciągu ostatnich lat wiele razy zetknęłam się z takimi opiniami na temat Stanów i - tak samo jak teraz - narasta we mnie potrzeba obrony mojego rządu. Ari ma jednak rację. Tak samo jak Izrael jesteśmy winni agresji, może nawet większej, choć nasz kraj nawet nie leży blisko wrogich krajów, więc bezpośrednie zagrożenie nie sankcjonuje naszego działania.

- Nie przeczę - mówię w końcu. - Myślę, że oba kraje poczyniły drastyczne kroki, które trudno usprawiedliwić. Ari lekko kręci głową.

- Uważam, że w wypadku Izraela cel uświęca środki.

Ramiona mi opadają. Ari prezentuje postawę, jaką ja prezentowałam jeszcze niedawno: nie może uznać słabości swojego rządu, bo wtedy runęłyby wszystkie jego przekonania. Z trudem powstrzymuję się

od bronięcia swoich racji, od tego, by postawić na swoim. Nie zamierzam teraz go przekonywać.

- Może na razie odłożymy politykę.

Nie odpowiada, patrzy prosto przed siebie na drogę, ignoruje moją propozycję zawarcia pokoju.

Chwilę później skręcamy w węższą, krętą drogę. W bladym świetle przedświt widzę, że wzgórza po obu jej stronach to pola i tylko gdzieś tam stoi farma. Z ciężarówek wysypują się robotnicy.

Niedługo potem znowu skręcamy, tym razem na nieoznakowany podjazd wysypany żwirem. Na jego końcu stoi kamienny budynek niczym się nieróżniący od dziesiątek podobnych, które mijaliśmy.

Ari zwalnia i w tej samej chwili znad horyzontu wyłania się słońce. Ziemia za budynkiem tworzy strome zbocze, za którym znajduje się zalana światłem poranka dolina, nieskończone rzędy drewnianych kratownic.

- To winnica Contich - wyjaśnia Ari, kiedy wysiadamy. - Należą do największych producentów wina w tym rejonie. Signor Conti jest znanym na całym świecie sommelierem i znawcą wina. Ma mnóstwo znajomości w tej branży, więc liczę na to, że pomoże nam odnaleźć Nicole.

Liczę na to - powtarzam w duchu. Jechaliśmy całą noc dla tak niepewnego tropu? Mam ochotę spytać, czy Ari wierzy, że dostaniemy pomoc, czy nie mógł tego potwierdzić telefonicznie, nie opuszczając miejsca, w którym ostatnio widzieliśmy Nicole. Ale on już idzie ścieżką prowadzącą do domu. Podążam za nim, spoglądając w dół na winnicę, gdzie orzeł szybuje nad uprawami.

Kiedy stajemy przed werandą, przyglądam się domowi, zastanawiając się, czy obudzimy gospodarzy, po chwili jednak zauważam światło palące się w oknie od frontu. Szkło w drzwiach jest stłuczone, jego poszarpane brzegi dziwnie nie pasują do zadbanego wnętrza.

Drzwi się uchylają i wygląda zza nich zdenerwowana starsza kobieta. Na widok Ariego uśmiecha się i otwiera drzwi na oścież.

- Aaron! - woła, wychodzi z domu i całuje Ariego w oba policzki.

- *Buongiorno, signora.*

Signora Conti musi się zbliżać do osiemdziesiątki. Ma pulchną figurę i kilka podbródków, ale pod całym tym tłuszczem kryje się zgrabna sylwetka niegdyś oszałamiająco pięknej kobiety. Szybko trajkocze do Ariego po włosku, urywając na chwilę, by oszacować mnie wzrokiem, po czym znowu odzywa się do niego z wyrzutem w głosie. Ari zdumiewająco płynnie mówi po włosku. Ile języków zna?

Kobieta zaprasza nas do środka. Podłoga jest wyłożona prostymi, szerokimi panelami, pod kamienną ścianą stoi kominek. Za ogromnym dębowym stołem, który zajmuje większą część pokoju, znajduje się kuchnia z widokiem na dolinę.

Ari ruchem głowy wskazuje mi małą łazienkę za kuchnią, a ja z ulgą czmycham w tamtą stronę. Po moim powrocie kobieta prowadzi nas do drzwi piwnicy w głębi pokoju i odchodzi.

- Rodzina Contich ma fascynującą historię - mówi Ari cicho, kiedy idę za nim po schodach. - Ella Conti to Żydówka francuskiego pochodzenia, ze znanej rodziny winiarzy. Podczas wojny naziści odebrali im winnicę, a Ellę zesłano do obozu koncentracyjnego w pobliżu. Franco Conti nie jest Żydem, ale jako nastolatek został aresztowany za współpracę z ruchem oporu. Poznali się w obozie. Po wojnie osiedli tutaj i podjęli tradycję produkcji wina.

Schodzę za Arim do piwnicy pogrążonej w półmroku. Jest zdumiewająco duża, dwa razy dłuższa od domu. Półki od podłogi aż po sufit pełne są butelek wina.

Starszy mężczyzna za biurkiem na drugim końcu pomieszczenia podnosi głowę. Ma rozwichrzone, czarno-siwe włosy, oliwkową cerę i krzaczastą brodę. Kiedy wstaje, zauważam, że jest tęgi, ale potężnie zbudowany, ma umięśnione ręce i szeroką, wypukłą klatkę piersiową. Czeka, aż podejdziemy, i tak samo jak żona całuje Ariego w oba policzki. Potem podaje mi dłoń. Chcę ją uścisnąć, lecz on podnosi ją do ust i całuje, łaskocząc mnie węsami.

Ruchem ręki zaprasza, żebyśmy usiedli, i odwraca się do ściany za sobą, omiatając wzrokiem półki zupełnie jak bibliotekarz swoje zbiory. Bez słowa znika za jakimiś niskimi drzwiami.

Ari podsuwa mi krzesło stojące przed biurkiem i siada na drugim. Po chwili signor Conti wraca, tuląc w ramionach niczym niemowlę zakurzoną butelkę. Spod biurka wyjmuje trzy kieliszki, napełnia je winem, podsuwa nam dwa i unosi swój takim ruchem, jakby w picciu wina przed śniadaniem nie było nic dziwnego. Żołądek, jeszcze osłabiony po wczorajszym przepiciu, podchodzi mi do gardła. Ari bierze swój kieliszek i z jego miny wnioskuję, że powinnam zrobić to samo.

- Mmm - mruczę po upiciu łyka. Nigdy nie byłam koneserem win, ale to naprawdę jest wyborne, z lekkim posmakiem oliwek, rodzynek i fig.

- Najnowsza marka signora Contiego - wyjaśnia Ari.

- Doskonale.

Mężczyzna marszczy nos i odstawia kieliszek.

- Mieliśmy, jak to się mówi, nieurodzaj. - Po angielsku mówi wolno i ostrożnie, lecz zrozumiale. Lekceważąco macha ręką, mlaszcząc językiem. - Nie, ta marka będzie dobra tylko na tani weekend dla turystów w Maladze. - Odwracam wzrok, zawstydzona tym, że źle oceniłam jakość wina. Mężczyzna zwraca się do Ariego. - Nie przyjechałeś tu, żeby rozmawiać o moim winie. Jak mogę ci pomóc?

Ari już ma odpowiedzieć, gdy na szczycie schodów rozlega się jakiś hałas. Na twarzy Contiego pojawia się przestraszony wyraz, który ustępuje miejsca uldze, kiedy mężczyzna rozpoznaje swoją żonę.

- Si, *bella*?

Signora Conti daje nam znak, żebyśmy poszli za nią. Drewniany stół na górze przykryła białym obrusem i ustawiła na nim jasnoniebieskie talerze. Całe sterty mięsa i sera, koszyki ze świeżo upieczonym chlebem i patery z owocami - zupełnie jakby gospodarze spodziewali się towarzystwa.

Ari pada na krzesło, opanowując chęć, by jak najszybciej zdobyć informację i ruszyć w pościg za Nicole. Konwenanse zmuszają nas do

skorzystania z gościnności Contich, to cena, jaką musimy zapłacić za potrzebne wskazówki. Niewielka cena, myślę, wgrzając się w jeszcze ciepłego croissanta z koszyka, który podsunęła mi signora Conti, i popijając go cappuccino.

Signor Conti sięga za siebie, zdejmując butelkę wina z kominka i odkorkowuje ją.

- Myślę, że to będzie wam bardziej smakować - mówi, nalewając wina. Znowu wino do śniadania. Czy oni nie słyszeli o soku pomarańczowym?

Ari upija łyk wina i przez chwilę przepłukuje nim usta.

- Wyśmienite - mówi zupełnie poważnie. Przechyla głowę. -Rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi?

- Dziewięćdziesiąty trzeci - odpowiada signor Conti, a z błysku w jego oku domyślam się, że to gra, którą uprawiają od lat. Potem zwraca się do mnie. - Signora?

Wszyscy patrzą na mnie wyczekująco, więc próbuję wina, uśmiecham się i kiwam głową. Szczerze mówiąc, nie widzę różnicy między tym a tamtym, którego próbowaliśmy w piwnicy, ale nie chcę powiedzieć czegoś głupiego i znowu wyjść na idiotkę.

Wyraźnie zadowolony signor Conti zwraca się do Ariego.

- Powiedźcie mi teraz, dlaczego przyjechaliście.

Ari milczy przez chwilę, żując prosciutto. Wiem, że zastanawia się, jak wyjaśnić nasz dylemat i ile powiedzieć Contiemu.

- Szukamy pewnej kobiety, która pracuje w przemyśle winiarskim. Nazywa się Nicole Martine albo Nicole Short. Mężczyzna zaciska wargi, jakby spróbował skwaśniałego sera. - Znam ją.

- Czy to ma coś wspólnego z Chateau Cerfberre rocznik czterdziesty trzeci? - pyta signora Conti. Po raz pierwszy słyszę, jak mówi po angielsku. Jej wymowa jest o wiele gorsza niż męża.

- Ella... - Jej mąż mówi ostrzegawczym tonem. Na jej twarzy pojawia się niepokój, jakby powiedziała za dużo.

- W pewnym sensie tak - przyznaje Ari.

- O co chodzi? - pytam zaintrygowana.
- Nie powinniśmy... - zaczyna signor Conti. Jego dłoń delikatnie drży, przez co kropla wina spada na obrus.
- Nie, kochanie. - Signora Conti lekko poklepuje męża po ramieniu. - To wspaniała historia. - Odwraca się do Ariego. - Pójdzie szybciej, jeśli nie będę jej opowiadać po angielsku. Możesz tłumaczyć?
- To porzekadło, które mówi, że nieurodzaj zapowiada wojnę, a urodzaj jest zapowiedzią pokoju - tłumaczy Ari. - Tuż przed wojną we Francji z powodu złej pogody i chorób panowała klęska nieurodzaju. Zdarzyło się to wcześniej w tysiąc dziewięćset czternastym roku, więc francuscy producenci win bali się, co się stanie z ich winnicami, kiedy wkroczą Niemcy. Czym prędzej zebrali winogrona i pochowali tysiące butelek, gdzie tylko mogli: za fałszywymi ścianami, w piwnicach i jaskiniach.
- Ich strach okazał się niebezpieczny. Po inwazji na Francję Niemcy w każdym regionie umieścili weinfuhrerów, którzy mieli załatwiać interesy z miejscowymi producentami wina, wysyłać wino do Rzeszy, płądować w zorganizowany sposób. Narzucili drakońskie warunki, żądali takiej ilości wina, jakiej Francuzi nie mogli dostarczyć z powodu braku sprzętu i robotników.
- Pamiętam, co się wtedy działo w mojej rodzinie - signora Conti mówi łamaną angielszczyzną. - Nie mieliśmy jak uprawiać winorośli, brakowało nam szkła na butelki. Żeby nie umrzeć z głodu, musieliśmy siać inne rośliny, zamiast uprawiać winorośl.
- Ponieważ Francuzi nie zdołali wyprodukować wymaganej ilości wina, Niemcy zażądali go z prywatnych zasobów producentów - tłumaczy dalej Ari, kiedy signora Conti znowu przerzuca się na włoski. - Oszukiwali Niemców, oddając im wina gorszej jakości, z podrobionymi etykietami, a nawet rozcieńczone wodą.
- Większa społeczność też pomagała - wtrąca signor Conti. - Odciągali wino z beczek jadących do Niemiec, nawet zawracali całe transporty.

Signora Conti rzuca mu pełne irytacji spojrzenie, jakby ta historia należała tylko do niej, po czym ciągnie swą opowieść.

- Tak więc podczas wojny producenci przeżywali ciężkie chwile. Ale jedna winnica w Bordeaux, Cerfberre, chyba... - Ari urywa, szukając odpowiednich słów. - Chyba okazała się oporna. Cieszyli się urodzajem i produkowali wino najlepsze w tym pokoleniu. Oczywiście inni producenci zazdrościli im tej prosperity. Co gorsza, rodzina Cerfberre była żydowska.

Chrząka, usiłuje dotrzymać tempa signorze Conti, która mówi coraz szybciej.

- Rodzina Cerfberre próbowała ukryć przed Niemcami produkcję z rocznika czterdziestego trzeciego, ale Herr Baumgarten, *Weinfuhrer* tego regionu, o wszystkim się dowiedział i *zażądał*, by produkowano wino tylko dla niego. Chciał rozdawać prezenty dowódcom SS.

Monsieur Cerfberre wiedział, że nie może odmówić, ale dostrzegł swoją szansę i był na tyle odważny, by negocjować: w zamian za wino *zażądał*, by wypuszczono z okupowanej Francji jego rodzinę i jego kilkunastu żydowskich robotników, w tym zarządcę winnicy. Oczywiście nie śmiał negocjować tego bezpośrednio z nazistami. Zrobił to za pośrednictwem burmistrza miasta i swojego wieloletniego przyjaciela, François Merciera.

Baumgarten zgodził się i dobito targu. Ale w ostatniej chwili ktoś ukradł prawdziwe wino i na jego miejsce podłożył butelki z gorszych winnic... - Ari przerywa tłumaczenie i wymienia pełne niepokoju spojrzenia z signorą Conti.

- O co chodzi? - pytam.

- Nic, nic - odpowiada szybko. - Nie potrafiłem przetłumaczyć pewnego sformułowania. - Zerkam na signorę Conti, która zaciska usta. - Baumgarten był koneserem wina i od razu się zorientował, że go oszukano. Zatrzymał robotników na granicy i wysłał ich do obozu koncentracyjnego.

- Czy któryś z nich przeżył?

- Tylko jeden - signor Conti odpowiada po angielsku, kładąc rękę na dłoni żony.
- To znaczy...? Signora Conti kiwa głową.
- Javier Cerfberre był moim wujem.
- Jako dziewczyna moja żona pracowała w winnicy, przyuczała się do zawodu - wyjaśnia signor Conti, spoglądając na moją zdumioną twarz. - Po wojnie nie było do czego wracać, więc postanowiliśmy wskrzesić tradycję, zaczynając tutaj od zera.
- A pozostali? - dopytuję się.
- Jak wielu innych, pochłoneła ich nazistowska machina śmierci - mówi cicho, z nieobecnym wyrazem twarzy, a Ari tłumaczy jej słowa. - Jak na ironię Baumgarten nie żywił nienawiści do Żydów. Sam miał żydowskich krewnych. Nie mógł jednak znieść tego oszustwa, więc moja rodzina i ci, którzy dla niej pracowali, musieli za nie zapłacić.
- Jeszcze większą ironią losu jest to, że Baumgarten nigdy nie dostał oryginalnego wina - dodaje Ari, tym razem już od siebie. - Zniknęło. Jedni uważali, że zabrali je naziści, inni, że wpadło w ręce ruchu oporu.
- Aż do tej pory - wtrąca signora Conti. - Teraz wszyscy myślą, że odnalazła je ta Nicole. Ari i ja spoglądamy na siebie ze zdumieniem.
- Wino? - pytam.
- Tak, Cerfberre rocznik czterdziesty trzeci. - Signora Conti urywa i patrzy na męża, jakby prosiła o wskazówkę. On jednak tylko wzrusza ramionami i odwraca wzrok, zniechęcony tym, że powiedziano już tyle, że nie da się tego cofnąć.
- Myśleliśmy, że ta transakcja to fałszerstwo - mówi Ari.
- Bo tak było - odpowiada signor Conti. - Niektórzy jednak twierdzą, że to nie wszystko, że prawdziwe wino jest... - Urywa w pół zdania. - Dlaczego o to pytasz?
- Jak już mówiłem... - zaczyna Ari - próbujemy odnaleźć Nicole Martine. Conti bawi się korkiem od wina i wbija wzrok w stół.

- Nie powinienem o tym z wami rozmawiać. Ale mam dług wdzięczności... - Patrzy przez stół na żonę, porozumiewa się z nią bez słów, zastanawia się, ile powiedzieć. Signora Conti lekko kiwa głową, wydając zgodę. - Wczoraj przyszli pewni ludzie, ludzie z koneksjami. Pytali, czy słyszałem coś o tym winie. Zważywszy na powiązania mojej żony z winnicą, w której powstało, pewnie myśleli, że coś wiemy. Zachowywali się niezbyt uprzejmie.

To tłumaczy stłuczone szkło przy drzwiach wejściowych i zdenerwowanie Contich, kiedy przyjechaliśmy.

- Wierzycie, że to wino zostało odnalezione? - pyta Ari łagodnie.

- W ciągu tylu lat tak wiele się wydarzyło. Równie dobrze może leżeć na dnie morza. Nie wiem, gdzie jest, i nie chcę wiedzieć. Ale ci ludzie chcieli wiedzieć, a to oznacza niebezpieczeństwo. Rozumiesz, o czym mówię?

- Rozumiem. - Ari kiwa głową. - Signor Conti, czy nie orientuje się pan, gdzie możemy znaleźć Nicole?

- Nie wiem... - Mężczyzna urywa. - Może na Cyprze. - Zaciska usta.

Ari i ja spoglądamy na siebie w milczeniu, wspólnie uznając, że tutaj już niczego więcej się nie dowiemy.

- Dziękujemy za gościnę - mówi Ari takim tonem, jakby zamykał sprawę i szykował się do wyjścia. - Jedzenie jak zwykle było pyszne. - Patrzę na jego talerz i zaskoczona stwierdzam, że w trakcie rozmowy zjadł całe śniadanie. Ja w pośpiechu ledwie ugryzłam parę kęsów owoców, by zaspokoić głód i nie wyjść na niegrzeczną. - Mam nadzieję, że wybaczą państwo, że wyjedziemy tak szybko po tym wspaniałym śniadaniu, ale musimy ruszać dalej.

- Przecież dopiero... - zaczyna signora Conti, a ja przez chwilę myślę, że zacznie nas namawiać, żebyśmy zostali dłużej. Nagle przypo-

mina mi się gościnność, z jaką przyjęto mnie w Warszawie. Polacy mawiali „Gość w dom, Bóg w dom”, a każda wizyta - niezależnie od okazji - przeciągała się w wielogodzinną ucztę. Ale signor Conti wstaje, przerywając żonie.

- Oczywiście. Poproszę cię jeszcze na chwilę. - Ari idzie z nim do kuchni. Widzę, jak rozmawiają cicho, głowa przy głowie. Signor Conti to dżentelmen, nie chce szeptać przy mnie, lecz chce powiedzieć coś Ariemu na osobności.

Signora Conti i ja patrzymy na siebie ze skrepowaniem.

- Ari to dobry chłopiec - odzywa się w końcu. Uśmiecham się i kiwam głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Kiedy panowie wracają, signora Conti podaje Ariemu dwie butelki wina.

- Nalegam.

- Dziękuję. - Ari bierze wino i wkłada je do torby.

- Obiecujcie, że wstapicie do nas, kiedy już wszystko załatwicie i będziecie mieć więcej czasu - prosi signora, prowadząc nas na werandę. Jej mąż podnosi rękę i z pewnej odległości macha nam na pożegnanie. Signora Conti całuje Ariego w oba policzki i to samo robi ze mną, jakby wspólne zjedzenie posiłku oznaczało, że odtąd jesteśmy rodziną. Potem odwraca się, szybko wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi.

- To było interesujące - mówię, kiedy idziemy do samochodu. -Bez sensu, ale interesujące.

- Wcale nie bez sensu. Dowiedziałem się dokładnie tego, na co liczyłem.

Zatrzymuję się i spoglądam na niego.

- Naprawdę? Cóż takiego? On jednak kręci głową.

- Nie tutaj.

Starając się nie biec, w milczeniu idę za Arim i wsiadam do samochodu. Kiedy zamyka drzwi, jego ruchy sprawiają wrażenie precyzyj-

nych, wkurzająco powolnych, jakby rozkoszował się ostatnimi sekundami posiadania informacji, których nie znam.

- No to o co chodzi? - pytam, już nie mogąc się dłużej powstrzymać. - Co takiego ci powiedział?

- Wszystko. - Uruchamia silnik. - Podał mi dokładne zamiary na Nicole.

11

- Nicole mieszka w Grecji? - powtarzam parę minut później, kiedy skręcamy na główną drogę.
- Tak. Słyszałaś o Zakynthos? - Nie czeka na odpowiedź. - To jedna z wysp na Morzu Jońskim przy zachodnim wybrzeżu Grecji.

- Wydawało mi się, że wspominał o Cyprze.
- Nie wyraził się precyzyjnie. Poza tym powiedział, że nie jest pewien, co również nie było prawdą. Myślę, że po prostu nie chciał mówić przy tobie. - Ari na chwilę milknie, żeby ominąć stado gęsi, które wmaszerowało na drogę. - Nie znał dokładnego miejsca jej pobytu, ale ta wyspa nie jest aż tak ogromna, więc na pewno uda nam się znaleźć Nicole.

A więc jednak nie podał ci dokładnych namiarów - mam ochotę mu wytknąć. Nie robię tego jednak.

- Skąd może wiedzieć, gdzie jest Nicole? - pytam tylko. Ari wzrusza ramionami.
- Signor Conti jest znanym producentem wina i ma kontakty na całym świecie. Prawdopodobnie mają wspólnych znajomych.
- Albo razem robili interesy?
- Nie sądzę. Jest zbyt poważany, by wikłać się w tego rodzaju przekręty.
- Myślisz, że jego informacje są prawdziwe? Kiwa głową, znowu uruchamiając silnik.
- Moi informatorzy muszą to potwierdzić, ale sprawiał wrażenie całkiem pewnego. Wiem, że można mu wierzyć.

Kiedy skręcamy na główną drogę, wyglądam przez okno, wbijając palce w tapicerkę fotela. Jared może być w Grecji. Pamiętam, jak się zdziwiłam, kiedy Mo powiedziała, że ostatnio widziano go w Monako

przypuszczałam, że przebywa raczej w RPA albo w jednym z tych egzotycznych krajów, w których ukrywał się przez ostatnie dziesięć lat. A Grecja znajduje się zaledwie kilkaset kilometrów stąd.

- A co z tymi ludźmi, którzy wtargnęli do jego domu? Myślisz, że im też przekazał tę informację?
- Próbowałem go o to spytać, oczywiście delikatnie - odpowiada Ari. - Zaprzeczył.
- Wierzysz mu?
- Chyba tak. Conti to stary twardziel.
- Ale oboje wyglądali na przestraszonych.
- Masz rację, lecz nawet jeśli tamci zmusili go do mówienia, z pewnością wyjawiał jak najmniej, a może nawet wprowadził ich w błąd. Jeśli jednak dowiedzieli się, gdzie jest Nicole, to mają dzień przewagi nad nami.

Odwracam się do niego.

- Ta historia, którą opowiedziała signora Conti, ta o winie dla nazistów, była po prostu niesamowita.
- Niewiele osób wie, jak ważna była rola wina podczas wojny. Ruch oporu ukrywał broń i amunicję w winnicach. Chowali się tam też Żydzi. Przynajmniej raz grupę ludzi wywieziono z Niemiec w pustych beczkach po winie. Transporty wina były też ważnym narzędziem dla wywiadu. Na podstawie miejsca przeznaczenia - powiedzmy, że był to front wschodni czy Afryka Północna - dało się stwierdzić, że przebywa tam duża liczba oddziałów, i zaplanować ofensywę.
- Fascynujące. I pomyśleć, że ktoś mógł odnaleźć to wino... Przychodzi ci coś do głowy?
- Byłem tak samo zaskoczony jak ty. - Nie odrywa oczu od drogi. - Ale jeśli to prawda, to ma niesłychane znaczenie.
- Myślisz, że ludzie Santiniego o tym wiedzą?
- Nie jestem pewien. Miejmy nadzieję, że signor Conti zdołał zachować milczenie i że ścigają Nicole tylko po to, żeby odzyskać pieniądze.

- Wspomniał o jakimś długu. O co mu chodziło?
- Podczas wojny przez pewien okres mój dziadek pracował w administracji jednego z obozów pracy, gdzie uwięziono ojca Contiego. Dziadek pomógł mu zdobyć papiery, żeby Conti dostał stałą pracę w fabryce i nie został zesłany do obozu śmierci. Singor Conti uważa, że ma wobec mnie dług wdzięczności.

Słońce wisi już wysoko na niebie, oświetlając niezmierzone hektary winorośli i innych upraw, ptaki tańczą wśród młodych roślin. Powietrze stało się ciepłe i gęste, na górnej wardze Ariego pojawiła się cienka warstewka potu. Prowadzi teraz bardziej zdecydowanie, wyciąga z samochodu jak największą prędkość, pędzi po wąskiej, krętej drodze i kiedy tylko może, wjeżdża na przeciwny pas ruchu, żeby wyprzedzić wolniejsze pojazdy.

Zerka przez ramię tak szybko, że uznaje, że mi się przywidziało. Po chwili jednak znowu to robi.

- Co jest? - pytam.

- Nic - odpowiada. - Po prostu... jestem ostrożny.

Kiedy drogowskazy prowadzące do Triestu pojawiają się coraz częściej, a ruch uliczny się zagęszcza, domyślam się, że dojeżdżamy do miasta. Droga prowadzi wokół góry, nad nami wznoszą się wapienne klify. Wciągam w płuca zapach słonego powietrza, a po chwili naszym oczom ukazuje się zielononiebieska woda. Przed nami pojawia się miasto: rój budynków z czerwonymi dachami, położonych nisko nad szerokim łukiem wybrzeża.

Mijamy pyszną białą budowlę na skale nad morzem.

- To Castello di Miramare - wyjaśnia Ari. - Triest to szalenie ciekawe miejsce. Nieco zapuszczone, ale położone z dala od szlaków turystycznych, co bardzo mi się podoba. Niegdyś było ogromnym miastem portowym w Austro-Węgrzech, potem włączono je do Włoch.

- Wyzwoliła je armia Tita, prawda?

- Tak. Alianci kontrolowali je, dopóki w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku nie wróciło do Włoch. W pewnym sensie nadal jest bardziej bałkańskie niż włoskie.

Na wzmiankę o Bałkanach przypomina mi się Jared i jego poszukiwania związane z Kosowem. Gdzie on teraz się podziewa? Czy Nicole już do niego dotarła, a jeśli tak, to czy powiedziała mu o spotkaniu ze mną?

Zjeżdżamy z autostrady na mniejszą krętą drogę prowadzącą w dół do miasta. Ari lawiruje po wąskich uliczkach, coraz bardziej zbliżając się do morza. Zaskoczona, odwracam się do niego.

- Czy to droga na lotnisko? Przecząco kręci głową.

- Do portu.

Wtedy mi się przypomina, że minęliśmy kilkanaście drogowskazów z napisem PORTO.

- Popłyniemy do Grecji statkiem?

- Tak. Tak będzie bezpieczniej, na wypadek gdyby ktoś nas śledził. Kiedy spoglądam na bezkresne morze, czuję lęk. Lubiłam pływać

po spokojnej, wąskiej rzece Cam, kiedyś nawet w kamizelce ratunkowej przepłynęłam wpływ Tamizę, ale nigdy nie przepadałam za otwartą wodą, silnymi prądami i wysokimi falami. Upředzenie to pochodzi jeszcze z czasów obozu letniego na Cape Cod, gdzie ocean był surowy i niegościnnie. A teraz czeka mnie podróż przez morze... Z pewnością istnieje inna trasa.

- Jeżeli, jak powiedział signor Conti, Nicole rzeczywiście jest na wyspie, to najszybciej dostaniemy się tam statkiem - dodaje Ari, zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć.

Zrezygnowana dalej wyglądam przez okno. Zauważam, że jesteśmy w centrum Triestu, kiedy mijamy szeroki piazza po lewej z trzech stron otoczony budynkami w neoklasycznym stylu. Po prawej stronie znajduje się port. O wiele większy niż ten w Monako, pełen luksusowych jachtów i kutrów rybackich.

Ari wjeżdża na prywatną przystań i parkuje przy wejściu. Idę za nim pomostem, a potem z niedowierzaniem patrzę, jak zatrzymuje się przed masywnym białym jachtem o długości co najmniej trzynastu metrów. Zamierza go kupić czy ukraść?

- Zaczekaj tutaj - mówi i zbliża się do łodzi.

Rozmawia z członkiem załogi, podaje mu pieniądze, a potem macha do mnie.

- Chodźmy.

Patrzę na niego, oszołomiona. Myślałam, że popłyniemy małym stateczkiem albo promem, nie prywatnym jachtem.

- Jak...

- Signor Conti wszystko załatwił.

- Poważnie traktuje swój dług - mamroczę pod nosem.

- Słucham?

- Nic takiego.

- Członek załogi mógłby nas tam zabrać, ale wolę zrobić to sam. - Fachowo wspina się po drabince na rufę i wyciąga do mnie rękę.

- Umiesz sterować? - pytam.

- Tak. Wychowałem się na wodzie. Wdrapuję się na pokład.

- Mogę się rozejrzeć? Wzrusza ramionami.

- Czuj się jak u siebie w domu.

Wchodzę do środka, oswajając się z lekkim kołysaniem. Kabina jest mała, ale elegancko urządzona. To salon połączony z granitowym kambuzem. Otwieram małą lodówkę i odkrywam, że jest pełna świeżych owoców i warzyw, mięsa i serów. Parę wąskich schodków prowadzi w dół do prywatnej kabiny i toalety.

Z góry dochodzi skrzypienie i łódź kołysze się mocno, kiedy odbijamy od brzegu. Kładę torbę na łóżku i wracam na pokład. Osłaniając oczy, patrzę na mostek, gdzie Ari stoi za sterem, wyprowadzając jacht z portu. Nagle dociera do mnie absurdalność tej sytuacji. Jestem na prywatnym jachcie i ścigam byłego chłopaka i jego żonę z... urywam, nie mogąc określić, kim dla mnie jest Ari. Kochankiem, przyjacielem, współnikiem...? Żadne z tych sformułowań nie pasuje. Kim on właściwie jest?

Siadam na leżaku i wydaję komórkę. Znajduję wiadomość od Lincolna: „Brak informacji na temat Brucka”. Dziwne. Miałam nadzieję, że skoro Ari był w armii, wywiad coś o nim wie.

Znowu spoglądam na Ariego i czuję wyrzuty sumienia. Sprawdzam go, chociaż obiecaliśmy sobie szczerść. Moje wywiadowcze przyzwyczajenia jednak mnie nie opuszczają. Jeśli mogę się czegoś o nim dowiedzieć, to muszę dopiąć swego, a o braku informacji też dobrze jest wiedzieć.

Parę minut później, kiedy wybrzeże przemienia się w wąski pasek ładu w oddali, Ari schodzi na pokład.

- Wszystko w porządku? - pyta, wskazując na komórkę, którą ściskam w dłoni.

- Tak - odpowiadam, próbując wymyślić jakieś wytłumaczenie. - Wysyłałam SMS-a do rodziny. - Spoglądam na pusty mostek. - Nie powinienes stać za sterem?

Śmieje się.

- Ten jacht ma system automatycznej nawigacji, który na otwartym morzu poprowadzi nas i ostrzeże, jeśli zboczymy z kursu. Włączyłem GPS, więc na jakiś czas mamy spokój. - Horyzont przed nami jest zupełnie pusty, tylko parę mew krzyczy coś do siebie, zniżając się tuż nad powierzchnię wody. - To ci się przyda. - Ari rzuca mi tubkę kremu z filtrem przeciwsłonecznym. Łapię ją, nagle uświadamiając sobie, że już zdążyłam się przypiec na czole i nosie. - Głodna? - pyta, kiedy zdejmuję nakrętkę. Nie zdążam odpowiedzieć, bo rusza do kambuza i chwilę później słyszę, jak otwiera szuflady, wydając jedzenie.

Zastanawiam się, czy pójść za nim, i w końcu się rozmyślam. Wyciskam na dłoń trochę kremu i smaruję ciepłym balsamem twarz i ramiona. Znajomy zapach przenosi mnie w upalne dni letnich wakacji na plaży.

Ari wraca z talerzem, dwoma kieliszkami i butelką wina pod pachą.

- Jeden z członków załogi zaopatruje w żywność właściciela łodzi, więc mamy wszystkiego pod dostatkiem. - Rozkłada ręcznik na pudle pośrodku pokładu i stawia na nim talerz i kieliszki. - Chodź coś zjeść.

Siadam, znowu głodna po paru kęsach jedzenia, które przełknęłam na śniadanie dziś rano. Ari podsuwa mi talerz pełen sera, krakersów, winogron, fig i orzechów, a potem nalewa wina do kieliszków.

- Prezent od Contich. - Podaje mi kieliszek. - Na zdrowie. - Mówi lekkim tonem, ale spostrzegam, że tak samo jak w samochodzie ogląda się przez ramię, obserwując horyzont.

Zdejmuje koszulę i odchyła się na leżaku. Podwijam rękawy, żałując, że nie mam opalacza albo chociaż szortów. Kiedy Ari sięga po coś do torby, zauważam dwie ciemne, okrągłe blizny na jego torsie.

- Byłeś postrzelony - mówię, wychylając się do przodu. Z bliska widzę, że kule nie drasnęły go, tylko przeszły na wylot.

- Tak, zanim w końcu zabrali mnie do szpitala, nieomal umarłem. Ale to czyste rany, więc straciłem tylko... jak to się mówi? Wyrostek robaczkowy?

- Miałeś szczęście. - Robi dziwną minę, jakby słowo „szczęście” nie pasowało do niego, w każdym razie odkąd stracił żonę i córkę. Wiem, że to nie uzalanie się nad samym sobą, lecz pogodzenie się z losem, który nie ofiarował mu szczęścia ani tarta.

Znowu się odchyła, zwracając twarz ku słońcu. Odkąd się poznaliśmy, jeszcze nie widziałam go tak rozluźnionego. - Zrobię ci zdjęcie - mówię pod wpływem impulsu, wydaję z torby komórkę i włączam opcję aparatu fotograficznego.

Na jego twarzy pojawia się wahanie.

- Lepiej nie...

- Dlaczego? - szczebioczę, starając się być figlarna, ale ogarnia mnie niepokój. Czyżby próbował coś przede mną ukryć? - Jeśli wolisz, zrobmy sobie razem.

- No dobrze. - Ulega. Siada obok, opierając się o mnie ciepłym ramieniem, wyciąga rękę z telefonem i robi zdjęcie. Zauważam, że nie zdejmuje okularów przeciwsłonecznych. Potem oddaje mi komórkę i wraca na swój leżak.

- Lubisz być na wodzie - mówię.

- Uwielbiam. - Uśmiecha się. - Wychowałem się na morzu. Jako czternastolatek musiałem wyjechać na letni obóz do Iowa. Myślałem, że zwariuję, będąc tak daleko od oceanu. A kiedy byłem w wojsku, na parę miesięcy utknąłem na pustyni. Potem przysiągłem sobie, że nigdy za bardzo nie oddalę się od wody, a już na pewno nie spędzę ani jednego lata z dala od oceanu. Aviva i ja całe wakacje spędzaliśmy na wodzie, choćbyśmy mieli do dyspozycji tylko zwykłą łódź wiosłową.

Myślę o wakacjach mojego dzieciństwa. Plaża nigdy nie była moim środowiskiem naturalnym - siedziałam na kocu, tuż obok matki, podczas gdy inne dzieci bawiły się, pluskały w wodzie.

Przeszkadzał mi nawet piasek na skórze. Kiedyś ojciec zachęcił mnie, żebym weszła z nim do wody, a mnie natychmiast powaliła fala. Wpadłam w czarną otchłań, nie mogąc znaleźć gruntu pod nogami, wydawało mi się, że trwa to całą wieczność. W końcu złapał mnie za ramiona i wyciągnął na powierzchnię. Potem przez lata nękały mnie koszmarne sny o olbrzymiej fali wyrastającej z morza niczym dłoń i porywającej mnie w otchłań. Od tamtej pory unikałam oceanu. Te sny wciąż niekiedy powracają: woda się podnosi i zabiera mnie ze sobą.

Nigdy nikomu nie powiedziałam o tym strachu przed oceanem, nawet Jaredowi, nawet Sarze. Przez chwilę mam ochotę opowiedzieć o wszystkim Ariemu, ale w końcu się rozmyślam.

- Powiedz mi coś więcej o swojej żonie - proszę. Przez chwilę się waha.

- Poznaliśmy się w wojsku. Aviva była oficerem żandarmerii, patrolowała odległy fragment granicy na pustyni. Przyłapała mnie podczas treningu i nie dała wiary moim tłumaczeniom. Myślała, że złapała jakiegoś przestępcę. - Uśmiecha się, zatopiony we wspomnieniach. - Była bardzo uparta.

Postanowiła zabrać mnie ze sobą i sprawdzić moją wersję. Mogłem odmówić, próbować uciec. Ale ona była taka piękna. Chciałem pojechać z nią, nawet jeśli oznaczało to narażenie się moim przełożonym. Jej dziup utknął w rowie i musieliśmy czekać do

rana. Przegadaliśmy całą noc, a jeszcze zanim słońce wzeszło, wiedziałem, że się z nią ożenię.

- Cudowna historia. Bardzo romantyczna.

- Oczywiście chodziło nie tylko o jej urodę - dodaje szybko. - Była najsilniejszą osobą, jaką znałem, niesłuchanie niezależną. Nie stosowała się do cudzych zasad. Pamiętam, że kiedy urodziła się Yael, próbowałem namówić Avivę, żeby zrezygnowała z pracy i została w domu. Ona jednak nie chciała porzucić kariery w armii, to było dla niej bardzo ważne. Kiedy wróciłem z frontu i opowiedziałem jej o tych wszystkich potwornościach, które widziałem... - Na chwilę urywa. - Powiedzmy, że wróciłem odmieniony. Złamany. Aviva była klejem, dzięki któremu się nie rozpadłem. Próbowala robić wszystko, żebym znów był sobą.

Próbowala. Ari nadal nie poskładał się w całość. Do jakiego stopnia jego żonie udało się go uzdrowić, zanim zginęła? Wyobrażam sobie Ariego dochodzącego do zdrowia, nabierającego nadziei. Drugi cios, utrata rodziny, okazał się nie do zniesienia.

Ari chrząka.

- Kiedy Aviva i nasza córeczka zginęły, zostałem zupełnie sam.

- A reszta rodziny? - pytam. - Matka, ojciec, rodzeństwo? Dolewa nam wina i upija łyk.

- Nie mam rodzeństwa. Jestem jedynakiem, a w tamtym okresie moi rodzice już nie żyli. Matka zmarła na zawał, kiedy miałem piętnaście lat. Po jej śmierci mój ojciec się poddał. Zmarł rok później.

Wyobrażam *sobie* Ariego, samotnego w tym wieku.

- Co się wtedy z tobą stało?

- Do skończenia szkoły mieszkałem u krewnych, a potem wstąpiłem do armii. Byłem zupełnie sam, dopóki nie poznałem Avivy. A potem na świat przyszła Yael.

- Twoja żona też nie miała rodziny?

- Miała. I to bardzo dużą: siedmioro braci i sióstr. Rodzice ją wydziedziczyli, kiedy powiedziała, że za mnie wychodzi. Rodzeństwo zerwało z nią kontakt - poza najmłodszą siostrą, która czasami ukradkiem odwiedzała nas w święta.

- Nie rozumiem.

- Aviva była Arabką.

Przez parę sekund jestem tak zaskoczona, że nie wiem, co powiedzieć.

- Nie miałam pojęcia - wyduszam w końcu z siebie. - Zawsze mi się wydawało, że była Izraelką.

- Bo była. Jej rodzina wywodziła się z druzów. - Zaintrygowana, przechylam głowę. - To Arabowie z Izraela - wyjaśnia.

- Muzułmanie?

- Odłam islamu. Muzułmanie nie uważają ich za swoich, ale dru-zowie to nie żydzi ani chrześcijanie. Przeważnie trzymają się razem. Bardzo niewielu walczy w armii, więc decyzja Avivy o wstąpieniu do wojska była bardzo kontrowersyjna. A potem, kiedy się poznaliśmy. .. - Odwraca wzrok i drapie się po głowie. - Gdyby moi rodzice żyli, nie przejmowaliby się tym zbytnio. Tyle razy zetknęli się z uprzedzeniami i nienawiścią. Ale kto wie? W każdym razie rodzina zabroniła Avivie spotykać się ze mną, a kiedy się sprzeciwiła, wydziedziczyli ją. To jej złamało serce. Wszystko dla mnie poświęciła. Nigdy nawet nie zobaczyli Yael.

- Bardzo mi przykro - mamrocze, starając się oswoić z tym, co właśnie powiedział. - Po prostu założyłam, że...

- Że była Żydówką? Nie, a jej rodzina nie mogła zaakceptować faktu, że związała się z Żydem. Nie przyszli na jej pogrzeb, chociaż kiedyś na cmentarzu widziałem jej matkę.

Powstrzymuję chęć wyciągnięcia ręki i dotknięcia jego dłoni.

- Musiało jej być ciężko.

- Łatwo nie było. Własna rodzina ją odrzuciła, a wśród tych, z którymi służyła, była outsiderem. Ale my nigdy nie traktowaliśmy wojska ideologicznie. Chodziło nam o obronę naszego kraju, o służbę.

- Na pewno była niezwykłą kobietą.

- To prawda. Oczywiście dużo jej brakowało do ideału - dodaje z uśmiechem. - Jak już mówiłem, bywała uparta. Trochę mi ją przypominasz - mówi nieoczekiwanie.

- Tak? - To porównanie zupełnie mnie zaskakuje.

- Tak samo jak ty kłóciła się ze mną na tematy polityczne i wszelkie inne. Odbywaliśmy długie debaty na temat państwa izraelskiego. Złościło ją, jak tam traktuje się nie-Żydów, że kraj, który tak zaciekle walczył o prawa ludzi, nie tolerował innych. - Przygryza dolną wargę. - Była też sprawa Yael. W jakiej religii ją wychować.

- Oczywiście. - Ich córka nie mogła być Żydówką z urodzenia, skoro jej matka była Arabką.

- Chcieliśmy ją wychować w obu religiach, a potem pozwolić, żeby sama wybrała... kiedy dorośnie. - Spogląda w dal. Domyślam się, że widzi życie córki, która nigdy nie dorosła, jej niespełnione marzenia. Czuję, jak jakaś dłoń mocno zaciska się na moim sercu. - Sprawa wyznania nie była aż tak ważna - ciągnie. - Oczywiście czasami mnie to martwiło. Byłem dzieckiem ludzi, którzy przeżyli holokaust, czułem presję, by propagować swoją religię.

Ze zrozumieniem kiwam głową. Zostałam wychowana w świeckiej atmosferze, ale w poczuciu, że jeśli poślubię mężczyznę innego wyznania, przestanę krzewić własną religię. Chociaż nigdy specjalnie mi nie zależało na zamążpójściu.

- Kochaliśmy siebie nawzajem i nasze dziecko. Wytrwała przy mnie w każdej sytuacji. Chociaż czasami myślę, że gdyby tu była, wstydziłaby się za mnie.

- Dlaczego tak mówisz?

- Wtedy przynajmniej walczyłem w imię zasad. A teraz... - Urywa, a ja przez parę sekund milczę, z nadzieją że zatopiony we wspomnieniach zdradzi mi coś więcej na temat swojej pracy. On jednak tylko chrząka, wkłada koszulę, wstaje, bierze talerz i schodzi pod pokład.

Spoglądam na horyzont zachodni, gdzie słońce schowało się za grubą warstwą chmur. Drzę lekko, patrzę na gwiazdy pojawiające się na ciemniejącym niebie.

Parę minut później Ari wraca z bluzą, którą bez słowa zarzuca mi na ramiona. Znowu siada na leżaku.

- Jak poznałaś Jareda?

Rozważam to pytanie, zastanawiając się, czy wynika tylko z uprzejmości. Na twarzy Ariego maluje się jednak szczere zainteresowanie.

- Studiowałam w Cambridge. Byliśmy w tej samej załodze wioślarskiej. - Czuję się głupio, jakbym zrównywała studencki romans z małżeństwem Ariego. - Początkowo się nie cierpieliśmy, kłóciliśmy się bez przerwy.

- O tak, najlepsze związki zaczynają się od kłótni - mówi tonem znawcy. - Od tego iskrzenia.

Wtedy sobie uświadamiam, że Ari i ja kłócimy się, odkąd się poznaliśmy. Ale pomimo tego, co się między nami wydarzyło w hotelu w Wiedniu, nie romansujemy ze sobą. Ari to atrakcyjny mężczyzna, lecz ja szukam Jareda.

- W każdym razie... - Chrząkam i podejmuję wątek. - W pewnym momencie musieliśmy przestać się kłócić, przyznać, że coś do siebie czujemy, no i zostaliśmy parą.

- Mieliście ze sobą dużo wspólnego?

- Poza zamiłowaniem do wiosłowania właściwie nic. - Uświadamiam sobie, że pierwszy raz się komuś do tego przyznałam, włączając w to samą siebie. - Po prostu w jakiś sposób się spiknęliśmy. - Ari przechyla głowę, jakby nie znał tego określenia. - To znaczy, doskonale się rozumieliśmy.

Teraz się zastanawiam, co właściwie nas połączyło. Całkowicie się różniliśmy: Jared był melancholijny i poważny, ja energiczna i towarzyska - w każdym razie wtedy. A jednak łączyła nas dziwna, niewytłumaczalna więź. Pamiętam, jak kiedyś, na krótko przed moim wyjazdem do Anglii, z całą załogą pojechaliśmy na tygodniowy obóz wioślarski i zatrzymaliśmy się w pensjonacie na przedmieściu malowniczego miasta Henley-on-Thames. Po dwóch dniach nieustanna obecność siedmiu chłopców, których przecież uwielbiałam, stała się nie do zniesienia, denerwowałam się, że Jared i ja nie możemy pobyć sam

na sam. Nagle któregoś wieczoru przy kolacji dotarło do mnie, że za parę tygodni opuszczę miejsce, które kocham najbardziej na całym świecie, i że nie mam kontroli nad życiem, które się toczyło jakby obok mnie. Rozszlochałam się, ku zdumieniu i niezadowoleniu chłopców, a oni zaczęli jowialnie próbować mnie rozśmieszyć. Ale Jared spokojnie zaprowadził mnie do pustej sypialni i położył się obok mnie na łóżku, bez słowa, wiedząc, że bardziej potrzebuję jego obecności niż rozmowy. Kiedy przestałam płakać, zaczął się ze mną kochać, powoli i delikatnie. W ciągu minionych tygodni czułam cichą dumę, trwając przy nim, w jego mrocznych nastrojach, nękanego przez demony, które go ścigały. Ale wtedy role się odwróciły i to on zaopiekował się mną. A ja po raz pierwszy w życiu pozwoliłam, żeby ktoś się mną zajął. Tamta noc przypieczętowała naszą więź.

Podnoszę głowę, wyrywając się z zadumy. Ari wciąż wpatruje się we mnie z zaintrygowanym wyrazem twarzy. Czuję falę ciepła na s[^]yi i policzkach.

- Krótco byliśmy razem - mówię, zawstydzona tym, że tak się przed nim otworzyłam. - Po paru miesiącach musiałam wrócić do Stanów. A potem on zniknął.

- Musiało was łączyć coś niezwykłego, skoro tak długo nie mogłaś się otrząsnąć - zauważa Ari.

- Pewnie tak - mówię głuchym głosem, bez przekonania.

Bardzo długo wierzyłam w tę wielką miłość, którą przerwał okrutny los. W kontekście małżeństwa Jareda i Nicole wydaje mi się ona głupia; studencki romans, o którym Jared szybko zapomniał. Cofam się myślami w przeszłość, do mężczyzn, których odtrącałam, potencjalnych związków, którym nie dałam szansy. Wtedy wmawiałam sobie, że nie jestem gotowa na zaangażowanie, bo wciąż coś czuję do Jareda, bo ta rana jeszcze się nie zabiłiła. Teraz wydaje mi się, że to była tylko wymówka. Idealizowanie przeszłości było łatwiejsze od zmierzenia się z trudami prawdziwego związku, więc wykorzystywałam Jareda jako alibi, dzięki któremu mogłam sobie pozwolić na emocjonalną izolację.

Przez lata szczyliłam się swoją niezależnością, nosiłam ją niczym broń. W rzeczywistości zaś ukrywałam się za nią.

Przypominam sobie, że raz nieomal z kimś się związałam na poważnie. W Liberii zbliżyłam się do swojego kolegi, Erica. Całymi godzinami pracowaliśmy razem, czekaliśmy w samochodach albo maleńkich mieszkanekach. Jego spojrzenia na zatłoczonej ulicy zapierały mi dech w piersiach, a drobne gesty pełne opiekuńczości świadczyły o tym, że gdybym na to pozwoliła, mogłoby nas łączyć coś więcej niż tylko seks.

Ale do niczego nie doszło. Erie miał żonę, uroczą Filipinkę, którą poznał podczas poprzedniej misji. Została w Waszyngtonie z trójką dzieci. „Nie możemy tego zrobić” - powiedziałam stanowczo, kiedy któregoś nocy pochylił się nade mną w pokoju, który musieliśmy dzielić. Odmówiłam parę minut za późno, po pocałunku. W świetle prawie pozbawionym zasad tej jednej ściśle przestrzegałam, nawet w tej hipnotyzującej chwili dającej zapowiedź pierwszego poważnego związku od lat.

Spróbował raz jeszcze, jakby tym pocałunkiem chciał skruszyć mój mur. Wtedy położyłam dłoń na jego piersi, a on bez słowa się cofnął. Niespełna dwadzieścia cztery godziny później zginął. Leżał, martwy, na ziemi, a helikopter wywoził mnie z kraju, który niszczył sam siebie.

Wracam myślami do Sary, która tyle lat spędziła w samotności, zanim poznała Ryana. Teraz stoi twarzą w twarz ze śmiercią, a jednak nie chowa się za swoją chorobę. Przyjmuje miłość, wbrew wszystkiemu wierząc, że ma takie same szanse na znalezienie szczęścia jak wszyscy inni.

- Jak myślisz, jaki Jared jest teraz? - Ari wrywa mnie z zamyślenia. Kładzie się na plecach, dłonią ocierając się o moje kolano, a mnie aż dreszcz przechodzi na myśl o minionej nocy.

Podnoszę wzrok, zastanawiam się nad pytaniem.

- Nie wiem. - W mojej wyobraźni Jared pozostał taki sam, jakim go widziałam ostatniej nocy, ale te lata z pewnością go zmieniły, tak samo jak mnie.

- Wiesz, minęło tyle czasu... - mówi Ari łagodnie. - Różnie mogło być. Może pracował z Nicole albo...

- Jared nigdy by tego nie zrobił. - Wiem jednak, do czego Ari zmierza. Jak Jared mógłby przez tyle lat żyć z Nicole, nie wiedząc, czym ona się zajmuje? Oczywiście wiele miesięcy spędziłam z nim w Cambridge, nawet nie przypuszczając, jak mroczna jest jego dusza ani w jakie tarapaty się wpakował.

- Nigdy się nie zastanawiałaś, skąd miał pieniądze? - pyta Ari. - Na sfingowanie własnej śmierci, zmianę tożsamości, uciekanie przez tyle lat?

Zaczynam wyjaśniać, że lord Colbert, rektor naszej uczelni, pomagał Jaredowi, ale choć był bogaty, to nawet on nie dysponował aż tak dużymi pieniędzmi. Z pewnością pomógł mu zaplanować ucieczkę, lecz wątpię, czy w nieskończoność finansowałby utrzymanie Jareda.

- A czym się zajmował? - Ari naciska delikatnie. - Powiedziałaś, że Jared był naukowcem, ale nie ma żadnych dowodów na to, że prowadził zajęcia na uczelni albo coś publikował. Z czego się utrzymywał?

- Nie wiem! - wybucham, nerwy w końcu mi puszczają. - O co właściwie ci chodzi?

Wzrusza ramionami. ,

- Tylko się zastanawiam. Ale jego dyskrecja, umiejętność działania pod powierzchnią w połączeniu z tym, czym zajmowała się Nicole...

.. .czyniły z niego idealnego współnika na czarnym rynku - kończę w myślach.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepczę. Jared nieomal zginął, porzucił wszystko dla zasad, w które wierzył. Nie wyobrażam sobie, by mógł zostać pospolitym przestępcą. - Nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

- Może to nieprawda. To tylko domysły. Im szybciej ich odnajdziemy, tym szybciej poznamy prawdę. - Podnosi głowę ku rozgwieżdżonemu niebu. - Robi się późno. Powinniśmy trochę odpocząć.

Niepewnie zerkam w stronę kambuza. Łóżko na dole jest o wiele węższe od tego, w którym spaliśmy w Wiedniu. Czyżby chciał, żebyśmy znowu byli razem? On jednak przykrywa się kocem.

- Rozgość się w kabinie. Ja się prześpię tutaj.

- Dobrze... - Wstaję z wahaniem. - Dobranoc.

Robię kilka kroków i oglądam się, zastanawiając się, czy Ari powie coś jeszcze, czy będzie próbował mnie zatrzymać. On jednak już się odwrócił i zamyślony patrzy na wodę.

Kiedy schodzę do kabiny, czuję coraz większy mętlik w głowie. Co się stało? Myślałam, że będzie chciał wrócić do tego, co przerwaliśmy ostatniej nocy. Myjąc zęby w małej łazience, zastanawiam się, czy przestał się mną interesować. A może powiedziałam coś nie tak? Może to opowieść o żonie sprawiła, że się ode mnie odsunął? Czy też coś innego? Tylu rzeczy o nim nie wiem.

Przypomina mi się nasze wspólne zdjęcie. Wyjmuję komórkę, otwieram e-mail od Lincolna, wciskam guzik „Odpowiedz” i dołączam zdjęcie z Arim. „Wiem, że nie znalazłeś nic o Aaronie Brucku -piszę - ale na wszelki wypadek wysłałam ci jego zdjęcie”.

Chowam telefon z powrotem do torby i kładę się na wąskim łóżku, wciąż się zastanawiając, kim jest Ari i co do mnie czuje. Powtarzam sobie w duchu, że to nie ma żadnego znaczenia, bezskutecznie próbuję wyrzucić z głowy obraz Ariego leżącego na pokładzie nade mną. Niedługo odnajdziemy Jareda i będzie po wszystkim. Otulam się cienkim kocem i zamykam oczy, usypiana delikatnym kołysaniem jachtu.

Budzi mnie brzękanie garnkami. Kabinę wypełnia blask słońca, a zapach smażonego mięsa łaskocze mnie w nosie. Opuszczam nogi na podłogę i człapię do kuchni, gdzie Ari stoi nad otwartymi pudełkami na blacie, z których sól, mąka i inne składniki wysypują się na podłogę.

- Dzień dobry... ? - witam się ostrożnie pytającym tonem.

Nie odpowiada. Z przerażeniem w oczach wpatruje się w patelnię.

- Chciałem... - zaczyna, lecz zaraz urywa i wskazuje na bałagan na kuchence. - Jajka wyszły dobrze, ale naleśniki... - Podnosi miskę, w której zamiast ciasta znajduje się rzadki, szarawy płyn.

Powstrzymuję uśmiech. Ze wzruszeniem uświadamiam sobie, że chciał mi zrobić typowe amerykańskie śniadanie.

- Może ja dokończę?

Prawdę mówiąc, nigdy zbyt dobrze nie gotowałam. Mój ojciec wychował się w rodzinie restauratorów i był utalentowanym, ale niezbyt entuzjastycznym adeptem sztuki kulinarnej. Potem poznał moją matkę, która jako dziecko artystów nigdy w życiu nic nie ugotowała, i zanim zupełnie zrezygnowała z kuchennych obowiązków, nauczył ją podstaw gotowania. Nigdy jednak nie złapała bakcyła, korzystała głównie z mrożonek i gotowych mieszanek warzyw. Kiedyś, gdy miałam sześć lat, a mama wyjechała na weekend, ojciec nauczył mnie robić naleśniki. Przekazał mi tajemną recepturę na ciasto i pokazał, do jakiej temperatury podgrzać patelnię. Potem wszystkich gości, niezależnie od rodzaju posiłku i pory dnia, raczyłem tym daniem.

Ari podaje mi łopatkę i z rezygnacją podnosi obie ręce.

- Która godzina? - pytam.

- Dochodzi jedenasta. - Mrugam zaskoczona. Nie miałam pojęcia, że spałam aż tak długo. - To przez morskie powietrze - tłumaczy. - Nieźle sobie pospałaś, co?

Kiwam głową. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się tak wypoczęta.

Idzie na pokład. Piętnaście minut później wspinam się po schodkach, balansując dwoma talerzami. Ari, bosy i bez koszuli, robi coś przy zwoju liny na dziobie. Patrząc na niego, czuję nagły ucisk w żołądku.

- Śniadanie! - wołam. Odwraca się do mnie.

- Mam dobrą wiadomość. Skontaktowałem się z jednym ze swoich informatorów, który potwierdził, że Nicole jest we wschodniej części Zakynthos, w największym mieście, Zante. Nie znał dokładnego adresu, ale mam o nią spytać w Café Nikolai.

Patrzę na niego spokojnie.

- Jak na prywatnego detektywa masz imponujących informatorów.

- Wiesz, jak to jest - odpowiada niezrażony. - Paru moich kolegów z wojska teraz pracuje w rządzie. Czasami wyświadczamy sobie przysługi.

Myślę o Lincolnie i dochodzę do wniosku, że to wiarygodne wytłumaczenie, a dalsze naciski okażą się bezowocne. Rozglądam się po horyzoncie.

- Gdzie my właściwie jesteśmy?

- Minęliśmy Chorwację, jesteśmy na północ od albańskiego wybrzeża. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro rano powinniśmy dopłynąć na wyspę.

Na wyspę, na której może mieszkać Jared.

- O co chodzi? - pyta Ari, widząc moją minę.

- Jesteśmy tak blisko, że może zobaczę... - Urywam, nagle krępuję się mówić o Jaredzie. - Przez tyle lat myślałam, że nie żyje.

- Właściwie nigdy mi o tym nie opowiedziałaś. O tym, co się wydarzyło, kiedy wróciłaś do Anglii i jak odkryłaś, że Jared żyje.

Wpatruję się w jego twarz, zastanawiając się, czy dla własnych celów próbuje wyciągnąć ode mnie informacje. On jednak wygląda na szczerze zatroskanego. Już go znam, mogę mu zaufać.

- Jak już mówiłam, w zeszłym miesiącu w Waszyngtonie dostałam list od przyjaciółki, Sary, która ciężko choruje na ALS. Prosiła, żebym przyjechała do Anglii. W każdym razie tak myślałam - potem się okazało, że list został sfalszowany. Wysłał go ktoś, kto próbował mnie ściągnąć do Londynu, bym odnalazła Jareda i wywabiła go z kryjówki.

Nabiera z talerza jajecznicy.

- Dlaczego?

Niepewna, milczę przez chwilę. Instynkt, by zostawić przeszłość w spokoju i chronić w ten sposób Jareda, jest we mnie tak silnie zakorzeniony, że ciężko mi się go pozbyć.

- Podczas zbierania materiałów do pracy doktorskiej Jared natknął się na informacje, które mogłyby zaszkodzić pewnym wpływowym osobom. - Nie powinnam ujawnić, co odkrył i jak ogromne było tego znaczenie. - Ci ludzie chcieli, by te informacje nigdy nie ujrzały światła dziennego. Na szczęście, zanim było za późno, udało nam się ich powstrzymać i przekazać informacje rządowi. Ale wśród zdrajców znalazło się paru moich przyjaciół i współpracowników.

Gwiżdże przeciągle.

- Niesamowite. Jednak to nie tłumaczy, w jaki sposób odkryłaś, że Jared żyje.

Ma rację, myślę, przelękając kawałek naleśnika. To, co się wydarzyło w Anglii, składa się z tylu elementów, że trudno je ułożyć w logiczną całość. Muszę się cofnąć w przeszłość.

- Kiedy przyjechałam do Anglii, skontaktował się ze mną Chris, kolega ze studiów. Zasugerował, że Jared nie utonął, jak nam się wydawało przez tyle lat, i poprosił, żebym pomogła mu odkryć prawdę. Zaczęliśmy węszyć i dowiedzieliśmy się o badaniach Jareda i o tym, że niektórym ludziom zależało na jego śmierci. Jednocześnie brałam udział w rządowym śledztwie. Nastąpiło wiele dziwnych zbiegów okoliczności. Musiałam porozmawiać z innym znajomym ze studiów, Duncanem Lauderem, który wyjawiał mi prawdę o badaniach Jareda. Potem zniknął, a kiedy chciałam pogadać z Yanceem, jego kochan-

kiem, o współpracy Duncana z Jaredem, wspomniał o czymś, co miało związek z moim śledztwem. Ale dopiero później, kiedy odkryłam, że ktoś sfalszował list od Sary, i kiedy doprowadziłam do konfrontacji z Mo, moją szefową, dowiedziałam się, że Jared nie utonął i że ściągnięto mnie do Anglii, żebym pomogła go odnaleźć. - Obserwuję twarz Ariego, który usiłuje ogarnąć jakoś te informacje. - Wiem, to brzmi jak szaleństwo.

- Właściwie to wiele tłumaczy. To, co zrobiłaś, ile musiałaś przeżyć. .. - Chrząka. - Jordan, jesteś niezwykłą kobietą.

Spuszczam wzrok, czując falę gorąca zalewającą mi szyję i policzki. Potem zaczynam zbierać talerze.

- Ja to zrobię - mówi Ari. Wyciąga rękę po talerz, dłonią muskając moją dłoń.

Na parę sekund oboje nieruchomiejemy. Nasze dłonie wciąż się dotykają. Podnoszę wzrok i zaskakuje mnie nieukrywane pożądanie w oczach Ariego. Odwraca głowę i zanoszą naczynia do kuchni.

Po paru minutach wraca z poważnym wyrazem twarzy.

- O co chodzi? - pytam.

Po jego twarzy widzę, że zastanawia się, ile mi powiedzieć.

- Właśnie dostałem wiadomość od członka załogi w porcie w Trieście, któremu dobrze zapłaciłem. Powiedział, że tuż po nas w tę samą trasę wypłynął inny jacht.

- To coś niezwykłego?

- Może tak, a może nie. Ale zadawali pytania sugerujące, że kogoś szukają.

- Myślisz, że to ludzie Santiniego?

- Możliwe. Mogą nas śledzić od Wiednia albo zobaczyli, jak wychodzimy od Contich, i jadą za nami, żebyśmy ich doprowadzili do Nicole. Na wszelki wypadek dobiłbym do brzegu i ich przepuścił. Niedaleko znajduje się zatoczka, w której możemy się ukryć.

Martwieję. Postój oznacza zwolnienie tempa, zmniejsza nasze szanse na odnalezienie Nicole.

- W nocy przepłynęliśmy spory kawałek drogi - dodaje, jakby czytał w moich myślach.
 - Ale musimy jak najszybciej odnaleźć Nicole - protestuję. Znowu zaczynamy się spierać, tak jak w Wiedniu.
 - Lepiej teraz stracić trochę czasu niż w ogóle nie dotrzeć na miejsce. Nadrobimy później. Zaufaj mi, dobrze? - Mam wrażenie, że mówi o czymś ważniejszym od naszego planu podróży.
 - Dobrze - odpowiadam po namyśle.
- Półtorej godziny później podpływamy do skalistej zatoczki z trzech stron otoczonej przez wysokie, poszarpane klify. Ari dopływa do moła wystającego z jednej strony enklawy. Rzuca kotwicę, po czym wyjmuję lornetkę i obserwuje wciąż jeszcze pusty horyzont za nami.
- Widzisz coś?
 - Nie. - Zdejmuje koszulę, a mnie na widok jego ciała znowu ogarnia pożądanie.
 - Co robisz? - pytam, kiedy otwiera drewnianą skrzynię, wyjmując maskę i fajkę do nurkowania.
 - Ponurkuję przez chwilę. - Skacze do wody, wykonuje spokojne, pewne siebie ruchy. Chcę zaprotestować, nie czas teraz na kąpiel, ale Ari ma rację: na razie pozostało nam tylko czekać. - Przyłączysz się do mnie? Woda jest cudowna - mówi beztróskim tonem, w którym nie ma ani śladu napięcia, jakie jeszcze przed chwilą towarzyszyło naszej rozmowie.
 - Nie wzięłam kostiumu kąpielowego - odpowiadam, jednocześnie uświadamiając sobie mizerność tej wymówki.
 - Nikogo tu nie ma, a ja obiecuję, że nie będę patrzeć. - Jakby na dowód odwraca się. - W skrzyni jest druga maska.
- Wyjmuję fajkę i rozbieram się do majtek i stanika, ciesząc się, że mam na sobie nowy komplet bielizny, który kupiłam po wyjeździe z Londynu. Podchodzę do burty i niepewnie spoglądam na spokojną, przejrzystą wodę. Przekładam nogi przez burty i zsuwam się do wody, trzymając się drabinki. Metr dalej coś porusza się pod powierzchnią

wody. Próbuję sobie przypomnieć z telewizyjnych programów przyrodniczych, czy w tej okolicy są rekiny. Od tyłu obejmują mnie w talii silne ręce.

- Spokojnie - mówi Ari. Zanurza twarz, odwraca się w stronę źródła odgłosu, podnosi głowę i zdejmuje maskę. - To tylko ryba. O tej porze roku rekinów nie jest tu zbyt dużo. Oczywiście w takiej sytuacji nie powinnaś panikować, to tylko pogarsza sprawę.

- Przepraszam - mówię parę chwil później. - Nigdy nie lubiłam morza. Szczerze mówiąc, to mnie przeraża. - Odwracam głowę. - Aż mi wstyd.

- Nie ma się czego wstydzić. Wszyscy mamy swoje lęki. Ja się boję wysokości. - Obserwuję jego twarz, zastanawiając się, czy żartuje, czy mnie przedrzeźnia. Trudno mi uwierzyć, że Ari czegokolwiek się boi. Potem jednak przypominam sobie, jak niepewnie się czuł wczoraj rano podczas startu samolotu, i już wiem, że mówi poważnie.

Wyciąga rękę i ujmuje łańcuszek z pierścionkiem wiszący na mojej szyi.

- Oddasz go?

Po raz pierwszy próbuję sobie odpowiedzieć na to pytanie.

- Nie wiem. Chyba tak.

- Zupełnie jak we *Władcy pierścieni* - zauważa. Zaskoczona odwracam się do niego. - Czytałaś to, prawda?

- Tak jakby. - Przypomina mi się noc na krótko przed tym, jak Ja-red i ja pierwszy raz się pocałowaliśmy. Siedzieliśmy w knajpie i rozmawialiśmy z członkami naszej załogi. W pewnej chwili Jared zaczął z ożywieniem rozprawiać o retrospektywie Tolkiena, którą rok wcześniej widział w Oksfordzie. „Lubisz Tolkiena?” - spytałam, zdziwiona tym, że ktoś tak poważny jak Jared z taką pasją opowiadał o baśni w stylu fantasy. „Uwielbiam. Epicka opowieść drogi, stworzenie całego nowego świata... no, to po prostu wspaniała historia” - dokończył nieco skrepowany. „Czytałaś?” Przecząco pokręciłam głową. „Naprawdę?” - spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

Następnego dnia w mojej przegródce pojawił się nieco podniszczony egzemplarz *Hobbita*. Opowieść ta całkowicie mnie pochłonęła. Później, kiedy już zostaliśmy parą, Jared niemal co noc, w słabym świetle biurkowej lampki, czytał mi rozdział z *Władcy pierścieni*. Kiedy teraz o tym myślę, niemal słyszę szelest kartek i zapach zatechłego papieru. Nawet w ciągu tych ostatnich straszliwych dni w takich chwilach wszelkie troski zniknęły z jego twarzy, a oczy mu jaśniały, kiedy czytał o elfach i krasnoludach ze Śródziemia, malując przede mną ten dziwny świat, gdy powoli odpływałam w sen.

Kiedy bardziej skupił się na nocnej pracy nad doktoratem, tempo lektury siadło. Oboje wiedzieliśmy, że przed moim wyjazdem do Stanów nie zdąży przeczytać mi całości. Wymyśliliśmy więc, że pozostałe rozdziały będziemy czytać na odległość, w tym samym czasie - coś w rodzaju transatlantyckiego związku. Zanim zniknął, dotarliśmy prawie do połowy drugiego tomu.

Teraz się zastanawiam, co się stało z tymi książkami. Nie znalazłam ich w kufrze, który Chris zabrał z domu matki Jareda, gdy szukaliśmy tropów.

- W każdym razie... - Ari wyrywa mnie z zamyślenia. - Chodziło mi o twoje poszukiwanie Jareda i o pierścień. Zupełnie jakbyś niosła go do Mordoru, żeby jak ten hobbit wrzucić go do Góry Przeznaczenia.

- Frodo. - Ciekawe, czy udało mu się zniszczyć pierścień i zakończyć misję. Kiedy Jared zniknął, przestałam czytać *Władcę pierścieni*. Nigdy go nie dokończyłam, od lat nie chodziłam do kina, więc opowieść ta nie miała dla mnie finału.

Rozluźniam się nieco, opieram się o Ariego i pozwalam, by lekki prąd nieco nas odsunął od łodzi. Kiedy spoglądam w bezchmurne, błękitne niebo, nieomal zapominam, po co tu przyплыliśmy. Ogarnia mnie jakieś nieznanne ciepło. Uświadamiam sobie, że to coś więcej niż tylko pociąg fizyczny. Przy Arim czuję się bezpieczna i zrozumiana.

Nagle sztywnieję. Co ja wyprawiam? Przecież go nie znam, nie wiem, jakimi motywami się kieruje, nie wiem, czy mogę mu zaufać. W Londy-

nie zaczęłam otwierać się przed Sebastianem, co nieomal doprowadziło do mojej śmierci. Tak czy inaczej jestem tu, by odnaleźć Jareda. On żyje i nawet jeśli jest żonaty, nie pora na to, bym zakochiwała się w innym. Muszę się skoncentrować, dokończyć to, co zaplanowałam.

- O co chodzi? - Ari zauważył moją nagłą zmianę nastroju. Odsuwam się.

- O to. - W skazuję na niego, a potem na siebie. - Nie wiem, czy to odpowiednia pora... przecież szukam Jareda.

- Jareda. - Marszczy brwi. - Tak, oczywiście.

- Nie mogę się angażować, w każdym razie dopóki go nie odnajdę i nie poznam odpowiedzi, których szukam.

- Mimo że ma żonę?

- Mimo że ma żonę. Nie planowałam tego. - Widzę, że sprawiłam mu przykrość. - Ari.

Wyciągam do niego rękę, ale on cofa swoją.

- Daj spokój - mówi naburmuszony. - Po prostu skupmy się na szukaniu Nicole.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. - Odwraca się. - Tak będzie najlepiej. Teraz to ja mam mętlik w głowie.

- Nie rozumiem.

Wpatruje się w wodę, poruszając rękami pod jej powierzchnią. - Nie zbliżaj się do mnie. Każdy, kto to zrobi, zostaje skrzywdzony albo umiera.

Zdumiewa mnie, jak znajomo brzmią te słowa. Jeszcze nie tak dawno temu to samo mogłam powiedzieć o sobie. Mój kolega Erie zginął podczas naszej misji w Liberii. Jared utonął, a w każdym razie wierzyłam w to. A potem w Anglii inni zaczęli umierać: Sophie, Vance, a Chris i Sara znaleźli się o krok od śmierci. Teraz, gdy wracam pamięcią do przeszłości, wiem, że nie miało to nic wspólnego ze mną. Jared żyje, a Erie zginął na stanowisku, przypadkowo podczas zamachu stanu. Na nic nie miałam wpływu. Nie, teraz rozumiem, że te tragiczne wydarzenia nie były moją winą, ale Ari wciąż tak myśli o sobie.

- To nieprawda - mówię w końcu.
- Prawda - odpowiada rzeczowym tonem, lecz oczy ma puste. -Tego dnia, kiedy Yael i Avi zginęły, jechały do mnie do bazy. Były moje urodziny, chciały się ze mną spotkać, ale powiedziałem, że jestem za bardzo zajęty i nie mogę przyjechać do domu... - Głos lekko mu się łamie. - Chciały mi zrobić niespodziankę. Wjechały na niewypał.
- To nie była twoja wina.
- On jednak mówi dalej, jakby mnie nie słyszał.
- Nie tylko one. Mój partner zginął podczas nalotu, który miał być prostą akcją. A potem... -
Wstrzymuje oddech.
- Patrzę na niego z wyczekiwaniem.
- Co potem?
- Kiedy byłem w wojsku, dostaliśmy rozkaz ostrzelania obiektu w miasteczku pod Bejrutem. Był to skład amunicji, w każdym razie tak nam powiedziano. Wywiad miał jednak złe informacje i okazało się, że to prowizoryczna szkoła. Zginęło kilkadziesiąt dzieci... - Urywa.
- Podnoszę rękę ociekającą wodą i kładę na jego ramieniu.
- Skąd miałeś wiedzieć?
- Czułem, że coś jest nie tak. Powinienem był zatrzymać działania. A potem mogliśmy pomóc ofiarom, ale dostaliśmy rozkaz wycofania się. - Pochmurnieje na wspomnienie dzieci niewiele starszych od jego córki.
- Teraz rozumiem, dlaczego tak się uniósł, kiedy rozmawialiśmy o stratach wśród ludności cywilnej.
- Powiedziałeś o tym komuś?
- Nie. Powiedziałbym żonie, ale za bardzo się wstydziłem. A wkrótce potem ona zginęła. Avi i Yael zginęły tak niedługo po tym wydarzeniu, że odebrałem ich śmierć jako karę za to, co zrobiłem.
- Wspomnienia sprawiają, że jego twarz w jednej chwili się starzeje.
- To straszne, jednak nie ma w tym twojej winy. Nie ciąży na tobie żadna klątwa i...

Nagle łapie mnie w talii.

- Ćśśś! - przerywa mi rozgorączkowanym szeptem. Przyciąga mnie do łodzi, oglądając się za siebie. W oddali, za wejściem do zatoczki, pół mili morskiej na wschód, widzę jacht. To pierwsza łódź, jaka pojawiła się na horyzoncie, odkąd wczoraj opuściliśmy Włochy.

Ari tak głęboko zanurza się pod wodę, że wystaje mu tylko nos i oczy. Wygląda jak człowiek-krokodyl. Idę w jego ślady, starając się oddychać i nie panikować, chociaż zanurzenie się pod wodę zawsze mnie przerażało.

Ściska moją dłoń. Parę minut później, kiedy łódź znika nam z oczu, Ari znowu się wynurza.

- Odплыnęli. - Puszczą mnie.

Z mocno bijącym sercem łapczywie chwytam powietrze.

- To ludzie Santiniego?

- Może. Z tej odległości trudno stwierdzić. Po plecach przebiega mi dreszcz.

- Myślisz, że nas widzieli?

- Gdyby nas widzieli, nie rozmawialibyśmy teraz. - Strzela oczami na boki, oceniając sytuację. - Czas w drogę. - Znowu łapie mnie za rękę i płynie do łodzi.

Wdrapuję się po drabinie, czując na sobie jego wzrok. Rześkie powietrze owiewa moją moką skórę, aż dostaję dreszczy. Ari wchodzi na pokład, bierze ręcznik i mnie otula. Łapię jego brzegi, wdzięczna za ten miękki kawałek materiału rozgrzany od słońca. - Wszystko w porządku?

- Tak - odpowiadam, próbując nie szczekać zębami.

- Dobrze. Może pójdziesz się umyć? Zresetuję kurs.

Idę do łazienki, wchodzę do maleńkiej kabiny prysznicowej. Łódź kołysze się mocniej, domyślam się więc, że wypłynęliśmy z zatoczki na otwarte wody. Parę minut później wychodzę spod prysznica, wycieram się i wkładam miękki, biały T-shirt od Ariego i dżinsy jeszcze ciepłe od leżenia na słońcu. Biorę z umywalki łańcuszek z pierścionkiem zaręczynowym i zaczynam zakładać go sobie na szyję. Nagle przypo-

minam sobie rozmowę z Arim i nieruchomieję - tu i teraz ten łańcuszek wydaje mi się nie na miejscu. Jeszcze raz przesuwam palcami po napisie wygrawerowanym na pierścionku, zdejmuję wisiołek i ostrożnie chowam go do torby.

Kiedy wracam na pokład, Ari stoi na mostku, ustawiając nowy kurs.

- Mogę? - pytam, wdrapuję się po schodkach na mostek i ogarniam wzrokiem imponującą liczbę pokręteł na tablicy rozdzielczej.

- Jasne. - Nie podnosi głowy. - Nigdzie nie widać łodzi, więc droga wolna. Ale mamy inne problemy.

- Wskazuje na mapę na ekranie komputera, jaskrawoczerwoną i fioletową na lewo od nas. - Z zachodu zbliża się sztorm. - Podnosi wzrok, a ja podążam za nimi spoglądam ponad rufą jachtu, lecz widzę tylko bezchmurne, błękitne niebo.

- Co robimy? Wracamy do zatoczki? Kręci głową.

- Możemy utknąć tam na parę godzin, a miałaś rację, musimy dotrzeć do Nicole, zanim ludzie Santiniego ją dopadną. - Widzę, że trudno mu przyznać się do błędu. - Nie mamy wyboru, musimy spróbować przegonić sztorm.

Spróbować. Żołądek podchodzi mi do gardła.

- Wracaj na dół, zrób, co masz do zrobienia, zanim rozpęta się burza. - Gwałtownie odwraca się do tablicy rozdzielczej.

Schodzę na pokład i patrzę na horyzont, zastanawiając się, jak daleko dopłynęli ludzie Santiniego i czy uda nam się uciec przed sztormem.

Nagle za mną rozlega się głośnie szczęknięcie. To Ari sprawdza bębenek swojego pistoletu, upewnia się, czy jest naładowany. Teraz rozumiem, że martwi się nie tylko sztormem. Pomimo brawury i pewności siebie jest przerażony perspektywą spotkania z ludźmi Santiniego tak samo jak ja.

- Jaka sytuacja? - pytam, kiedy Ari wchodzi do kabiny. Wstaję i ruszam w jego stronę. Dwie godziny wcześniej wypłynęliśmy z zatoczki na otwarte morze. Początkowo nie zanosilo się na zmianę pogody, tylko silna bryza tworzyła na oceanie wokół nas grzywy na falach przypominające puszyste bezy. Niebo szybko jednak pociemniało, a kiedy w pokład uderzyły pierwsze wielkie krople deszczu, czmychnęłam na dół.

Jachtem gwałtownie szarpie na lewo, lecę w tamtą stronę. Potem na prawo, a ja lecę do tyłu.

- Spokojnie. - Ari błyskawicznie staje przy mnie, z wprawą poruszając się po rozkołysanej kabynie, i łapie mnie za łokieć. - Wszystko w porządku. Morze trochę wzburzyło się przed sztormem.

Poważna mina jednak przeczy jego słowom.

- To znaczy, że może być jeszcze gorzej? - pytam. Z powagą kiwa głową.

- Sprawdziłem prognozy przez radio. Znosi się na o wiele większy sztorm, niż to zapowiadali, kiedy wypływaliśmy z Triestu.

- Ciekawe, czy teraz żałuje, że wybrał podróż jachtem, i czy postawiłby na inny środek lokomocji, gdyby znał sytuację.

Jakby w odpowiedzi na te moje niezadane pytania łódź znowu przechyla się na prawo.

- Sztorm się zbliża. - Ari podnosi głowę, po czym kładzie ręce na moich ramionach i lekko popycha mnie na łóżko. - Zostań tu. Pod żadnym pozorem nie wstawaj. - Biegnie przez kabinę i wspina się po schodkach.

Nad moją głową rozlega się głośny tupot, a potem skrzypienie, jakby cały jacht aż jęczał z wysiłku. Potem zapada cisza, która trwa całą wieczność, zakłócana jedynie dzikim wyciem wiatru. Co się dzieje?

Fale chłuszczą malutkie okienka kabiny. W jednej chwili ozywają moje dziecięce koszmary związane z oceanem. Oddychaj - nakazuję sobie, usiłując zdusić panikę. Ari wie, co robi. Wszystko będzie dobrze.

Ale sztorm przybiera na sile, wiatr ciska łodzią na wszystkie strony. Torba Ariego spada z półki, jej zawartość rozsypuje się po podłodze. W kuchni słoik dżemu uderza w coś i roztrzaskuje się. Kurczowo trzymam się zagłówka, bezskutecznie starając się wyrzucić z pamięci przerażające filmy o rozbitkach. Ścisza mnie w gardle.

Z pokładu dochodzi głośnie łupnięcie, a potem krzyk. Ari! Nie bacząc na jego ostrzeżenia, schodzę z łóżka i przytrzymuję się ściany, próbując się nie przewrócić na rozkołysanej łodzi.

Kiedy wdrapuję się na pokład, podmuch wiatru ciska mnie do tyłu. Gorączkowo chwytam się poręczy i z trudem prę przed siebie.

- Ari! - wołam, wpatrując się w pusty mostek. Niebo jest ciemne jak nocą, potężne fale zalewają pokład.

Biegnę do burty, wciąż trzymając się poręczy.

- Ari! - wołam znowu, lecz mój głos zostaje zagłuszony przez wycie wiatru. Nigdzie ani śladu Ariego. - Jordan! - dobiega mnie nagle gdzieś z góry jego głos. Usiłując utrzymać równowagę, idę do drabinki i wspinam się na mostek. Ari podnosi się i siada na leżaku.

W oddali na niebie pojawia się błyskawica, piorun rozrywa powierzchnię wody.

- Nic ci nie jest?

- Nie. Poślizgnąłem się i uderzyłem w głowę. - Na jego twarzy nagle pojawia się złość. - Kazałem ci zostać na dole. Nie możesz mi zaufać na tyle, żeby chociaż raz mnie posłuchać?

- Ale myślałam...

Rozlega się kolejne uderzenie pioruna, tym razem bliżej.

- Musimy wracać do środka. - Schodzi pierwszy i podaje mi rękę. Wiatr jest coraz silniejszy, każdy krok w stronę kabiny to walka.

W środku padamy na podłogę, przemoknięci i wykończeni.

- Wszystko w porządku? - pytam. Nie odpowiada, tylko ściska mnie kurczowo, z trudem łapiąc oddech. Przez parę minut leżymy tak, wtuleni w siebie. Z ulgą spoglądam na niego. Przyciąga mnie do siebie i całuje. Potem, jakby nagle odzyskał siły, bierze mnie na ręce i niesie do łóżka. Zdejmuję mu koszulę. Kładzie się i wciąga mnie na siebie.

Tym razem nie ma mowy o wycofaniu się. Zdejmuję mokre ciuchy, odsuwając się od Ariego tylko po to, żeby ściągnąć przez głowę moką koszulę. Wstąpiły w niego nowe siły, podnosi się i lekko popycha mnie znowu na łóżko.

- Prezerwatywy... - przypominam, kiedy jego usta zaczynają błędzić po mojej szyi.

Odsuwa się i przez chwilę boję się, że znowu nastrój prysnął. On jednak siada i sięga do torby leżącej na podłodze. Potem znowu mnie przytula, a intensywność naszych ruchów wzmagą się pod wpływem kołysania morza.

Po wszystkim leżymy w milczeniu, ze splecionymi kończynami. Wycie wiatru przeszło w gwizd, łódź kołysze się łagodniej, sztorm się kończy.

- Jak się czujesz? - pyta głosem łagodniejszym niż kiedykolwiek.

- Dobrze, ale to ty upadłeś.

- Nie mówię o tym. Miałem na myśli twoje słowa o tym, że z powodu Jareda nie chcesz się angażować...

- Jest w porządku - mówię szybko, przerywając mu. Pierwszy raz od ponad dziesięciu lat uprawiałam seks nie po to, żeby uciec od wspomnień, wyrzucić je z pamięci albo ich unikać. Nie chcę teraz myśleć o Jaredzie.

- To dobrze. - Uśmiecha się. - Bo chciałem to zrobić, odkąd poznaliśmy się w Monako.

- Naprawdę? Ale zeszłej nocy, kiedy zostałeś na pokładzie, myślałam, że...

- Czasami lubię się przespać na pokładzie. Nie chciałem zakładać, że tylko dlatego, że jesteśmy sami, dokończymy to, co wczoraj przerwaliśmy. Chciałem, żeby było tak, jak trzeba.

- Jak teraz?
- Jak teraz - przytakuje i całuje mnie. Parę sekund później odsuwam się.
- Ale tak poważnie, mocno się uderzyłeś. Boli? Powoli siada.
- Fala mnie zaskoczyła. Zwykle nie mam problemów z równowagą, lecz tym razem jej nie zauważyłem...

Widzę, że jeszcze jest roztrzęsiony. Obejmuję go i mdtno przytulam. Przywiera do mnie jak mały chłopiec, a to przypomina mi Jareda. Sztywnieję.

- Co jest? - pyta zmęczony, wyczuwając zmianę w moim zachowaniu.
- N-nic - mamrocze, nie chcąc psuć nastroju.

On jednak odsuwa się, jakby przypomniał sobie naszą wcześniejszą rozmowę, mój opór przed angażowaniem się. Potem wstaje.

- Zaraz wracam.

Wyciągam się na łóżku, drżąc z podniecenia. Myśli kłębią mi się w głowie. Jeszcze wczoraj potraktowałabym to jak zwykły romans, ale to, co czułam, kiedy Ari znalazł się w niebezpieczeństwie, przemieniło naszą znajomość w coś więcej.

Kiedy wraca, siadam.

- Najgorsze minęło - oznajmia. - Jednak jacht został trochę uszkodzony, więc musimy wpłynąć do jakiegoś portu i go naprawić.

- Czy to nie spowolni naszego poszukiwania Nicole?
- Tak, ale nie mamy wyboru. Na pewno szybko naprawią łódź. Jeśli nie, znajdziemy inną.

Bardzo nie podoba mi się to, że stracimy jeszcze więcej czasu.

- Co więc robimy teraz?
- Ustawiłem GPS na Argostoli. To na Kefalonii, wyspie na północ od Zakynthos. Jestem prawie całkiem pewien, że w tamtejszym porcie dadzą radę naprawić jacht. Dotrzemy tam w środku nocy. Tymczasem powinniśmy trochę odpocząć.

Kładzie się obok mnie. Myślę, że zamknie oczy, ale on tego nie robi, odwraca głowę w moją stronę.

- Jordan to bardzo interesujące imię. Dlaczego rodzice tak cię nazwali?

- Nie wiem - przyznaję. - Moja prababcia miała na imię Jenny, więc chyba na jej cześć rodzice wybrali imię zaczynające się na J. Nie wiem jednak, dlaczego wybrali właśnie Jordan. Nigdy nie byli w Izraelu ani na Środkowym Wschodzie.

- Po hebrajsku to znaczy „schodzić” albo „spływać”, jak rzeka. Pasuje do ciebie. - Milczę, zastanawiając się, czy mówi to z ironią. Chciałabym być tak swobodna. - A moje imię, Aaron, znaczy „góra”. Pasują do siebie, prawda?

- Myślę, że to właśnie zrobiliśmy - żartuję. - Spłynęliśmy z góry. - Nie odpowiada, tylko odsuwa się ode mnie. - O co chodzi? O czym myślisz?

- O swojej żonie. - Nie byłam gotowa na taką odpowiedź. - Przepraszam, wiem, że to nieodpowiednia chwila. Po prostu jest mi ciężko. Oczywiście po śmierci Avivy miałem inne kobiety, ale to...

- .. jest jak zdrada? - kończę za niego.

Kiwa głową. Rozumiem, co czuje, znam to uczucie, kiedy pierwszy raz po studiach byłam z innym mężczyzną. Od śmierci Jareda minął wtedy rok, a jednak miałam wrażenie, jakbym stawiała kogoś między nami, jakbym zrywała więź, która już i tak się rozluźniała. Okropne uczucie.

Ale Ari powiedział, że miał inne kobiety. Dlaczego więc teraz jest tak zgnębiony? Uświadamiam sobie, że coś do mnie czuje - tak samo jak ja do niego. Drzę, otulam się kocem.

Czuję, że oddycha powoli i głęboko. Oglądam się przez ramię. Zasnął mocno, wyczerpany wcześniejszymi przejściami. Odwracam się i obejmuję go, a wkrótce potem moje powieki robią się ciężkie.

Jakiś czas później budzę się. Czując fale rozkoszy przepływające przez moje ciało, przypominam sobie, że jestem na jachcie. Leżę z zamknięty-

mi oczami, próbując przywołać erotyczny sen, który pewnie mi się śnił. Nagle uświadamiam sobie, że dłonie przesuwające się po moim ciele to nie sen. Ari jest we mnie, a ja na wpół leżę na nim, jakby przyciągnięta przez jakąś siłę z zewnątrz.

On zaczął czyja? To pytanie staje się nieistotne, kiedy zalewa mnie fala gorąca. Ari porusza się powoli, jak żaden inny mężczyzna, jakiego znałam do tej pory, przylega do mnie całym ciałem, przyciąga mnie do siebie, a potem przerywa. Kiedy już dłużej nie mogę wytrzymać, porusza się coraz gwałtowniej, doprowadza mnie na skraj rozkoszy, aż wreszcie eksploduję i krzyczę w półśnie.

- Trochę inaczej niż ostatnio, prawda? - mówi, gdy się od niego odsuwam.

- Prawda. - Kiedy pożądanie mija, wraca wstyd. - Jak to właściwie się stało?

- Nie wiem. - Słyszę szczerą w jego głosie. - W jednej chwili spałem, a już w następnej...

Jak przez mgłę przypominam sobie, że wyciągałam do niego rękę, budząc go ze snu.

- To chyba ja zaczęłam - przyznaję. - Lecz nie jestem pewna.

- W porządku. Ale robiliśmy to właściwie przez sen, więc nie uważaliśmy tak, jak powinniśmy.

Ogarnia mnie panika, kiedy przypomina mi się noc, gdy Jared i ja nie byliśmy ostrożni, i cena, jaką później za to zapłaciłam.

- Powinnaś wiedzieć, że niedawno robiłem sobie testy - dodaje z zakłopotaniem. - W ramach badań okresowych.

Mnie jednak nadal serce wali jak oszalałe. Szybko liczę w myślach i dochodzę do wniosku, że dzisiaj ryzyko zajścia w ciążę jest u mnie niewielkie. Staram się spokojnie oddychać, wsłuchuję się w rytmiczne pluskanie wody o burtę. Spod spodu dochodzi jeszcze inny dźwięk, jakby skrobanie o drewno.

- Zaczumowaliśmy?

- Tak. Musiałem wstać i wprowadzić łódź do portu. Staralem się,

aby cię nie obudzić. Kiedy zacznie świtać, sprawdzimy, czy da się naprawić jacht.

Przez parę minut milczymy.

- Myślałaś o tym, że możesz zejść się z Jaredem, zanim dowiedziałaś się o Nicole? - pyta nagle.

Przygryzam dolną wargę. Dziwnie się czuję, leżąc z mężczyzną, z którym właśnie się kochałam, i rozmawiając o swoim byłym chłopaku.

- Nie wiem - odpowiadam, jednak pytanie to dalej kołacze mi się po głowie.

Przez tyle lat myślałam, że Jared nie żyje. W zeszłym tygodniu, kiedy się dowiedziałam, że jednak żyje, oczywiście zdarzało się, że marzyłam o jego powrocie do mnie, zastanawiałam się, czy wciąż czujemy do siebie to samo, czy moglibyśmy być razem. Ale teraz to wykluczone.

Mogłabym zawrócić i dać sobie spokój. Jared żyje i jest żonaty. Dlaczego nadal go szukam? Dlatego, że chociaż wiele się dowiedziałam, wciąż pozostało mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Czemu mnie opuścił i czemu nie wrócił?

- Jest żonaty - mówię w końcu.

- A gdyby nie był?

Ari pyta, czy byłabym z nim, gdyby się okazało, że Jared nie ma żony.

- To by nic nie zmieniło - odpowiadam szybko, biorąc go za rękę. Czuję napięcie. Do tej pory nie zastanawiałam się nad tą kwestią:

czy związałamby się z Arim, gdyby Jared nie ożenił się z Nicole? Czy zdusiłabym wszystko w zarodku i całkowicie poświęciła się poszukiwaniu Jareda? Chciałabym wierzyć, że jednak wybrałabym Ariego - jest do mnie o wiele bardziej podobny niż Jared i pomimo wszelkich kłótni rozumie mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Ale obraz Jareda w mojej pamięci tak obrósł wspomnieniami, dziesięcioletnią tęsknotą, że aż do zeszłego tygodnia jawił mi się w różowych barwach,

nieskażony wadami i niedoskonałościami, które ujawniłyby lata spędzone razem. Nie sposób pozbyć się tej otoczki, uczciwie porównać mężczyznę, o którym marzyłam przez dziesięć lat, z tym, który teraz leży przy mnie.

- W każdym razie nie ma o czym mówić - ciągnę. - Jared jest z Nicole. A ja jestem z tobą i chcę być.
- Mam ochotę dodać, że gdyby jego żona żyła, Ari teraz nie byłby ze mną. Ale tak nie wolno. Nie mogę rywalizować z duchem.

Już więcej się nie odzywa, tylko lekko się odsuwa, wciąż jednak trzymając mnie za rękę. Dlaczego musiał zacząć tę rozmowę właśnie teraz, kiedy jesteśmy tacy szczęśliwi i zadowoleni? Z własnego doświadczenia znam tę potrzebę grzebania pod powierzchnią, zdrapywania lśniącej pozłotki i szukania niedoskonałości. Bierze się z głęboko zakorzenionego przekonania, że nie zasługujemy na szczęście, że dar, który dostaliśmy, musi mieć jakąś ukrytą wadę.

- Ja tylko szukam odpowiedzi - dodaję, jakby wyprzedzając kolejne pytanie. - Żeby móc zamknąć tamten rozdział i zacząć życie od nowa.

Ściska moją dłoń.

- To dlatego nigdy nie wyszłaś za męża?

- Nie wiem - odpowiadam szczerze. Uświadamiam sobie, że żaden z moich mężczyzn nawet w najmniejszym stopniu nie nadawał się na męża. - Chyba po prostu jestem typem samotnika.

- Wszyscy jesteśmy samotnikami, dopóki nie spotkamy właściwej osoby. Ale po stracie kogoś trudno zacząć nowe życie. - Przewraca się na plecy i przeciąga się. Jego ręka wędruje na mój kark i zaczyna masować moje napięte mięśnie. Zamykam oczy, roztapiając się pod jego dotykiem. Przyciska moje ręce do boków. Czuję się jak dziecko w beciku, aż do tej pory nie wiedziałam, że potrzebuję takiego rodzaju czułości.

Po chwili znowu zaczyna powoli głęboko oddychać, a ja wpatruję się w ciemność, czując delikatne kołysanie morza pod jachtem. Myśla-

mi wracam do Jareda. Trudno mi uwierzyć, że być może jutro go odnajdę, że po tak długim czasie znowu się spotkamy.

Niespokojna wyslizguję się spod ciepłego, ciężkiego ramienia Ariego i siadam. Wstaję i wspinam się po schodkach na pokład. W porcie panuje cisza, tylko z innej łodzi dochodzą czyjeś przytłumione głosy. W oddali na brzegu migocze parę świateł.

Zastanawiam się nad jego pytaniem: dlaczego nigdy nie wyszłam za męża? Czy już na zawsze pozostanę sama? Ta kwestia zawsze mnie trapiła. Samotna kobieta - po czterdziestce, bezdzietna, mieszkająca jedynie z kilkoma kotami - to stereotypowa pracownica służb dyplomatycznych, trochę jak Mo, ale bez tak błyskotliwej kariery i bez Katie i Kyle, wspaniałych bliźniaków z Wietnamu, które adoptowała dwadzieścia lat temu. Pomimo całego postępu kobiecie pracującej w dyplomacji trudno jest znaleźć partnera, który zrezygnuje z własnej kariery, żeby jeździć z żoną po całym świecie.

Chociaż z drugiej strony nie należę do kobiet, które potrzebują męża. Są gorsze rzeczy niż samotność - na przykład utknięcie w nieszczęśliwym małżeństwie, co przydarzyło się wielu moim koleżankom z pracy, pozostanie z mężem dla dobra dzieci albo po prostu dlatego, że nie potrafiłyby żyć same.

Ogarnia mnie zmęczenie, więc z powrotem schodzę do kabiny, w której po wcześniejszym sztormie wciąż panuje bałagan. Idę do kuchenki, sprzątam słoik oliwy, który stłukł się w zlewie i cicho, żeby nie obudzić Ariego, porządkuję naczynia. Potem na palcach wracam do kabiny, gdzie powietrze jest aż gęste od snu.

Idę do swojej torby leżącej w kącie i grzebię w niej w poszukiwaniu szczoteczki do zębów. W bocznej kieszeni mruga czerwone światełko. Moja komórka.

Wciskam guzik i ekran rozświetla się w mroku. Wiadomość od Lincolna, odpowiedź na moje ostatnie pytania. „Znalazłem Nicole Short”. A więc jednak używa nazwiska Jareda. „Ostatnio mieszkała w pobliżu rybackiej wioski Keri, na południowo-zachodnim wybrze-

zu Zakynthos. Nie znam dokładnego adresu, ale na pewno ją tam znajdziesz".

Z mocno bijącym sercem ponownie czytam wiadomość. Znowu Zakynthos. A przecież Ari powiedział, że Nicole jest w mieście Zante we wschodniej, zupełnie innej części wyspy.

Zastanawiam się, dlaczego w teczce od Mo nie było nic na temat Grecji. Czy dlatego, że adres miał związek tylko z Nicole? Nie sądzę, by Mo przekazała mi wszystkie informacje oprócz tej jednej. Bardziej prawdopodobne jest to, że Lincoln dotarł do informacji, których Mo nie znała.

Chcę obudzić Ariego i powiedzieć, czego się dowiedziałam, ale najpierw przewijam wiadomość od Lincolna i czytam: „Sprawdziłem dane. Prawdziwe nazwisko: Aaron Borenstein. Jest z Mossadu. Brak informacji na temat jego obecnej misji”.

Cofam się, nieomal przewracając się o but leżący na środku podłogi. Ari porusza się. Zastygam, myśląc, że się obudził, lecz on z chrap-nięciem przewraca się na drugi bok. Ze ściśniętym gardłem ponownie czytam wiadomość. Ari ukrył przede mną swoją prawdziwą tożsamość. Co on tu robi? Czyżby szukał Jareda?

Mossad. Słowo to dudni mi w głowie. Co prawda taka możliwość przemknęła mi przez myśl, kiedy poznałam Ariego, ale i tak potwierdzenie jej zdumiało mnie. Nagle wszystko nabiera sensu - niechęć do opowiadania o swoich klientach, źródłach informacji i kontaktach.

Z niedowierzaniem siadam na podłodze. Przez cały czas Ari mnie okłamywał. Czuję mdłości na myśl o tym, co między nami zaszło. Czy i to było częścią gry?

Ruszam przez kajutę, ogarnięta potrzebą skonfrontowania się z nim i zażądania prawdy. Ale jaki to ma sens, nawet jeśli nakłonię go do mówienia? Zaprzeczy wszystkiemu - chyba że pokażę mu dowód, a tego nie mogę zrobić, nie zdradzając Lincolna. Nie, nic nie ugram na konfrontacji z Arim.

Podchodzę do jego otwartej torby, której zawartość wala się po podłodze. Sięgam po portfel, szukam... właściwie czego? Przecież agent

Mossadu nie nosi wizytówek. Mimo wszystko przeglądam portfel, szukając czegoś, co potwierdziłoby informacje od Lincolna.

Nagle za mną w łóżku rozlega się szelest. Ari znowu przewrócił się na plecy, ma otwarte oczy i patrzy prosto na mnie.

Przeżona wrzucam portfel do torby. Gorączkowo zastanawiam się, jak wytłumaczyć swoje zachowanie. Nagle Ari znowu zamyka oczy. Z ulgą uświadamiam sobie, że wciąż śpi. Nie śmiem jednak kontynuować poszukiwań.

Co teraz? Nie mogę zachowywać się, jakby nic się nie stało. Muszę od niego uciec i zacząć na własną rękę szukać Nicole. Ogarniają mnie wątpliwości. Czy uda mi się ją odnaleźć? Mam nowe informacje od Lincolna na temat jej miejsca pobytu, nazwę wioski. Jakiś głos wewnętrzny, nie do końca należący do mnie, mówi, żebym działała. Znowu czuję się, jakbym wychodziła z ambasady i wsiadała do taksówki. Sama.

Tak właśnie wolisz - zauważa głos. Nigdy dotąd na nikim nie polegałam. Dam sobie radę sama.

Na palcach przechodzę przez kabinę, ściskając w dłoni świstek papieru z adresem. Mijam łóżko i na widok śpiącego Ariego przystaję na chwilę. Gniew walczy we mnie z tęsknotą. Chciałabym móc cofnąć się w czasie o godzinę, do chwili gdy leżałam w jego ramionach, pełna nadziei. Ale nie mogę. Znowu wyszłam na idiotkę. ¹ Moje wątpliwości rosną. Nie wiem, czy uda mi się odnaleźć Nicole. Może zamiast tego wpadnę w ręce ludzi Santiniego? Odzyskałam jednak wiarę, że jedyną osobą, która nigdy mnie nie opuści i której mogę zaufać, jestem ja sama. Tak więc zaczynam działać.

Dotrę do miejsca, do którego zmierzam od tak dawna. Odnajdę Jareda.

Biorę torbę, po raz ostatni spoglądam na Ariego i wspinam się na pokład. Światła w porcie lśnią teraz jaśniej, zachęcająco, jakby mnie poganiały. Schodzę z jachtu na pomost, a potem idę przed siebie, zostawiając za sobą serce.

14

Wysiadam z tylnego siedzenia rozklekotanego samochodu i zamykam drzwi. Przede mną na wzgórzu widnieje grupka prostokątnych budynków oślepiająco białych w słońcu. Mężczyźni rozładowują kilkadziesiąt kutrów kołyszących się na spokojnej, błękitnej wodzie w porcie w dole. Powietrze jest gęste od zapachu soli i martwych ryb.

Wymknęłam się z jachtu zacumowanego w Argostoli tuż przed świtem, kiedy Ari jeszcze spał, po czym ruszyłam przez pomost w stronę większej przystani, gdzie turyści wsiadali na promy płynące na różne wyspy. Tam wsiadłam na średniej wielkości prom zmierzający na Zakynthos, a kiedy wypłynęliśmy na otwarte morze, stanęłam przy poręczy, przyglądając się innym podróżnym zachowującym się tak beztrosko, jak ja nie czułam się od lat. Kiedy ostatnio byłam po prostu na wakacjach? Już nie pamiętam.

Parę metrów ode mnie jakaś młoda para, pewnie nowożeńcy, migdali się, nie bacząc na innych podróżnych. Patrząc na nich, nie mogę się opędzić od myśli o Arim, o chwilach namiętności, jakie przeżywaliśmy zaledwie parę godzin temu. To wszystko było kłamstwem. Jak mogłam tak się pomylić co do niego? Opieram się o poręcz, chowam twarz w dłoniach. Najpierw Sebastian, teraz Ari. Nawet Jared w pewien sposób mnie oszukał. Przez lata chciałam wierzyć, że tylko on by mi tego nie zrobił. Ale właściwie jaka to różnica? Sfingował własną śmierć i uciekł. Nie, był taki sam jak inni, może nawet gorszy.

Jeśli chodzi o Sebastiana, to przynajmniej odkryłam prawdę, zanim sprawy zaszły za daleko. Lecz z Arim... Odsuwam od siebie obrazy z minionej nocy i znowu przyglądam się pasażerom. Jakiś mężczyzna po czterdziestce, w szortach do golfa i koszulce polo, typowo amerykańskim stroju, stoi samotnie, patrząc w moją stronę. Ciarki przechodzą mi po plecach. Kolejny rządowy agent, który ma mnie namówić

do powrotu? Ale mężczyzna odwraca się i po chwili podchodzi do niego o wiele młodsza brunetka. Dostyc tego, myślę, kiedy odchodzą. Paranoja na pewno mi nie pomoże. Dyrektor już raz podjął próbę ponownego zwerbowania mnie. Jestem pewna, że uszanował moją decyzję i nie będzie mnie więcej nękał.

Kiedy prom wpłynął do portu w Agios Nikolaos na północnym wybrzeżu Zakynthos, zaczęłam szukać kierowcy, który zawiózłby mnie na południe do wioski Keri. Tuż przed portem mężczyzna sprzedający owoce wskazał mi samochód. Kierowca i ja spojrzeliśmy na siebie zrezygnowani: on nie miał ochoty jechać tak daleko, ja zaś wahałam się, czy wsiąść do nieoznakowanej taksówki z kierowcą, który wyglądał na nie więcej niż szesnaście lat. Uznałam jednak, że innej taksówki nie znajdę, a kiedy wyjęłam pieniądze, żeby zapłacić z góry, szofer wyraźnie nabrał entuzjazmu.

Nawet nie próbował zaczynać rozmowy, tylko włączył kasetę z muzyką, opuścił szybę w oknie i wystawił przez nie dłoń z papierosem. Ruszyliśmy na południe, turkocząc po zniszczonych drogach, w samochodzie, w którym najprawdopodobniej amortyzatory już dawno temu przestały działać. Przez jakiś czas po obu stronach drogi rosły gęste zarośla i drzewa, a urwiste wzgórza były pokryte gajami oliwnymi. Potem krajobraz po prawej stronie nagle się zmienił i gdy pojawiło się zapierające dech w piersiach wybrzeże intensywnie niebieskiego morza, przypomniało mi się Côte d'Azur, gdy zobaczyłam je po raz pierwszy, jadąc pociągiem z Mediolanu do Monako. Tutejsza okolica była jednak bardziej pusta, w bujnej roślinności tylko raz na jakiś czas dostrzegałam sześcian domu, oślepiająco biały w blasku słońca w zenicie.

Nie miałam pojęcia, jak odnajdę Nicole, kiedy już dojedziemy do wioski, i czy jeśli ją znajdę, powie mi, gdzie jest Jared. Myślałam też o niebezpiecznych przestępcach, którzy również jej szukali i których mogłam spotkać na swojej drodze. I po co to wszystko? Dla rozmowy z byłym chłopakiem, który przez tyle lat nie dał znaku życia? Może jednak powinnam zrezygnować? Mogłabym złapać samolot z Aten do Genewy, odwiedzić Sarę, zastanowić się, co zrobić ze swoim życiem.

Nagle moja ręka natknęła się na coś w kieszeni. Pierścionek. Wyjęłam go i obejrzałam pod światło. Niespełniona obietnica. Wtedy zrozumiałam, że nie wolno mi się wycofywać. Poddanie się oznaczałoby porażkę. To, co przeżyłam w Londynie i później, straciłoby sens. Musiałam doprowadzić sprawę do końca, odnaleźć Nicole, dotrzeć do Jareda. Dopiero wtedy zacznę życie od nowa.

Objęłam się, drżąc pomimo upału, i znowu wyjrzałam przez okno. Droga stała się wyboista, samochód z trudem poruszał się pod górę po świeżym, gęstym błocie. Za zakrętem ukazała się wioska. Kierowca stanął przed grupką podniszczonych budynków, wykonał ruch głową i zrozumiałam, że jesteśmy na miejscu.

Po jego odjeździe rozglądałam się po wiosce i ruszam pod górę piaszczystą drogą prowadzącą od portu na wzgórze, fest południe, lecz na ulicach panuje dziwna cisza, a sklepy są puste. Przed małym sklepem spożywczym grupka mężczyzn, w większości bez koszul, na dwóch ławkach gra w karty. Kiedy podchodzę, podnoszą głowy i taksują mnie wzrokiem. Niedaleko stąd, przy plaży, znajduje się ośrodek turystyczny, ale najwyraźniej niewielu turystów zapuszcza się w tę część wyspy. Jak to możliwe, że Nicole i Jared mieszkają tu, nie zwracając na siebie uwagi?

Mężczyźni patrzą na mnie z wyczekiwaniem. Chrząkam.

- Angielski?

Przez parę sekund milczą, po czym mężczyzna, który siedzi z przymkniętymi oczami i głową zwróconą ku niebu, spogląda na mnie.

- Trochę.

Przez chwilę się waham, zastanawiając się, czy Nicole jest tu znana pod swoim imieniem.

- Szukam kobiety o imieniu Nicole. - Wskazuję na swoje włosy. - Blondynka. - Przypomina mi się zdjęcie Nicole i Jareda z teczki Mo. Wyjmuję je i pokazuję mężczyźnie.

Nagle ożywiony, z błyskiem w oku odwraca się do reszty i szybko mówi coś po grecku. Jeden z mężczyzn wskazuje na wzgórze w oddali.

Chce widocznie powiedzieć, że Nicole tam mieszka. Ale te zarośnięte, surowe wzgórza wyglądają na opustoszałe, złowieszcze. Robię rękami taki ruch, jakbym prowadziła samochód.

- Muszę tam pojechać. Mężczyzna kręci głową.

- Niemożliwe. Droga... - Urywa, szukając słów. - Za dużo deszczu. - Kiedy tłumaczy pozostałym moją prośbę, cmokają potakująco.

- Co mam zrobić? - naciskam z rosnącym niepokojem. - Jest inna droga?

- Trzeba czekać - odpowiada mężczyzna i znowu odwraca twarz do słońca.

Czekać. Serce mi zamiera. Nawet w tym upale droga wyschnie dopiero za parę dni. Nie mam tyle czasu. Zrezygnowana odwracam się i ruszam z powrotem do portu. Nagle się zatrzymuję.

- Od kiedy droga jest nieprzejezdna? - pytam.

- Tydzień. - Tym razem mężczyzna otwiera tylko jedno oko. Wstrzymuję oddech. Może i Nicole nie zdołała tam pojechać. Ale

w takim razie gdzie może być?

Odwracam się, osłaniam dłonią oczy i patrzę na horyzont. Na brzegu widzę ośrodek turystyczny, hotele i turystów na plaży. Może Nicole postanowiła tam poczekać, aż droga wyschnie? Strzał w ciemno, lecz w tej chwili to mój jedyny trop.

Dziękuję mężczyznom, ale oni już wrócili do swojej gry w karty. Bez słowa schodzę w dół drogą, która szybko doprowadza mnie do wąskiego pasa kamienistej plaży. Kiedy idę brzegiem, ogarniają mnie coraz większe wątpliwości. Nie wiem, czy Nicole tu wróciła i czy ona i Jared rzeczywiście tu mieszkają. Jednak nie mam wyboru. Mogę próbować odnaleźć Nicole z nadzieją, że doprowadzi mnie do Jareda, albo poddać się i wrócić do domu.

Po paru minutach docieram do ośrodka. Plaża jest tutaj bardziej piaszczysta niż kamienista, usiana słomkowymi parasolami. Tuż przy zatoce stoi kilka hotelików. Wchodzę do pierwszego, brzoskwiniowej, jednopiętrowej willi.

- Tak? - odzywa się młoda kobieta w recepcji.

- Szukam kobiety o nazwisku Nicole Martine. Albo Nicole Short - dodaję szybko.

Kobieta waha się przez chwilę, a ja spodziewam się, że powie, że nie wolno jej podawać prywatnych informacji na temat gości. Ona jednak przegląda księgę gości.

- Nie ma tu nikogo o tym nazwisku.

Może podała zmyślane nazwisko? Wyjmuję zdjęcie i pokazuję je recepcjonistce, ta jednak przecząco kręci głową.

- Dziękuję.

Idę do następnego hotelu przy plaży, nieco większego, ozdobionego sztukaterią, i powtarzam tę samą rozmowę z recepcjonistą, który również nie rozpoznaje Nicole.

Dwadzieścia minut później idę do ostatniego hotelu. Kiedy stoję przed werandą, z rezygnacją opuszczam ramiona, widząc, że i tym razem mi się nie powiedzie. Villa Kyrianos jest mniejsza od pozostałych, przypomina bardziej pensjonat niż hotel, za nią stoi kilka maleńkich bungalów. W holu nie ma recepcji, jest tylko kanapa i niski stolik z wazonem dzikich kwiatów. Chłopiec, na oko piętnastolatek, myje okna.

- Dzień dobry - mówię. - Czy mógłbyś mi pomóc? Szukam pewnej kobiety... - Po pustce w jego oczach domyślam się, że nie zna angielskiego.

Sięgam po zdjęcie Nicole, ale w tej chwili pojawia się jakaś kobieta po pięćdziesiątce i odprawia chłopaka.

- Chce pani pokój? - pyta szorstko. Pokazuję jej zdjęcie.

- Czy widziała pani tę kobietę?

Wstrzymuję oddech, gdy przygryzając dolną wargę, przygląda się zdjęciu.

- Może. - Wymawia to słowo z większą pewnością, niż to sugeruje słowo, którego użyła. - Nie mieszka tutaj, ale może być na plaży.

Nasz ośrodek odwiedza tylu turystów, że trudno powiedzieć. No to chce pani pokój?

Waham się. Nie chcę tu utknąć. Muszę odnaleźć Jareda, lecz bez Nicole nie mam wyboru: muszę poczekać, aż droga wyschnie na tyle, żebym mogła dojechać do jej domu.

Zgadzam się wynająć pokój i wypełniam formularz, który mi podaje.

- Pokój jest w tej chwili sprzątny. Proszę wrócić za godzinę. Jeśli jest pani głodna, to tuż przy plaży znajdzie pani kawiarnię.

- Dziękuję.

Wychodzę z pensjonatu i idę plażą w kierunku wskazanym przez kobietę, oddalając się od hoteli. Kawiarnia w zatoczce przy małym porcie to zwykła chatka z paroma stolikami. W powietrzu unosi się kuszący zapach ryby pieczonej nad paleniskiem.

Podchodzę do grilla i wskazuję na talerz z rybą i warzywami. Płacę i niosę do stolika talerz wraz ze szklanką piwa. W żołądku mi burczy, kiedy biorę kęs kruszonej ryby. Patrzę na port, parę małych żaglówek i innych łodzi turystycznych lekko podskakujących na wodzie.

Wracam myślami do Ariego. Na pewno już się obudził i odkrył moje zniknięcie. Czy zrozumie, dlaczego odeszłam, czy też zacznie mnie szukać? Z mieszaniną ulgi i żalu dochodzę do wniosku, że będzie szukał Nicole, a nie mnie, pod adresem w Zante, który podał mu informator. Od początku zależało mu tylko na znalezieniu jej.

Dlaczego mi nie powiedział, że pracuje dla Mossadu? Bo nie mógł - tak samo jak ja nie mogłam opowiadać swoim bliskim o śledztwie w Londynie czy innych tajnych zadaniach. Taka jest natura tej pracy albo, jak ktoś powiedział Michaelowi Corleone w drugiej części *Ojca chrzestnego*, „biznesu, który wybraliśmy”. To jeden z ulubionych cytatów mojego ojca - dość ironiczny w świetle naszych spotkań z mafiosami.

Przypomina mi się pierwsze spotkanie z Arim w Monako, konfrontacja w mieszkaniu Nicole. Byłam wtedy tak zafrapowana poszukiwa-

niem Jareda, że nie przywiązywałam zbytnej wagi do faktu, że oboje w tym samym czasie szukamy Nicole. Teraz ten zbieg^okoliczności wydaje mi się nieprawdopodobny. Może Ari cały czas mnie śledził, mając nadzieję, że doprowadzę go do Nicole?

Powinłam była się domyślić - beształam siebie w duchu. W sprawie z Sebastianem nie miałam żadnych podejrzeń. Przy Arim zawsze w głębi ducha podejrzewałam, że coś tu nie gra, że pod fasadą kryje się coś więcej. A jednak pojechałam z nim. Dlaczego? Przypływ adrenaliny, dreszczyk na myśl o nieznanym? A może po prostu pociągają mnie mężczyźni, którzy mogą mnie zdradzić?

Nadal nie wiem, dlaczego Ari szuka Nicole. Jego wcześniejsze wytłumaczenia, podawanie się za prywatnego detektywa, z pewnością były kłamstwem. A jeśli chce skrzywdzić Nicole albo nawet Jareda? Nagle przychodzi mi do głowy, że szukając Jareda, prowadzę innych do niego, narażając go na niebezpieczeństwo. Może byłoby lepiej, gdybym przerwała te poszukiwania?

Upijam duży łyk piwa i znowu rozglądam się po porcie. Wyobrażam sobie, że Jared mógłby mieszkać w takim miejscu. Ale dlaczego właśnie tutaj? Jedna z żaglówek przesuwa się lekko, odsłaniając mniejszą łódkę. Moja ręka ze szklanką piwa zastyga w pół ruchu. W łodzi, zmagając się z silnikiem, stoi jakaś blondynka.

- Nicole! - wołam i zeskakuję z krzesła, zrzucając jedzenie z talerza. Co ona robi? Kiedy silnik zaczyna warczeć, uświadamiam sobie, że postanowiła popłynąć do domu łodzią, nie czekając, aż droga wyschnie.

Biegnę plażą, tak szybko, jak mi na to pozwalają sandały. Kobieta podnosi głowę, na mój widok otwiera usta ze zdumienia.

- Zaczekaj! - Czuję się, jakbym znowu była na lotnisku w Nicei, gdzie Nicole szukała drogi ucieczki.

- Proszę, chcę tylko porozmawiać.

Pędzę po pomoście, machając rękami. Na jego końcu poślizguję się na mokrej desce.

- Aaa! - krzyczę, przewracając się. Nie mogę zahamować, lecę do krawędzi pomostu i wpadam tyłem do zaskakująco zimnej wody.

Zanurzam się pod powierzchnię, woda szybko przykrywa moją głowę, wypełnia nos i otwarte usta. Znowu jestem dzieckiem, bezsilnym wobec fal. Macham rękami, bezskutecznie próbując wydostać się na powierzchnię, ale w panice opadam jeszcze niżej.

Czyjeś ręce łapią mnie za ramiona i ciągną mocno w górę. Wyłaniam się na powierzchnię, krztusząc się i łapiąc powietrze. Nicole wychyla się z łodzi, trzymając mnie.

- Spokojnie - mówi, z trudem ukrywając pogardę w głosie. - Nic ci się nie stało.

- Myślałam, że mnie puścisz. - Próbuję zażartować.

- Miałam taki zamiar. - Nie uśmiecha się.

- Fatalnie pływam - wyznaję, kiedy pomaga mi wdrapać się do łodzi.

Odpycha łódź od pomostu.

- Tu nie ma nawet dwóch metrów głębokości. Na pewno byś nie utonęła. - Przez parę sekund w milczeniu patrzymy na siebie lodowatym wzrokiem.

- Dzięki - mówię zawstydzona, kiedy rzuca mi jakąś szmatę, którą wycieram się jak ręcznikiem. Patrzę na jej spodnie khaki i białą bluzkę, płaskie płócienne buty - o wiele praktyczniej sze od moich sandałów, a jednak eleganckie. Przypominam sobie jej przerażenie i zakrwawioną postać w Wiedniu i zastanawiam się, gdzie od tamtej pory się podziewała.

- Powinnaś bardziej uważać w pobliżu wody, skoro nie umiesz pływać - mówi lakonicznie. Podaje mi torbę, która szczęśliwie wylądowała na pomoście, a nie razem ze mną w wodzie.

- Dziękuję, że mi pomogłaś. - Wycieram mokrą twarz. - Tym razem - dodaję znacząco, robiąc aluzję do jej ucieczki w Wiedniu.

Czekam na przeprosiny, ale ona milczy. Ma udreńczoną twarz, ciemne kręgi pod oczami. Pomimo całej elegancji widać, że ostatnie wydarzenia mocno się na niej odbiły.

- Co tu robisz? - pyta zmęczona.

- Jak już ci mówiłam na lotnisku, szukam Jareda.

Przezesuje palcami włosy, gwałtownie wypuszcza powietrze.

- A ja ci powiedziałam, że lepiej będzie, jak zostawisz go w spokoju.

- Muszę się z nim zobaczyć.

- Dlaczego tak bardzo ci zależy na odnalezieniu Jareda? Wiem, szukasz odpowiedzi. Przebyłaś naprawdę długą drogę jak na to, żeby odbyć zwykłą rozmowę.

Dlaczego szukam Jareda? Zastanawiam się nad tym pytaniem. Żeby go dotknąć i potwierdzić to, co niewiarygodne, że żyje, że nie zginął tamtej nocy w zimnych wodach rzeki Cam. Żeby mu powiedzieć, że poznałam prawdę, przekazałam we właściwe ręce tajemnicę, która nieomal kosztowała go życie. Ale jest jeszcze coś o wiele ważniejszego. Chcę się dowiedzieć, dlaczego zniknął bez pożegnania. Czy nie ufał mi na tyle, żeby zdradzić mi swój plan ucieczki? Jak mógł mnie na tyle lat zostawić w żałobie?

- Jordan, jego nie trzeba ratować - dodaje Nicole. Zaskoczona podnoszę głowę.

- Nie o to chodzi. - Mój głos brzmi głucho.

- Jared musiał uciekać przez wiele lat - ciągnie, ignorując moje zaprzeczenie. - Ale teraz jest bezpieczny, w każdym razie wystarczająco bezpieczny. Ma dom, razem ze mną.

A ja mogę go zniszczyć, przywołując bolesne wspomnienia - kończę za nią w myślach.

Przesuwa dłoń po burcie, spogląda na mnie z ukosa.

- Wiesz, jestem jego żoną.

Niezależnie od tego, kim jest naprawdę i co zrobił, w tej chwili jestem wdzięczna Ariemu za to, że powiedział mi o Jaredzie i Nicole. Gdybym to od niej usłyszała prawdę, ból chyba zwałiłby mnie z nóg.

- Wiem. - Staram się mówić spokojnie, z satysfakcją obserwuję rozczarowanie na jej twarzy. - Nie chcę mu przysparzać kłopotów. Chcę tylko porozmawiać.

- Musisz mnie nienawidzić. - Jej głos brzmi neutralnie, jakby komentowała pogodę albo artykuł w gazecie.

Jej szczerość mnie rozbraja, nie byłam gotowa na taką rozmowę.

- Wcale nie... - zaczynam. Na jej twarzy maluje się sceptycyzm. -Wszystko jest tak skomplikowane. Musisz mnie zrozumieć: jeszcze tydzień temu myślałam, że Jared nie żyje. Kiedy się dowiedziałam, że to nieprawda, przeżyłam największy szok w swoim życiu. A potem dowiedziałam się o tobie... Ale nie, nie czuję do ciebie nienawiści.

Mam ochotę dodać, że nie zdążyłam jej poczuć. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek znienawidzę Nicole. Wydaje mi się to głupie: tylu innych ludzi mogę winić za to, co mi zrobili. Mo za zdradę, Sebastiana za to, że mi wmówił, że coś do mnie czuje. Innych za współpracę z nimi. Bez nich Jared nigdy by nie zniknął i teraz bylibyśmy razem, wiedlibyśmy spokojne, wiejskie życie gdzieś na południowym wybrzeżu Anglii. Zamiast tego rozmawiam teraz z jego żoną.

Nie, istnieje przynajmniej kilka osób, których nienawidzę bardziej niż Nicole. Wściekły gniew, który przez ostatnie dni dusiłam w sobie, teraz zaczyna wypływać na powierzchnię. Przetykam ślinę, próbując go zdławić. Istnieje cienka granica między potrzebą poradzenia sobie z przeszłością a poddaniem się gniewowi i żalowi. I chociaż przez ostatnie dziesięć lat zmagalam się z upiorami i demonami, to udawało mi się nie dopuszczać ich do siebie. Widziałam, jak Chris przekroczył tę granicę, owładnięty obsesją na punkcie poznania prawdy o śmierci Jareda, co nieomal go zniszczyło. Coś mi mówi, że jeśli ulegnę gniewowi, dam mu ujście, będzie się mną karmił, dopóki nic ze mnie nie zostanie.

- W każdym razie ja cię nienawidzę. - Nicole wyrywa mnie z zamyślenia.

Oszołomiona spoglądam na nią. Właściwie jej nie znam, nie powinnam się przejmować tym, co o mnie myśli, a jednak te słowa boją. Patrzy na wodę.

- Wiem, pewnie wydaje ci się to głupie - mówi z goryczą. - Przecież mam Jareda. Niemal co noc kładę się obok niego w łóżku i rano przy nim się budzę. Dlaczego miałabym się przejmować jego dziewczycy-

na ze studiów, z którą chodził raptem kilka miesięcy? - Odwraca się do mnie. - Bo to ciebie woła przez sen. To ty go osłaniasz. Nigdy całkowicie do niego nie dotrę, bo jakaś jego część należy do ciebie.

Waga jej słów mnie przytłacza. Teraz rozumiem strach w jej oczach, kiedy tamtego ranka przyszedłam do jej mieszkania w Monako i kiedy mnie rozpoznała, przerażenie, które jej nie opuściło nawet wtedy, gdy powiedziałam, że nie chcę skrzywdzić Jareda. Było to coś więcej niż chęć chronienia go przed ludźmi, którzy ścigali go przez wszystkie te lata. Bała się, że przyjechałam, by jej go odebrać, że straci ukochanego mężczyznę.

Czuję pewną satysfakcję. Jared wciąż mnie kocha. Nadal mnie pragnie.

Czy próbuję go odebrać Nicole? Rozważam to pytanie. Marzyłam o tym, kiedy wyjechałam z Londynu: wyobrażałam sobie, że odnajdę Jareda, że się zejdziemy, jakby nic się nie stało. Ale nawet wtedy w głębi ducha czułam, że to niemożliwe.

A jednak szukając go, uparcie wierzyłam, że możemy zacząć od nowa, poznać siebie, teraz już jako dorośli. Kiedy zobaczyłam Nicole i dowiedziałam się, kim jest, to marzenie wcale mnie nie opuściło. Była jedynie zastępczynią, ciepłym ciałem, które można było z łatwością porzucić. Ale jeśli nawet ja bym potrafiła dla własnego szczęścia zniszczyć czyjeś małżeństwo, to wiedziałam, że Jared na zawsze pozostanie lojalny.

Nagle dociera do mnie, dlaczego tu jestem.

- Pytałaś, po co przyjechałam. To samo pytanie zadałaś mi parę dni temu w Monako. Wtedy nie wiedziałam, co odpowiedzieć, jednak wiem teraz: muszę zamknąć za sobą ten rozdział. Przyjechałam, żeby się pożegnać.

- Dobrze - mówi głucho. W jej głosie nie słyszę ulgi wywołanej faktem, że nie chcę odzyskać Jareda. Liczy się tylko jego decyzja. Chcę powiedzieć Nicole, że Jared nigdy nie związałby się ze mną, będąc jej mężem, ale takie tłumaczenie okazałoby się bardziej obraźliwe niż pocieszające.

- A ten mężczyzna, z którym podróżujesz? Nie miałam pojęcia, że widziała Ariego.
- Podróżowałam. Już nie jesteśmy razem.
- Aaron. - Patrzę na nią zaskoczona. Skąd zna jego imię? - Szuka mnie, prawda? - Kiwam głową. -
Wiesz, Aaron jest z Mossadu - mówi rzeczowym tonem.
- Wiem. - Znowu się cieszę, że to nie od niej po raz pierwszy usłyszałam tę informację. Mimo wszystko trudno mi ją przełknąć.
- Odgarnia włosy z twarzy.
- Mam nadzieję, że nie myśli, że tylko dlatego, że jesteśmy rodziną...
- Rodziną? - przerywam jej z uczuciem, że znowu wpadam do wody.
- Tak. Aaron Bruck to mój kuzyn.

15

Gapię się na nią, oniemiała.

- „Kuzyn” to może nieodpowiednie słowo - dodaje Nicole. - Moja babcia Lea była żoną dziadka Aarona. Pierwszą żoną. - Przypomina mi się, jak Aaron opowiadał o rodzinie swojego dziadka. - Zginęła w Bełżcu, ale ich córka przeżyła. Po wojnie zaadoptowało ją małżeństwo gojów. Oczywiście dziadek nie miał o tym pojęcia. Myślał, że obie zginęły. Ożenił się powtórnie i urodził mu się syn, ojciec Aarona. Dopiero po latach moja matka się z nim skontaktowała i poznała swojego przyrodniego brata.

Aarona widziałam zaledwie parę razy. Ciągłe mnie namawiał, żebym rzuciła swoje interesy i zajęła się czymś uczciwym. - Śmieje się cynicznie. - Jakby praca dla Mossadu była uczciwym zajęciem. Wiesz o jego żonie i córce? - Kiwam głową. - Kiedy zginęły, a on wrócił z wojska do domu, nie zostało mu zupełnie nic, więc stał się łatwym łupem dla agencji. Bardzo cenili jego umiejętności. Rok temu powiedział mi, że chce zrezygnować, ale chyba tego nie zrobił. Tacy ludzie jak on nigdy nie rezygnują.

Próbuję oswoić się z tą informacją: Ari i Nicole są spokrewnieni.

- Wiesz, dlaczego mnie szuka?
- Tak. To znaczy właściwie nie. Zdaje się, że ma to jakiś związek z winem. - Słyszac własne mamrotanie, żałuję, że nie zablefowałam lepiej, nie zdobyłam się na większą pewność siebie.
- Z winem. - Krzywi się. - Co dokładnie wiesz?
- Niewiele. Tylko tyle że pośredniczyłaś w jakiejś transakcji, że na czarnym rynku sprzedaje się podrabiane wino.
- Pewnie masz o mnie bardzo złe zdanie. Żona twojego Jareda okazała się przestępczynią.
- Nie powiedziałam...

- Nie musiałaś. Nie marnujmy czasu na gierki. - Spogląda na wodę. - Urodziłam się i wychowałam w Bejrucie podczas wojny. Mój ojciec zginął, a matka poświęciła się wychowywaniu moich braci i sióstr. Na mnie więc spadło utrzymywanie rodziny. W tamtym czasie czarny rynek był ogromny, można tam było znaleźć wszystko to, czego brakowało na zwykłym rynku. Zaopatrywaliśmy bogaczy w luksusowe towary, których nie można było dostać nigdzie indziej. Odkąd skończyłam dwanaście lat, pracowałam dla pewnego mężczyzny. Handlowałam papierosami, alkoholem i innymi produktami.

Wiedziałam jednak, że nie chcę przez całe życie pracować dla kogoś innego. Zupełnie jakbym miała alfonsa. - W jej głosie pojawia się szorstkość, której nie słyszałam wcześniej. Czy Jared znał ją od tej strony? - Kiedy więc skończyłam szesnaście lat, wyjechałam do Paryża. Uniezależniłam się, zarabiałam o wiele więcej, kupiłam mieszkanie.

Oczywiście nie chciałam przez całe życie pracować w ten sposób. Skończyłam szkołę, studiowałam historię sztuki na uniwersytecie. Tam dowiedziałam się o wiele bardziej dochodowym rodzaju handlu: obrotem antykami i dokumentami. Był to dziwny rynek, bardziej szary niż czarny, działał tuż pod powierzchnią legalności. Wyszukiwałam towary i sprzedawałam je do najbardziej prestiżowych sklepów z antykami w Europie. Dzięki swojemu wykształceniu potrafiłam rozpoznać wyjątkowe okazy, ukryte perełki, które przeoczyli inni. Kiedyś przeprowadziłam transakcję ze znanym kuratorem muzeum w Wielkiej Brytanii, a przedmiot, który mu sprzedałam, stał się jednym z najważniejszych eksponatów na krajowej wystawie. Nikt nie sprawdził, czy rzeczywiście jest aż tak wyjątkowy i czy cena jest odpowiednia.

Kiedy jeszcze studiowałam, odezwał się znajomy mojego kolegi, Bułgar, którego poznałam na jakimś przyjęciu. Powiedział, że jego klienta interesuje sprzedaż rzadkich gatunków wina, których nie można znaleźć na rynkach komercyjnych. Skontaktowałam go z paroma bogatymi osobami znanymi z obrotu antykami i dostałam niezłą prowizję. Wtedy po raz pierwszy zaangażowałam się w handel winem. Szybko się przekonałam, że można na tym dobrze zarobić i że

jest duży popyt. Poznałam więc tajniki biznesu. - Odrzuca włosy z twarzy. - I stałam się w nim najlepsza.

Przesuwa dłońmi po kolanach.

- Kiedy zamieszkaliśmy tutaj, na wyspie, skontaktował się ze mną ten sam mężczyzna. Powiedział, że wszedł w posiadanie skrzynki cennego bordeaux, Chateau Cerfberre rocznik czterdziesty trzeci. Bardzo niejasno mówił, skąd je ma, co w mojej pracy często się zdarza, ale wartość, na jaką je szacował, była astronomiczna. Początkowo podchodziłam do tego sceptycznie, lecz wino wyglądało na autentyczne, do tego było zapakowane w oryginalną drewnianą skrzynię. Powiedziałam o tym Jaredowi i razem uznaliśmy, że jest tak cenne nie tylko z powodu rocznika, ale również z powodu wyjątkowej wartości historycznej - była to jedna z ostatnich partii wyprodukowanych w winnicy Cerfberre.

Zanim naziści zniszczyli rodzinę Cerfberre, myślę, przypominając sobie historię, którą nam opowiedziała signora Conti.

- Znalezienie dobrego klienta dla tak cennego ładunku nie było proste - ciągnie Nicole - więc poprosiłam jednego ze swoich współpracowników, Friedricha Heiglera, żeby pośredniczył w transakcji. Przedtem pracowałam z nim kilka razy i nie miałam powodów, żeby mu nie ufać. Zaaranżował transakcję z funduszem inwestycyjnym, w którym głównym inwestorem jest Marcos Santini. Wiesz, kto to taki, prawda? - pyta, ale nie czeka na odpowiedź. - Nic mi nie mówiąc, Heigler przesunął datę transakcji, sprzedał im inne wino z etykietą Cerfberre Bordeaux i umieścił pieniądze na zagranicznym koncie. - O niczym nie miałaś pojęcia?

- Nie - rzuca, wyraźnie poirytowana. - Kiedy się dowiedziałam, pojechałam do Wiednia, żeby pogadać z Heiglerem, zanim zniknie. Planował sprzedać prawdziwe wino komuś innemu, a mnie zaoferował część zysku, żebym go kryła. Kiedy jednak przyszedł człowiek Santiniego, zrobiło się ostro i Heigler został zamordowany. - Zasepia się. - Teraz więc Santini myśli, że ukradłam jego pieniądze i zabiłam jednego z jego ludzi.

- I wciąż cię śledzą. - Opowiadam jej o jachcie, który widzieliśmy na morzu. - Myślę jednak, że ich zgubiliśmy.

Na jej twarzy pojawia się przerażenie, a potem pretensja.

- Przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że szukając Jareda, ściągasz na niego niebezpieczeństwo?

- Ja... - próbuję zaprotestować. Urywam jednak, ogarnięta gniewem. Jak ona śmie oskarżać mnie o sytuację, której sama jest winna?

- Wszystko w porządku. - Unosi rękę, przerywając mi. Z rezygnacją opuszcza ramiona. - Przed tymi ludźmi nie można się ukryć. Znajdą mnie prędzej czy później.

- Mogłaś wszystko wytłumaczyć Santiniemu, oddać mu pieniądze albo prawdziwe wino - sugeruję, chociaż aż się krzywię na samą myśl o wchodzeniu w układy z przestępcami. Przypomina mi się albańskie śledztwo, które prowadziłam w Londynie, mafia, która wykorzystywała kobiety i handlowała nimi. Santini z pewnością użyłby tych pieniędzy do kolejnych podobnych przedsięwzięć.

- To nie takie proste. Niestety sytuacja staje się coraz gorsza. Kiedy po raz pierwszy zetknęłam się z handlem winem, myślałam, że to moja życiowa szansa. Nie miałam jednak gotówki na zakup wina. Załatwiłam więc pożyczkę u Marii Ivankov.

- U kogo?

- To finansistka francusko-rosyjskiego pochodzenia mieszkająca w Marsylii.

Kobieta. Przypomina mi się, co Ari mówił o Lucii Santini. Czyżby zorganizowana przestępczość to ostatni krzyk mody?

- Wyłożyła pieniądze na tę transakcję - ciągnie Nicole. - W mojej branży dzieje się to częściej, niż sobie wyobrażasz. Prywatne osoby chętnie udzielają pożyczek, nie wdając się w szczegóły ani nie zadając pytań, jakie zadałby bank, a po transakcji dostają niezły procent. Nigdy nie miałam z tym problemów.

Aż do tej pory, myślę. Nicole jest zadłużona u dwóch szefów i nie może ich spłacić, bo Heigler ukradł pieniądze.

- Kiedy przyszedł do mnie w Monako, właśnie wybierałam się do Ivankovej, żeby wyjaśnić, co się stało, poprosić o wyrozumiałość albo przynajmniej trochę czasu. Powiedzmy, że nie okazała mi zrozumienia. - Wygląda tak bezradnie, jak dziewczyna, a nie dorosła kobieta. - Musisz mi uwierzyć, że nie wiedziałam, co się stanie. Byłam pewna, że to legalna transakcja. Jared błagał, żebym wycofała się z tej branży, a ja myślałam, że po tej transakcji zarobię tyle, że wreszcie będę mogła przestać zajmować się handlem. To nie tak miało być - mówi z naciskiem, a w jej chłodnym, wyniosłym głosie słyszę błaganie o to, bym uwierzyła. - Nigdy świadomie nie naraziłabym swojej rodziny na niebezpieczeństwo.

Mam ochotę powiedzieć: „Przecież niebezpieczeństwo jest nierozdzielnie związane z twoją pracą”.

- To miała być transakcja mojego życia - powtarza defensywnym tonem. - Szansa na zarobienie takich pieniędzy, że mogłabym na zawsze wycofać się z tych interesów.

Przestać uciekać, wycofać się z gry. Chciałabym wierzyć, że Nicole mówi prawdę. Ale w pewnym sensie jesteśmy do siebie podobne, energii dodaje nam udział w grze. To samo powiedziała o Arim, o tym, że nie potrafił odejść z Mossadu. Czy któreś z nas potrafiłoby czerpać satysfakcję z życia bez tego dreszczyku podniecenia?

- I co teraz? - pytam. - Możesz zwrócić się do władz? Gwałtownie kręci głową.

- Wtedy musiałabym się przyznać do udziału w tym przekręcie. - Ari powiedział to samo. - Nie, jedyny sposób to pozbyć się wina, sprzedać je tak drogo, by spłacić Santiniego i Ivankovą. To właśnie robiłam po wyjeździe z Wiednia: miałam zamiar pośredniczyć w transakcji. Znalazłam potencjalnego klienta, ale chcę, żebym dała im jedną butelkę na dowód, że jest oryginalne.

- A dlaczego Ari cię ściga? To znaczy, dlaczego zależy mu na tym winie?

Wzrusza ramionami.

- Nie mam pojęcia. Parę tygodni temu, kiedy ostatnio się ze mną skontaktował, zachowywał się dziwnie, zadawał szczegółowe pytania na temat wina Cerfberre. A potem zobaczyłam, jak się czai w kawiarni, zamiast po prostu do mnie przyjść. Wiedziałam, że coś kombinuje, i dlatego tak szybko wyjechałam z Monako, żeby odnaleźć Heiglera.

- Myślałam...

- Że wyjechałam z twojego powodu? - Lekceważąco macha ręką, jakby pomyśl, że mogłaby się mnie wystraszyć, był absurdalny.

- Wniosłaś do domu zakupy, chwilę potem przyszłam i od razu zniknęłaś.

- Zbieg okoliczności. Uzupełniałam zapasy dla babci. To jej mieszkanie.

- Zakładasz, że Aaron szuka tego wina z powodów zawodowych, nie osobistych?

- Tak. Odkąd jego rodzina zginęła, Aarona nic nie obchodzi. Kiedyś uwielbiał żeglować, ale teraz nawet tego nie robi. - Przypominam sobie, jak wczoraj płynęłam jachtem z Arim do Grecji. Na wodzie sprawiał wrażenie szczęśliwego, jakby ta część osobowości, którą pogrzebał dawno temu, znowu się odrodziła. - Zresztą nigdy nie był koneserem wina - dodaje Nicole.

Wspominam naszą wizytę u Contich, wypowiedzi Ariego o różnych rocznikach wina, którego próbowaliśmy. Czy Nicole nie знаła go od tej strony, czy tylko udawał?

- Ale dlaczego rządowi Izraela tak zależy na skrzynce wina?

- Nie wiem. To bardzo rzadki rocznik z czasów drugiej wojny światowej. Historycy i kolekcjonerzy bardzo się nim interesują. To jednak nie tłumaczy zainteresowania rządu ani aż tak dużego zaangażowania. W każdym razie niezależnie od tego, czego chce Aaron, na pewno nie pomoże mi to w sprzedaży wina. - Jej głos staje się chłodny, rzeczowy. - Muszę się pozbyć tego wina i spłacić długi, żeby zapewnić bezpieczeństwo rodzinie.

- Ale Ari powiedział...

- Ari - powtarza, unosząc jedną brew, gdy wypowiadam to zdrobnienie. - Właściwie co was łączy?
- Nic - odpowiadam odrobinę za szybko. - Poznaliśmy się zaledwie parę dni temu w Monako. Oboje cię szukaliśmy. To znaczy ja chciałam za twoim pośrednictwem odnaleźć Jareda - poprawiam.
- Zgodziliśmy się więc na współpracę.
- Sceptycyzm nie znika z jej twarzy.
- Znam swojego kuzyna... to bardzo niezależny człowiek. Bez poważnego powodu nie przyjąłby żadnej pomocy i nie pozwolił nikomu podróżować ze sobą. - Odwracam wzrok. - A ty? - pyta nagle, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Czujesz coś do niego?
- Mam ochotę powiedzieć: „Nie twój interes”, ale kłótnia z Nicole na pewno mi nie pomoże. Przez chwilę milczę, nie wiedząc, jak zareagować.
- Nie wiem - mówię w końcu. - Lubię go, w każdym razie tak mi się wydawało. - Obserwuję jej twarz, która nieco się rozpogadza. Moje zainteresowanie Aaronem oznacza, że nie będę próbowała odzyskać Jareda. - Ale mnie okłamał - dodaję.
- Wszyscy mamy sekrety - mówi, prawdopodobnie mając na myśli szczegóły dotyczące swojej pracy, których nie zdradziła Jaredowi. -Gdzie teraz jest Aaron?
- Zostawiłam go w Argostoli. Podczas sztormu nasz jacht został uszkodzony, więc musieliśmy wpłynąć do portu. Nie wiem, czy poczeka na naprawę, czy poszuka innego sposobu dotarcia na Zakyn-thos. Dostaliśmy informację, że znajdziemy cię w Zante, w kawiarni Nicholas.
- Nikolai - poprawia mnie.
- Tak. Pewnie więc tam pojedzie.
- Co, do diabła? - Z niepokojem marszczy brwi. - Nie, coś tu nie gra. Słyszałam o tym miejscu, ale nigdy tam nie byłam.
- Może jego informator miał złe dane. Nicole unosi brew.
- Dość szczegółowe jak na złe dane, nie uważasz?

Ma rację. Czyżby ktoś dał Ariemu złe zamiary, żeby wprowadzić go w błąd? Albo, co gorsza, czy to pułapka? Przerazona, wyjmuję z torby komórkę i wizytówkę, którą Ari mi dał tego wieczoru, gdy się poznaliśmy. Wybieram numer. W słuchawce nie rozlega się sygnał, tylko od razu włącza się automat z wiadomością, że właściciel jest poza zasięgiem.

- Cholera - klnę. - Nie działa.

- Dokładnie kiedy go zostawiłaś?

- Tuż przed świtem. - Spoglądam na zegarek. - Miał wypłynąć, kiedy naprawią łódź. Ja popłynęłam promem, a potem pojechałam taksówką, przez co straciłam sporo czasu. Myślę, że zamierzał popłynąć prosto do Zante.

- Musisz go odnaleźć, ostrzec, że dostał fałszywą informację. Patrzę na nią z namysłem. Oczywiście ma rację.

- Ale... - Spoglądam ponad jej ramieniem na plażę, zastanawiam się, jak daleko stąd jest Jared. Wyobrażam sobie, jak na mój widok jego twarz się rozjaśnia. Tyle lat na to czekałam. Perspektywa przełożenia spotkania i poznania odpowiedzi na pytania, które dręczyły mnie przez tyle lat, jest nie do zniesienia.

- Co zamierzasz zrobić? Pojedziesz za Arim i spróbujesz go odnaleźć, zanim trafi na miejsce? - To jednocześnie pytanie i test. Jeśli naprawdę zależy mi na Arim, najpierw pomogę jemu, a dopiero potem spotkam się z Jaredem.

- Czy jeśli pojedę po Ariego, będę potem mogła tu wrócić i spotkać się z Jaredem? To znaczy, czy jeszcze tu będzie?

- Nie wiem. - Wzrusza ramionami. - Tu jest nasz dom. - Dom. Czy kiedykolwiek oswoję się z tą sytuacją? Nicole lekko się uśmiecha. - Jared nigdzie beze mnie się nie ruszy. - Znowu poważnieje.

-Ale po tym wszystkim, co się stało... najważniejsze jest nasze bezpieczeństwo.

A więc ratowanie Ariego może oznaczać utratę Jareda, może tym razem na zawsze. Nie musisz tego robić - mówię sobie w duchu. Ari mnie okłamał. Nie jestem mu nic winna, to nie moja walka.

Widzę w myślach jego twarz. Pamiętam, jak się czułam na jachcie podczas sztormu, kiedy wydawało mi się, że straciłam go na dobre. Jak w Wiedniu uratował mi życie, jak zawarliśmy pakt, że zawsze będziemy sobie pomagać. Uświadamiam sobie, że mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, mimo że mnie oszukał, nie mam wyboru.

- Dobrze. Pojadę poszukać Ariego - mówię w końcu.

- Nie - sprzeciwia się nieoczekiwanie. - Ja to zrobię. Gapię się na nią oszołomiona.

- Nie rozumiem. Dlaczego chcesz mi pomóc?

- Nie robię tego dla ciebie. Aaron należy do mojej rodziny. Muszę go ostrzec, że może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Jestem mu to winna.

W takim razie dlaczego wcześniej poprosiła, żebym pojechała? Uświadamiam sobie, że poddała mnie próbie. Chciała sprawdzić, którego mężczyznę wybiorę, którego z nich darzę większym uczuciem. Najwyraźniej zdałam egzamin.

- Mogę pojechać z tobą - proponuję.

- Nie. - Przygryza dolną wargę. - Idź do mojego męża. Zaskoczona przez chwilę się waham.

- Na pewno? Kiwa głową.

- Ja odnajdę Aarona, a ty porozmawiaj z Jaredem.

- Ale powiedziano mi, że droga jest nieprzejezdna.

- Bo jest. Weź łódź. - Nicole wskazuje na wybrzeże za wioską. - Popłynź wzdłuż brzegu, okrąż górę i przystań przy następnej odnodze. Nasz dom stoi na skarpie nad morzem. Dasz radę? - Widzi, że przytakuję. - Dobrze.

Nie mogę w to uwierzyć. Nie tylko pozwoliła mi na spotkanie z Jaredem, ale podała dokładne namiary i poinstruowała, jak do niego trafić.

- Dlaczego to robisz?

- Jordan, obie musimy załatwić swoje sprawy. Ja z winem, ty z Jaredem. Inaczej nigdy nie przestaniemy uciekać. Myśl o waszym spo-

tkaniu przeraża mnie - dodaje ze zdumiewającą szczerością - ale nie sądzę, by ono cokolwiek zmieniło, a jeśli zmieni, to niech tak się stanie. O wiele gorzej by było, gdybym nadal żyła jako więzień swoich lęków. Jedź do Jareda i obyś usłyszała odpowiedzi, których tak szukasz. Potem możemy zacząć żyć na nowo.

- Co zrobisz?

- Pojadę za Aaronem i dowiem się, dlaczego tak się interesuje tym winem. Spróbuję go powstrzymać, zanim wpakuje się w jakieś kłopoty. Nie martw się - dodaje na widok mojej miny. - Mój kuzyn to najsilniejsza osoba, jaką znam.

Jej słowa nie dają mi pocieszenia. Możliwość, że coś złego mogłoby się stać Ariemu, przepęlnia mnie takim przerażeniem i smutkiem, jakich nie czułam od dziesięciu lat. W tej chwili, pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, uświadomiam sobie, kim się dla mnie stał w tym krótkim okresie naszej znajomości. Nie mogę go stracić.

Nagle przychodzi mi do głowy, że powinnam pojechać z Nicole. Ari i ja zawarliśmy pakt: zawsze będziemy się sobą opiekować. Bardzo chcę zobaczyć Jareda, ale jeszcze bardziej mi zależy na bezpieczeństwie Ariego.

- Idź do Jareda - mówi Nicole, jakby czytała w moich myślach. - Nic nie możesz zrobić dla Aarona. Im szybciej zamkniesz tę sprawę - z naciskiem wymawia słowo „zamkniesz” - tym szybciej wszyscy rozpoczniemy nowe życie.

Oczywiście ma rację. Mimo to nadal się ociągam.

- Jeśli znajdziesz Ariego... to znaczy, kiedy go znajdziesz, proszę, powiedz mu... - Urywam. Co właściwie miałaby mu powiedzieć? Przed samą sobą trudno mi wytłumaczyć, co czuję do Ariego. Jak miałabym mu to przekazać za pośrednictwem prawie obcej kobiety?

- Sama mu to powiesz, kiedy już się spotkacie - mówi Nicole.

Bez słowa wysiada z łódki na pomost. Wołam za nią, chcąc jej podziękować, ale ona się nie zatrzymuje. Patrzę, jak znika w oddali. Potem wsiadam do łodzi i zaczynam ostatni etap swojej podróży.

Płynę wzdłuż brzegu, tak jak mnie poinstruowała Nicole. Przejęta tym, co się wydarzy, nie czuję lęku przed wodą. Sekundy rozciągają się w minuty, a minuty w godziny, gdy steruję łodzią po łagodnych falach. Wreszcie za zakrętem ukazuje się cofnięty w głąb plaży biały domek na skalistym pagórku.

I wtedy go dostrzegam. Brzegiem morza, rozplątując coś w płytkiej wodzie, idzie jakaś postać. Wstrzymuję oddech, oczy zaczynają mnie piec.

Jared wyczuwa moją obecność, prostuje się i uśmiecha. Uświadamiam sobie jednak, że to nie mnie widzi. Czeką na Nicole. Kiedy dobiegam do brzegu, w jego oczach pojawia się dezorientacja: zamiast żony ujrzał ducha z przeszłości, kobietę, której już nigdy nie spodziewał się zobaczyć, w najmniej oczekiwanym miejscu. Teraz wiem, że Nicole nie powiedziała mi o naszym spotkaniu ani o tym, że go szukam -albo celowo, albo dlatego, że nie miała okazji.

Prowadzę łódź do wąskiego pomostu i wysiadam. Ostrożnie idę w stronę Jareda. Nie rusza się, tylko dwukrotnie mruga, z rozchylonymi ustami i wyrazem bezradności na twarzy.

- Jordan? - mówi głosem ochrypłym i pełnym niedowierzania.

- Cześć, Jared. - W tej chwili, na którą czekałam tak długo, mój głos jest spokojny, a oddech równy.

Robię krok do przodu, zbliżam się do niego, spodziewając się lawiny pytań, ale daremnie. Nieważne, jak się tu znaleźliśmy, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Wyciąga rękę i jak ślepiec dotyka mojej twarzy, przypominając sobie jej znajome rysy, sprawdzając, czy naprawdę tu jestem. Zamykam oczy.

Jego palce zatrzymują się w dołku pod moim ustami, czuję, jak wwierca się we mnie wzrokiem, ocenia zmiany przyniesione przez

czas. Nagle uświadamiam sobie, że moje ubranie jest wilgotne, a po tym, jak wpadłam do wody, włosy płasko przylegają do głowy. Nie tak sobie wyobrażałam nasze spotkanie po latach. Kiedy jednak otwieram oczy i widzę urzeczony wyraz jego twarzy, wiem, że tego nie zauważył albo w ogóle go to nie obchodzi.

- Jo. - Jego głos brzmi jak tchnienie. Zwraca się do mnie imieniem, którego nie słyszałam od lat. Rozkłada ręce, a ja bez słowa wtulam się w niego, mocno obejmuję go w pasie, nie przejmując się, czy to wypada - muszę go dotknąć, być tak blisko, muszę się przekonać, że to się dzieje naprawdę. Wciskam nos w jego biały T-shirt i głęboko wciągam jego zapach. Czuję, jak minione lata znikają. Nagle znowu mam dwadzieścia dwa lata, jestem beztroską dziewczyną, której nie dręczą żadne lęki. - Nie rozumiem - szepcze z ustami tuż przy mojej głowie. Niechętnie się odsuwam. - Jak... to znaczy, co ty tu robisz? I skąd masz łódź Nicole?

Zastanawiam się, jak odpowiedzieć, i w końcu postanawiam najpierw zająć się ostatnim pytaniem.

- Nicole musiała załatwić sprawę związaną z transportem wina i przysłała mnie do ciebie.
- Cholera jasna! - przeklina, cofając się. Na jego twarzy pojawia się strach, jakby się spodziewał, że coś złego się stanie, jakby tysiące razy wcześniej wyobrażał sobie tę chwilę. - Prosiłem, żeby tego nie robiła. Nic jej nie jest?

Jestem zazdrosna o tę troskę o Nicole i zirytowana jej wtargnięciem w nasze spotkanie.

- Wszystko u niej w porządku.
- Jak wy w ogóle się poznałyście?
- Parę dni temu w Monako. Szukałam tam ciebie.
- Wiesz, że Nicole jest moją...
- Tak.

Na parę sekund zapada cisza. Obserwuję jego twarz. Z odległości wyglądał tak, jakby czas się go nie miał, jakby pozostał tym samym chłopcem, którego poznałam na pomoście przy hangarze. Teraz,

z bliska, dostrzegam ślady upływu czasu: lekkie zakola nie do końca ukryte pod kręconymi włosami, niewielkie zmarszczki w kącikach ust. Natychmiast uznaję, że ani trochę nie wpłynęły na jego atrakcyjność. Oczy Jareda są tak samo szmaragdowozielone jak kiedyś i chociaż nie tak udreżone jak w ciągu tych ostatnich dramatycznych miesięcy przed jego zniknięciem, to nadal widać w nich ciężar doświadczeń, wspomnień, których nie może wyrzucić z pamięci.

Ciekawe, jak on mnie postrzega. W myślach jestem tą samą dziewczyną co dziesięć lat temu, ale zmiana w wyglądzie z pewnością jest wyraźna. Czy teraz sprawiam wrażenie dojrzałszej, bardziej tajemniczej? Czy po prostu zmęczonej troskami i problemami, jakie niesie ze sobą upływ czasu i przybywające lata?

- Może usiądźmy gdzieś i pogadajmy? - proponuję.

- Jasne - odpowiada rzeczowym tonem.

Prowadzi mnie przez plażę i stromą kamienistą ścieżką do białego domku. Wchodzimy do niewielkiego pokoju ze stołem i krzesłami; przy kominku stoi kanapa obłożona poduchami. Większą część prostej drewnianej podłogi przykrywa jaskrawopomarańczowy chodnik.

- Kawy?

- Poproszę. - W tej obojętnej rozmowie jest coś nierzeczywistego, zupełnie jakbym w drodze z biblioteki zajrzała do jego pokoju w akademiku.

Kiedy krząta się w kuchence na tyłach domku, znowu rozglądam się po pokoju. Ogromny wazon z kwiatami na stole, jasne lniane zasłonki na oknach z zapierającym dech w piersiach widokiem na morze. Widzę oznaki codziennej zażyłości: przy drzwiach kosz z ubraniami czekającymi na schowanie do szafy, liścik w pośpiechu nabazgrany w notesie przy stole. Dowody na wspólne życie Nicole i Jareda. Czuję się jak intruz.

- Wiem, żyjemy tu jak w filmie. - Jared śmieje się, napełniając czajnik. - Nie mamy telewizora. Łowimy ryby, ryż i warzywa kupujemy na targu we wsi. - Parę minut później stawia na stole dwie filiżanki i kawiarę. - Powiedz wreszcie, jak mnie znalazłaś.

Waham się. Nie spodziewałam się, że to ja będę odpowiadać na pytania.

- Wróciłam do Londynu na zlecenie Departamentu Stanu, wiesz. - Kiwa głową, potwierdzając moje podejrzenia, że przez wszystkie te lata mnie obserwował. - Sara ma stwardnienie boczne, myślałam, że mnie potrzebuje. Kiedy przyjechałam, niemal natychmiast skontaktował się ze mną Chris. Powiedział, że nie wierzy, że utonąłeś. - Szybko opowiadam o naszej wizycie u koronera i wydarzeniach, które doprowadziły nas do odpowiedzi. - Dopiero później poznałam prawdę, ściągnięto mnie do Londynu, żebym odszukała wyniki twoich badań.

- Żebyś odszukała mnie - rzuca Jared przez zaciśnięte zęby.

- Zgadza się. Kiedy zrozumiałam, że ktoś podrobił list od Sary, żeby ściągnąć mnie do Londynu, skonfrontowałam się z Mo, moją szefową. Przyznała się do wszystkiego, łącznie z faktem, że żyjesz. Dała mi wszystkie informacje na twój temat, a ja pojechałam pod ostatni adres, pod jakim cię widziano. Tam poznałam Nicole. Nie chciała się przyznać, że cię zna, ani powiedzieć, gdzie jesteś, ale postanowiłam ją śledzić.

Jared uśmiecha się lekko.

- Nicole jest bardzo opiekuńcza.

Znowu ogarnia mnie zazdrość, a po niej gniew. Nie przyjechałam tu, żeby wymieniać się uprzejmościami pod adresem jego żony. Przyjechałam, by usłyszeć odpowiedzi.

Na widok mojej miny natychmiast poważnieje.

- Przepraszam, Jo.

Znowu Jo. Na dźwięk tego zdrobnienia, którego używał tylko on, serce boleśnie mi się ściska.

- Za co? - pytam, wiedząc, że zrozumie, o co mi chodzi.

- Byłem zdesperowany - odpowiada łamiącym się głosem. - Musieliśmy przekazać informacje we właściwe ręce. - Wiem, że mówi o sobie i Duncanie, z którym pracował. - Ale na konferencji w Madrycie zamknięto nam usta, nie pozwolono przedstawić naszych odkryć. - Słucham, jak opowiada o wydarzeniach, które już znam, po raz

pierwszy patrzę na nie jego oczami. Wstaje i zaczyna chodzić po pokoju. - Potem zaczęto nam grozić. Kiedy Duncan się poddał i zgodził się odstąpić od publikacji naszego raportu, skupili się na mnie. - Staje przede mną. - Znosiłem to, dopóki tylko mnie grozili śmiercią. Ale któregoś dnia, zanim wróciłaś do domu, wszedłem do twojego pokoju i znalazłem zdjęcie na poduszce. Przedstawiało ciebie w bibliotece, zupełnie niezdającą sobie sprawy z tego, że za tobą stoi jakiś mężczyzna. To była wiadomość, że mogą nas dopaść w każdej chwili i wszędzie, że ludzie, których kocham, nie są bezpieczni.

Przeszywa mnie dreszcz. W Cambridge czułam się taka bezpieczna. Jak to możliwe, że niczego nie podejrzewałam?

- Rząd odwrócił się ode mnie, kiedy poprosiłem o pomoc, a policja okazałaby się bezużyteczna, nawet gdyby mi uwierzyli - ciągnie. - Kupiłem więc bilety do Rio. Dzień po zawodach chciałem ci zrobić niespodziankę, przedstawić to jako wakacje, a na miejscu sprawdzić, czy zgodzisz się ze mną uciekać. Ale jeszcze zanim wyszedłem z biura podróży, oni już o wszystkim wiedzieli. - W jego oczach czai się strach. - Wtedy zrozumiałem, że dopadną nas wszędzie. Mogłem zapewnić ci bezpieczeństwo, tylko uciekając jak najdalej od ciebie. Sfingowałem więc własną śmierć i zniknąłem.

- W takiej chwili? - Przecieram oczy, przytłoczona wszystkim, czego się dowiedziałam. - W tę noc odbywał się Bal Majowy. I wyścig... następnego dnia skończylibyśmy zawody Bums i zdobyli pierwsze miejsce. - Czułem się strasznie - przyznaje ze smutkiem. - Wiesz, że dla mnie te zawody nigdy nie miały aż takiego znaczenia jak dla innych.

Kiwam głową. Majowe zawody były punktem kulminacyjnym w kalendarzu wioślarskim i dla innych chłopców, na przykład dla Chrisa, szansą na zwycięstwo i odzyskanie tytułu, który nasz college utracił całe pokolenie wcześniej. Dla nich to było wszystko.

- Co za ironia losu, prawda? - ciągnie. - Przeniesiono mnie do tego collegeu, żebym pomógł wam zwyciężyć. I prawie nam się udało. Następnego dnia dopięlibyśmy swego, chyba że ktoś złamałby wiosło

albo wydarzyła się inna pechowa sytuacja. Ale z mojego powodu, przez moje zniknięcie, to nam się nie udało. Tylko dzięki mnie mogliśmy zwyciężyć i tylko z mojego powodu nie zwyciężyliśmy.

- W takim razie dlaczego właśnie wtedy?

- To nie była moja decyzja. Tamtej nocy nawet nie wiedziałem, że wyjeżdżam. Parę dni wcześniej poszedłem do dziekana z prośbą o pomoc, a potem czekałem na odpowiedź. Przyszła w noc Balu Majowego. Miałem wyjechać za parę godzin. Dopiero wtedy dziekan zdradził mi swój plan, mówienie wszystkim, że utonąłem. Chciałem wrócić i dać ci jakiś znak, sygnał, co się wydarzy, ale...

Urywa, a ja w myślach widzę tę chwilę. Po kłótni Jared wraca i przyłapuje mnie i Chrisa za namiotem na bezsensownym, nic nieznaczącym pocałunku. Co by się zmieniło, gdyby mógł ze mną porozmawiać i wytłumaczyć, co się wkrótce stanie?

Siada i mówi dalej:

- Wtedy uznałem, że mój pierwszy odruch był prawidłowy. - W jego głosie nie ma ani cienia skruchy, jest pewien, że postąpił tak, jak należało. Cały Jared. Czuję lekką irytację, wrażenie, że mnie opuścił, które nie odstępowało mnie przez wszystkie te lata. - Wiedziałem, że jeśli ci nie powiem, zapewnię ci wolność, że będziesz mogła zacząć życie od nowa.

Z tym że wcale tego nie zrobiłam. Stało się wręcz coś odwrotnego.

- Skoro chciałeś mi o wszystkim powiedzieć, to dlaczego zostawiłeś mi ten pierścionek? - pytam.

- Zrobiłem to parę tygodni wcześniej, jeszcze zanim dziekan zgodził się mi pomóc. Groźby mnie przeraziły, myślałem, że mnie dopadną i zabiją. Na wszelki wypadek chciałem ci zostawić wiadomość, która doprowadziłaby cię do moich odkryć. Zamierzałem przenieść klucz do depozytu w bezpieczniejsze miejsce - dodaje. - Tam, gdzie znalazłabyś go po moim zniknięciu. Ale nie zdażyłem.

A więc dziesięć lat przeleżał przyklejony pod biurkiem tamtego studenta. Gdyby mebel przeniesiono do innego pokoju, gdyby ktoś znalazł ten klucz, nigdy o niczym bym się nie dowiedziała. Mógł po prostu mi powiedzieć, a tyle rzeczy pozostawił przypadkowi.

Wkładam rękę do kieszeni, przesuвам palcami po, pierścionku. Już nie należy do mnie, ale nie jestem gotowa go oddać.

- Jak to zniosłeś? - pytam. - Uciekanie przez tyle lat?

Splata ręce za głową, przeciąga się i wygląda przez okno na morze.

- Początkowo nie było łatwo. Tamtej nocy, kiedy wyjechałem, byłem przerażony i samotny. Nie miałem dosłownie nic. Ale dziekan dotrzymał słowa. Zaopatrzył mnie we wszystkie niezbędne rzeczy, skontaktował z ludźmi, którzy pomogli mi się przemieszczać. Okazało się, że istnieje jakieś tajne stowarzyszenie. Nigdy byśmy się o nim nie dowiedzieli. Zrzesza absolwentów Cambridge na całym świecie, zaufanych ludzi na wysokich stanowiskach. Poprosił, żeby mi pomogli.

Sara i ja często żartowałyśmy na temat podobnej konspiracji. Uśmiecham się w duchu, wyobrażając sobie reakcję Sary, gdyby się dowiedziała, że taka konspiracja rzeczywiście istnieje.

- Dlaczego to zrobił? Wiem, że cię lubił, jednak podjął ogromne ryzyko...

- Sam wiele razy się nad tym zastanawiałem - przyznaje. - Początkowo myślałem, że to wynikało po prostu z jego troski o studenta, który wpakował się w poważne kłopoty. Lord Colbert zrobił więc wszystko, żeby mu pomóc. Ale mniej więcej rok później zwrócił się do mnie z prośbą. Jego znajomy profesor z innego collegeu robił badania pokrywające się z obszarem moich zainteresowań. Czy zechciałbym mu pomóc? Po tym, co dla mnie zrobił, oczywiście się zgodziłem, jak mógłbym odmówić? Napisałem pracę naukową, a profesor mógł dokończyć swoje badania.

- I opublikować pracę jako własną - dodaje. Wzrusza ramionami.

- Jakie to ma znaczenie? Potrzebował pomocy, której mogłem mu udzielić. Zresztą już nie mogłem publikować pod własnym nazwiskiem. Potem dziekan wielokrotnie zwracał się do mnie z podobną prośbą, zawsze działając jako pośrednik, chroniący moją tożsamość i ukrywający moje miejsce pobytu. Jak na ironię ta sytuacja działała na moją korzyść - mogłem podróżować do miejsc, z których naukow-

cy potrzebowali materiałów do swoich badań. Robiłem swoje i znikalem. Nasz układ działał. Oczywiście teraz już nie podróżuję tak często. - Wskazuje na wnętrze domku. - Osiedliśmy tu na dobre. Utrzymujemy się z pracy Nicole i moich konsultacji. Nie trzeba nam dużo. Poza tym anonimowo oferujemy dotacje na college, okazując w ten sposób moją wdzięczność. Bez pomocy dziekana zamordowano by mnie lata temu.

- Dlaczego nie dałeś mi znać, że nic ci się nie stało? To znaczy już po wszystkim.

- Chciałem, ale było to ryzykowne. Wiedziałem, że nie przestaną mnie szukać, bo mam informacje. Ciągłe się więc przemieszczałem: do Ameryki Południowej, Afryki.

- Myślałam, że znajdę cię właśnie w którymś z tych miejsc. Nigdy nie brałam po uwagę Grecji.

- Sam się zdziwiłem. - Śmieje się cicho. - Kiedy Nikki zaproponowała Grecję... - Urywa, a na jego policzkach pojawia się lekki rumieniec. A więc i ona ma zdrobnienie. Wypowiedział je z taką czułością, że dociera do mnie, że pomimo tego, co do mnie czuł albo wciąż czuje, jego małżeństwo nie jest fikcją. - Okazało się jednak, że to idealna kryjówka - dodaje.

Jeszcze nie wyjaśnił, dlaczego wybrał życie z nią, a nie ze mną.

- Jak poznałeś Nicole? - pytam, bojąc się zadać to najważniejsze pytanie. Staram się obojętnie wymówić jej imię.

- Wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku znowu na siebie wpadliśmy i...

- Znowu? - Przerywam.

Na chwilę milknie i ze skrepowaniem odwraca wzrok.

- Tak. Poznaliśmy się w archiwum we Francji, kiedy zbierałem materiały do pracy doktorskiej.

- Ale... - Słowa więzną mi w gardle. Jared poznał Nicole jeszcze przed swoim zniknięciem. Kiedy wciąż był ze mną.

- Jo, wtedy nic między nami nie zaszło - mówi rozgorączkowanym głosem, bardzo chcąc, żebym mu uwierzyła. - Wypiliśmy kawę

w bufecie i rozmawialiśmy o pracy. To wszystko. Nawet nie wymieniliśmy się telefonami. Byłem całkowicie pochłonięty swoimi badaniami... i tobą.

Oczywiście mu wierzę. Pomimo wszystkich pytań, na które nie znałam odpowiedzi, nigdy nie wątpiłam w wierność Jareda. Ale myśl, że już wtedy mógł się zainteresować Nicole, nawet jeśli do niczego nie doszło, wywołuje u mnie mdłości. Mam ochotę spytać, dlaczego właśnie ona?

- Spotkaliśmy się znowu dopiero rok później, zupełnie przypadkowo, w barze w Belize - ciągnie Jared. - Od miesiący uciekałem samotnie. Dobrze było zobaczyć znajomą twarz, pogadać z kimś, kto mnie znał w okresie, kiedy jeszcze byłem sobą.

Wyobrażam to sobie: piękna kobieta, wspólne zainteresowania naukowe. Teraz rozumiem. Była przy nim, gdy mnie zabrakło. Przeklinam los, który kazał im tego samego wieczoru przyjść w to samo miejsce.

- To się zdarzyło prawie rok po moim zniknięciu - mówi łagodnie.

Kiwam głową, ale w duchu krzyczę. Mnie ten rok upłynął na wiecznej żałobie. Czułam wtedy taki sam ból jak w dniu, kiedy zniknął.

- Oboje byliśmy w Belize od paru tygodni. Nicole zrobiła sobie wakacje po udanej transakcji, ja zbierałem materiały. Świetnie się dogadywaliśmy. Kiedy zdecydowała się na następny krok, ja też byłem już gotów... Sprawy potoczyły się bardzo szybko - dodaje. - Zupełnie jak między nami.

Mam ochotę wyciągnąć rękę przez stół i potrząsnąć Jaredem. Wcale nie tak jak między nami.

Wierzyłam, że więź, jaka tak szybko między nami powstała, była czymś szczególnym, niepowtarzalnym. A teraz Jared mówi jak mężczyzna, który zakochuje się z wyjątkową łatwością i każdej kobiety trzyma się kurczowo niczym koła ratunkowego.

Pamiętam szachy, które Jared miał w swoim pokoju w akademiku. Gra w szachy zawsze była dla mnie zbyt długa i powolna, niecierpliwiło mnie czekanie na ruch przeciwnika, niewielka przewaga, jaką dawały kolejne posunięcia. Ale Jared miał obsesję na punkcie szachów. Czasami grał tylko z jednym przeciwnikiem, innym studentem - pasjonatem. Bywało, że po drugiej stronie szachownicy

zasiadali różni gracze, którzy po coś wchodzili do jego pokoju i przy okazji grali przez chwilę. Takie rozgrywki lubił najbardziej. Poza zwykłym obmyślaniem kolejnych ruchów miał okazję zetknięcia się z różnymi przeciwnikami i różnymi strategiami gry. Jak mawiał, wzmagало to jego czujność, zmuszało do zmiany planów w trakcie gry. Teraz rozumiem, że tak samo wygląda jego życie. Kiedy pod wpływem okoliczności jego plany życiowe legły w gruzach, natychmiast zmienił strategię, zamienił mnie na Nicole, jedno życie na inne.

- Podróżowaliśmy razem kilka lat, aż wreszcie osiedliliśmy się i wzięliśmy ślub. Do tej pory żyło nam się tu całkiem miło. - Uśmiech znika z jego twarzy, a ja przez chwilę myślę, że Jared jest zły na mnie za to, że go odnalazłam. Potem uświadamiam sobie, że chodzi o niebezpieczeństwo związane z pracą Nicole. - Ostrzegłem ją, że ostatnia transakcja to już za dużo, że straciła zdrowy rozsądek. Ona jednak me chciała mnie słuchać. Jest tak samo uparta jak ty.

Ari też powiedział, że pod tym względem przypominam jego żonę. Jakby upór był u kobiety niezwykle pożądaną cechą. Dlaczego mężczyźni mają taką potrzebę porównywania swoich związków uczuciowych? Mam ochotę mu powiedzieć, że Nicole ani trochę nie jest do mnie podobna. Ja służyłam swojemu krajowi, robiłam, co uważałam za słuszne. Nicole to pospolita przestępczyni. Przygryzam jednak dolną wargę i milczę. Wiem, że Jared jest ślepy na wady Nicole, że nie zrozumiałby różnicy i że to porównanie w jego mniemaniu było komplementem.

- Trzymałem rękę na pulsie - przyznaje. - Ucieszyłem się, że wyjechałaś z Anglii, nie oglądając się za siebie, że zaczęłaś życie od nowa - Mam ochotę wybuchnąć śmiechem, powiedzieć, że to nieprawda. - Ja też chciałem przestać uciekać i zacząć żyć, odłożyć tę historię na półkę.

- I dlatego wysłałeś Chrisowi ten artykuł - wtrącam, nagle dostrzegając ważny element układanki.
- Tak. Kiedy się dowiedziałem, że brytyjski rząd prowadzi śledztwo, zrozumiałem, że to szansa na to, by moje materiały wreszcie trafiły we właściwe ręce. Chris jako reporter miał żyłkę detektywistyczną i był jedyną znaną mi osobą, która spróbowałaby doprowadzić sprawę do końca. Nie miałem jednak pojęcia, że wrócisz do Anglii i że cię w to wciągnie.
- Ta sprawa nieomal go zniszczyła - mówię z większym wyrzutem w głosie, niż zamierzałam. - Chris miał obsesję na punkcie odnalezienia ciebie. To zrujnowało jego małżeństwo i karierę.
- Wiem. - Jared posepnieje. - Powiedziałaś mu, że żyję? Przecząco kręcę głową.
- Kiedy wyjechałam z Anglii, nie miałam pewności, czy to prawda, i nie mogłam mu robić nadziei po tym wszystkim, co przeżył. A później... nie wiedziałam, czy w ten sposób nie narażę cię na niebezpieczeństwo. To ty powinieneś wyjawić tę tajemnicę. - Widzę, że wyobraża sobie, jak kontaktuje się z Chrisem i mówi mu prawdę.
- A co z Duncanem? - pyta, przechodząc do następnego punktu litanii przyjaciół, którzy zapłacili wysoką cenę za jego działania. W jego głosie słyszę, że wie o śmierci Vance'a, partnera Duncana. - Wiesz, gdzie się podziewa?
- Nie. Kiedy wróciłam i zaczęłam zadawać mu pytania, zdenerwował się i uciekł. Po jego wyjeździe z Londynu kilka razy próbowałam się z nim skontaktować, ale zniknął. Potem zamordowano Vance'a, więc Duncan nie miał już po co wracać.
- Jared opuszcza głowę, przeczesuje włosy palcami.
- Duncan nigdy nie zrozumiał, że chociaż zgodził się milczeć i przerwać nasze badania, to nigdy się nie mógł uwolnić, bo wiedział za dużo.
- Mógł się uwolnić - mówię z żalem - gdybym nie namieszała.
- Jordan, przestań. - Wyciąga rękę i kładzie dłoń na mojej. - Nawet gdybyś nie porozmawiała z Duncanem, upiory z przeszłości

w końcu musiałyby wrócić. - Kiedy tak mnie pociesza, bierze na siebie całą odpowiedzialność. Przypominają mi się czasy, gdy pozwalałam, by opiekował się mną i sprawiał, że czułam się bezpieczna. - Próbowałam mu pomóc - dodaje.

- Naprawdę?

- Oczywiście nie bezpośrednio. W zeszłym miesiącu, gdy doszło do mnie, co się dzieje w Londynie, skontaktowałam się z lordem Col-bertem i spytałam, czy mógłby pomóc Duncanowi.

Duncan studiował w innym collegeu w Cambridge, lecz dziekan z pewnością nie odmówiłby Jaredowi.

- Dziekan go odnalazł. Nie chciał powiedzieć, gdzie mieszka, ale zapewnił mnie, że Duncan jest bezpieczny. Miałem wrażenie, że Duncan próbował namówić Vance'a, by do niego przyjechał, pewnie tam, gdzie mogliby się pobrać albo w jakiś inny sposób zalegalizować swój związek.

Czy Vance by pojechał? Przypominam sobie jego zmęczoną, udreńczoną twarz tej nocy, kiedy śledziłam go, by poznać miejsce pobytu Duncana. Jako aktorowi trudno byłoby mu wyjechać z miasta, gdzie go znano, i przenieść się do obcego kraju, gdzie stałby się anonimowym człowiekiem, ale myślę, że ostatecznie dla ukochanego mężczyzny zdecydowałby się na ten krok.

- Nie mogę uwierzyć, że już po wszystkim - mówię. - Tyle lat szukałam odpowiedzi. - Jared przygryza wewnętrzną stronę policzka. Widzę, że jest nieprzekonany, zirytowany faktem, że winni nie ponieśli kary. - Już po wszystkim, Jared - powtarzam. - Twoje materiały trafiły we właściwe ręce, rząd wreszcie się tym zajmie.

- Jak dostałaś się do Grecji? - zmienia temat.

- Przypłynęłam z Arim statkiem z Triestu, ale...

- Z Aaronem, kuzynem Nicole? - przerywa mi, krzywiąc się, jakby poczuł w ustach jakiś paskudny smak. Kiwam głową.

- Chciał się z nią spotkać. W sprawie wina.

- Ile wiesz na ten temat? - powtarza pytanie Nicole.

- Wystarczająco dużo.

W jego oczach pojawia się czujność. Domyślam się, że Jared strzeże się ludzi, z którymi Nicole robi interesy, wie, z jakim niebezpieczeństwem wiąże się jej praca. Mam ochotę spytać, jak godzi swoje zasady z byciem w związku z osobą taką jak Nicole, ale powstrzymuję się, nie wiedząc, czy naprawdę chcę znać odpowiedź.

Jared chrząka.

- Dlaczego Ariego tak interesuje to wino?

- Nie wiem. Adres w Zante, gdzie miał znaleźć Nicole, okazał się fałszywym tropem, więc Nicole chce ostrzec Ariego, zanim wpakuje się w tarapaty. A potem zamierza pozbyć się wina.

- Wcale mi się to nie podoba... - Marszczy brwi na myśl o niebezpieczeństwie, na jakie może narazić się jego żona. - Ten cholerny Ari. Zawsze sprawiał jej kłopoty. - Mam ochotę zauważyć, że to Nicole wpakowała się w ten bałagan, ale już dłużej nie zamierzam bronić Ariego. - Jak w ogóle się poznaliście? - W Monako. Szukałam cię, a on szukał Nicole, więc zaczęliśmy podróżować razem.

Wygląda przez okno, przez parę minut milczy.

- Dokąd stąd pojedziesz? - pyta w końcu.

Czuję się urażona jego bezpośredniością. Odprawia mnie? Przypominam sobie jednak, że on po prostu taki jest: praktyczny i rzeczowy.

- Nie wiem - przyznaję. Tak bardzo skupiałam się na odnalezieniu Jareda, że nie zastanawiałam się, co zrobię potem i jak wrócę, skoro już nie podróżuję z Arim. Właściwie dokąd miałabym wrócić? Do Stanów czy gdzieś indziej? - Chyba muszę jakoś dotrzeć do Aten. Kupić bilet do domu. -

Gdziekolwiek ten dom jest.

- Dziś wieczorem nie wydasz się promem z wyspy - informuje mnie.

- Wynajęłam pokój w pensjonacie...

- Teraz niebezpiecznie wracać tam łodzią. - Kręci głową. - Nie ma mowy. Niestety musisz zostać tu do rana.

Ogarnia mnie strach przemieszany z ulgą. Dziesięć lat czekałam na tę chwilę i nie chcę, by się skończyła. Ale z drugiej strony perspektywa spędzenia nocy z nim tutaj, w domu, który należy do niego i Nicole, nie należy do przyjemnych.

- Mamy zapasowy materac - dodaje, ustalając warunki naszego wspólnego noclegu. Te słowa, bardziej niż wszystko inne, podkreślają stan rzeczy, dystans, jaki się między nami pojawił.

Czuję się niezręcznie.

- Świetnie, dzięki.

- Głodna? - pyta, jakby w tej sytuacji nie było nic nadzwyczajnego.

Wzruszam ramionami.

- Znasz mnie, lubię jeść.

Idzie do kuchni. Wstaję, podchodzę do niskiego regału przy kominku i kucam. Głównie klasyka literatury, ciekawe, czy ktoś w ogóle otworzył którąkolwiek z tych książek. Przeglądam grzbiety i nagle się zatrzymuję. Między *Opowieściami kanterberyjskimi* a ścianką regału stoi podniszczona książka w miękkiej okładce.

- Ooo - wzdycham głośno, wyjmując *Dwie wieże* - drugą część trylogii Tolkiena. Przesuwam palcami po znajomej okładce, rozpoznając plamy po kawie, którą sama kiedyś rozlałam.

Jared podchodzi do mnie.

- Wziąłem ją ze sobą. Pomyślałem, że skoro razem ją czytaliśmy... - Nie kończy. Wyobrażam sobie, jak - samotny i przerażony - zdejmuje książkę z półki. By w przekonujący sposób sfingować swoją śmierć, nie powinien zabierać ze sobą dosłownie niczego, a jednak odważył się wziąć tę książkę.

- Czy...?

- Czy czytałem ją dalej? Nie. W dzieciństwie przeczytałem ją kilkanaście razy, ale od czasów studiów nie wziąłem jej do ręki.

W jakiś sposób działa to na mnie pocieszająco. Przynajmniej pod jednym względem nie zaczął nowego życia beze mnie.

Wraca do kuchni, a ja odstawiam książkę i prostuję się. Rozglądam się po pokoju i widząc na obudowie kominka kilka oprawionych zdjęć, zaciekawiona podchodzę do nich. Na jednym Nicole i Jared stoją przed domem, na innym widnieje Nicole na tle jakiejś góry, uśmiecha się do fotografa, którym pewnie był Jared. Zawsze razem, uświadamiam sobie, oglądając zdjęcia. Sięgam po przedostatnie zdjęcie od prawej i nagle nieruchomieję. Różni się od pozostałych. Przedstawia Nicole w szpitalnym łóżku, trzymającą becik z białej tkaniny. Za nią stoi Jared, z czułością spoglądając w dół.

- Och! - wykrzykuję głośno, przykładając rękę do ust.

Jared wybiega z kuchni, wycierając ręce ściereczką. Podchodzi do mnie.

- To Noa - mówi, biorąc ode mnie zdjęcie. - Nasz syn.

To nasz syn.

Słowa Jareda odbijają się echem w pokoju i w mojej głowie. Narasta we mnie krzyk, który więźnie mi w gardle.

- Powiedziałaś, że wiesz o Nicole, myślałam więc, że wiesz i o naszym synu.

Zdejmuje ostatnią fotografię z kominka i z uśmiechem przesuwając po niej palcem. Na zdjęciu widnieje on, Nicole i mały chłopczyk między nimi.

- Ma trzy lata.

Jared ma dziecko. Powoli trawię tę wiadomość, próbuję się z nią oswoić. W jednej chwili portret jego życia od czasów zniknięcia staje się kompletny. Gdyby miał tylko żonę, łatwo byłoby mi sobie wyobrazić, że to jedynie zastępczyni, kobieta, która wypełniła pustkę po mnie. Kiedy jednak patrzę na to dziecko z uroczyimi dołeczkami w policzkach i niebieskimi oczami, wiem, że nie ucieknę przed rzeczywistością. Jareda nie było tyle lat. Żył własnym życiem, nauczył się kochać od nowa, stworzył rodzinę. Ma życie, jakiego ja nie mam, jakiego nie mogłam stworzyć, bo wciąż go opłakiwałam. Jednocześnie czuję gniew i jest mi głupio.

Dlaczego wczoraj Nicole nie powiedziała mi o dziecku? Fakt, że urodziła dziecko Jareda, byłby jej najmocniejszą kartą. Dlatego że chociaż mnie nienawidzi i pragnie Jareda tylko dla siebie, nie zamierza traktować własnego dziecka jako karty przetargowej. Nie mam o niej dobrego zdania, ale za to muszę ją szanować.

Raz jeszcze oglądam fotografię. Patrząc na chłopczyka w objęciach rodziców, nie mogę opędzić się od myśli o dziecku, którego przed laty zdecydowałam się nie urodzić. O dziecku Jareda. Żyłoby teraz, gdybym podjęła inną decyzję.

- To cudowny dzieciak - mówi Jared, nie dostrzegając mojej reakcji.
- Jest piękny - wyduszam z siebie, przyglądając się dziecku, miniaturowej wersji Jareda, lecz ze śniadą cerą i jasnymi włosami Nicole.
- Nicole wyjechała na parę dni, więc zawiozłem go do naszych przyjaciół w północnej części wyspy. Uwielbia tam mieszkać, bo mają bliźniaczki mniej więcej w jego wieku. Tutaj, tylko z nami, czasami mu się nudzi. - Odstawia zdjęcie na kominek i wraca do kuchni. - Rozumiem, że ty nie masz dzieci? - pyta przez ramię.
- Mogłam mieć, myślę, gdybyś tylko dał znak życia. Zastanawiam się, czy powiedzieć Jaredowi o ciąży, którą usunęłam, bo wierzyłam, że on nie żyje. Z jednej strony chcę przerzucić na niego część ciężaru odpowiedzialności, sprawić, by i on poczuł się winny. Z drugiej jednak, chociaż podjęłam decyzję na podstawie nieprawdziwych informacji, to jednak wybór należał do mnie - razem z jego konsekwencjami. Nic nie zyskam, mówiąc mu o tym, nic, co powiem, nie zmieni przeszłości.
- Nie - mówię z trudem. - Nigdy nie wyszłam za mąż. Wiesz, praca. Byłoby mi trudno, ciągle się przemieszczałam... - Wstrzymuję oddech, zastanawiając się, czy uzna moje wyjaśnienie za naciągane, zrozumie, że moja samotność wynikała z miłości, jaką czułam do niego przez wszystkie te lata.
- On jednak bierze moje słowa za dobrą monetę.
- Złowiłem je rano - mówi, wracając z dwoma talerzami ryby ugotowanej na parze z ryżem i zielonymi, liściastymi warzywami z boku. Otwiera butelkę wina.
- Cudownie pachnie. - Siadam. - Czy ktoś wie, że tu jesteś? Zjada kęs ryby.
- Tylko ty, dziekan i Nicole. Nikt w domu, nawet moja mama. Nie mogę znieść tego, że mieszka sama i myśli, że nie żyję. Gdyby jednak poznała prawdę, chciałaby mnie zobaczyć, poznać Noę, co oczywiście jest niemożliwe. Tak jest lepiej.
- Doprawdy? - Słyszę szyderstwo we własnym głosie, gniew za to, że zrobił swojej matce to samo, co mnie.

- Nie wiem. - Odkłada widelec i opiera głowę na dłoniach. Spada z niego cała zbroja pewności siebie, jaką nosił przez wszystkie te lata.

- Zrobiłem, co uznałem za najlepsze. Zawsze starałem się tak postępować. Ale zraniłem tak wiele osób, Jo. Matkę, Chrisa, Duncana, ciebie. Tak bardzo mi przykro.

Wszystko w porządku - chcę powiedzieć, lecz nie mogę. Upijam łyk wina. Smakuje zwyczajnie, nie jest tak wyrafinowane jak to, które Ari i ja dostaliśmy od Contich, ale ma przyjemny posmak świeżości, z nutką daktyli i orzechów. Ari. Ciągłe się zastanawiam, gdzie jest i czy nic mu się nie stało. Czy za mną tęskni? Z kieliszkiem wciąż przy ustach nieruchomieję, zaskoczona tą myślą. Siedzę z Jaredem, mężczyzną, za którym tęskniłam przez tyle lat, a jednak nie mogę przestać myśleć o Arim.

W milczeniu kończymy posiłek, zupełnie jak w dawnych czasach, kiedy potrafiliśmy spędzać razem godziny, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Jared zbiera naczynia, nie przyjmując mojej oferty pomocy.

Podchodzę do okna. Słońce już zaszło, woda skrzy się w blasku księżyca, wygląda jak morze klejnotów. Jared zawsze chciał zamieszkać w takim miejscu: cichym, pięknym i na uboczu. Nicole miała rację: tu ma tyle spokoju, jak dalece to możliwe.

- Robi się późno - mówi Jared, skończywszy myć naczynia. Idzie przez pokój w głąb domu. Pod lewą ścianą leży ogromny materac, a naprzeciwko wąskie łóżko. - Możesz spać tutaj. - Wskazuje na materac. - Jest wygodniejszy od łóżka.

- Nie - mówię gwałtownie. Już i tak jest mi nieswojo, że będę spać w pokoju Nicole i Jareda. Zajęcie ich materaca to zbyt wiele. - Łóżko mi wystarczy.

Jared wzrusza ramionami, podaje mi komplet prostej pościeli z białej bawełny i wychodzi. Ściele łóżko, a potem się na nim kładę. Czuję lekki zapach mleka i domyślam się, że to łóżko dziecka.

Po chwili Jared wraca w T-shircie i spodniach od dresu, z twarzą jeszcze wilgotną po prysznicu. Coś mi rzuca.

- Proszę.

Bluza. Wracam myślami do pewnej nocy w college'u. Było to w semestrze wiosennym, jakoś po grudniowej kolacji klubu wioślarskiego, kiedy Jared i ja uświadomiliśmy sobie, że nie czujemy do siebie nienawiści, ale na długo przed tą wiosenną nocą w Londynie, kiedy po raz pierwszy się pocałowaliśmy. Piliśmy z resztą naszej załogi, a kiedy bar zamknięto i tłumek na zewnątrz się rozszedł, Jared i ja zostaliśmy sami.

- Wpadniesz do mnie na kawę? - spytał, gdy staliśmy w cieniu kaplicy na dziedzińcu. Nasze oddechy tworzyły obłoczki pary.

Zawahałam się. W niektórych wypadkach zaproszenie na kawę czy herbatę było eufemistyczną propozycją czegoś więcej. Lecz widząc twarz Jareda, zrozumiałam, że w jego zaproszeniu nie ma drugiego dna. Proponował mi zwykłą rozmowę, nic więcej. Mimo to odmownie pokręciłam głową.

- Muszę już iść.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Jak chcesz”, po czym odwrócił się i ruszył przez dziedziniec. Kiedy zniknął za bramą, poszłam w stronę swojego domu na Lower Park Street. Nagle ogarnęło mnie nieznane dotąd uczucie samotności. Nie chciałam wracać do tego zimnego, pustego pokoju. Szybko wyszłam na ulicę, poszłam do akademika Jareda i zapukałam do jego drzwi.

Jeśli moja nagła zmiana decyzji go zaskoczyła, to nie pokazał tego po sobie.

- Kawy? - spytał.

- Nie. To znaczy tak - wymamrotałam. - Po prostu nie chciałam być sama. - Poczułam, że się rumienię.

Bez słowa zaprowadził mnie do swojego pokoju, ale zamiast nastawić czajnik, posłał kanapę i podał mi bluzę. Wróciłam w niej z łazienki i wślizgnęłam się pod koc. Jared pochylił się nade mną, a ja zamknęłam oczy, myśląc, że mnie pocałuje. Przez chwilę nic się nie działo, a potem przycisnął usta do mojego czoła, jak rodzic sprawdzający, czy dziecko nie ma gorączki. Kiedy znowu otworzyłam oczy, on już leżał w swoim łóżku na drugim końcu pokoju. Zgasił światło. Następnego ranka wy-

mknęłam się przed świtem. Nawet parę miesięcy później, kiedy już byliśmy parą i moglibyśmy bez skrępowania pogadać o tej sytuacji, nigdy do niej nie wróciliśmy.

- Jo? - Jared odzywa się, wyrывая mnie z zamyślenia. Podnoszę głowę. - Gdzie byłaś?

- Nigdzie. - To wspomnienie wydaje mi się zbyt sentymentalne, by o nim opowiadać. Zresztą może w ogóle nie pamiętał tamtej nocy.

- Przy okazji, spóźnione życzenia urodzinowe.

- Dzięki. - Jestem zdumiona, że pamiętał. Trzeciego maja, prawie dwa tygodnie temu w Londynie skończyłam trzydzieści dwa lata. Dzień ten wypadł gdzieś między moją konfrontacją z Sebastianem na Enbankment, podczas której odebrał sobie życie, a wyznaniem Mo, które nastąpiło parę dni później. Ten dzień spędziłam w szpitalu przy łóżku Chrisa, który dochodził do zdrowia po ranie postrzałowej, jaką mu zadałam. O urodzinach przypomniał mi tylko telefon od rodziców i kartka od Sary. Idę do łazienki, żeby się przebrać, a kiedy wracam, Jared leży na materacu, jak zawsze na plecach, z jedną ręką pod głową. Kładę się na łóżku.

- Senna? - pyta. Zaprzeczam bezgłośnie. - Ja też nie. Jeśli chcesz, mogę ci poczytać.

Nie wiem, czy żartuje.

- Dzięki, nie trzeba. - Wskrzeszanie naszego rytuału, jakby nic przez te lata się nie zmieniło, brzmi jak szyderstwo. Zresztą gdzie mielibyśmy zacząć? Od początku czy od miejsca, na którym skończyliśmy dziesięć lat temu? A może wybrałby inną książkę? Nagle uświadamiam sobie, jak niewielka odległość nas dzieli. Nie wiem, co jest bardziej surrealistyczne: fakt, że rozmawiam z Jaredem, czy to, że jesteśmy sami i nie możemy być razem.

- Dziwne, prawda, Jo? - mówi, jakby czytał w moich myślach. - To, że jesteśmy tu razem.

Przyciągam kolana do piersi.

- Jak w tej grze, w którą bawiłam się w dzieciństwie. „Spędź z kimś dzień”.

Patrzy na mnie pustym wzrokiem.

- Nigdy o niej nie słyshałem.

Oczywiście, że nie. Zawsze wiele nas różniło. Pomimo więzi, która kiedyś nas łączyła, nie mogliśmy zsynchronizować się do końca i nie dało się tego złożyć na karb różnic kulturowych. Kiedyś pobiegłam do niego, zdruzgotana wiadomością od rodziców: umarł Ranger, mój ukochany collie. Jared próbował okazać mi współczucie, ale dla niego było to tylko zwierzę, nie potrafił więc zrozumieć mojej rozpaczki po śmierci psa, który był moim najbliższym przyjacielem. Nie, on nie rozumie mnie do końca - ani ja nie rozumiem jego. Na przykład jak może ukrywać przed matką, że żyje?

Oczywiście nie da się całkowicie zrozumieć drugiej osoby. Choćby otaczał nas tłum ludzi, w ostatecznym rozrachunku zawsze jesteśmy sami. Przekonałam się o tym przed laty, kiedy myślałam, że Jared nie żyje: zostałam zupełnie sama i po prostu przestałam próbować.

Jared wciąż patrzy na mnie, czekając na wyjaśnienie.

- Graliśmy w to w dzieciństwie. Jedna osoba pytała drugą: „Gdybyś mógł spędzić jeden dzień z wybraną osobą z historii świata, żyjącą lub nie, kogo byś wybrał?”. Czasami wyobrażaliśmy sobie, co byśmy robili z tą osobą, jak byśmy spędzili ten jeden dzień.

- Kogo wybierałaś?

- Och, naprawdę nie pamiętam. - Śmieję się. - Czasami jakiegoś aktora, w którym się kochałam, albo postać historyczną, o której ostatnio czytałam. Albo babcię, wkrótce po jej śmierci. Dzisiejsza noc przypomina mi o tej grze. - Przetykam ślinę. - Bo przez wszystkie te lata, gdyby ktoś zadał mi to pytanie, jedyną osobą, z którą chciałabym spędzić dzień, byłbyś ty.

Jared uśmiecha się, a ja przez chwilę myślę, że się przed nim wygłupiłam.

- Rozumiem. Odkąd wyjechałem, wiele razy zastanawiałem się, jak by to było, na jeden dzień wrócić do domu. Ale nie jestem pewien, czy chciałbym go spędzić w ten sposób.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

- Nie?

- Oczywiście wiele rzeczy chciałbym zrobić jeszcze raz. Przytulić mamę, pokopać piłkę z Chrisem i chłopakami. Ale jeśli mogę wybrać tylko jedną osobę, to chciałbym ten dzień spędzić z tobą. - Ciekawe, czy mówi to tylko z uprzejmości. Nie, Jared nigdy nie kierował się konwenansami. Mówi zupełnie poważnie. - Ale nie spędzilibyśmy go, leżąc w osobnych łóżkach - dodaje.

Próbuję przełknąć gulę, która utknęła mi w gardle. Zapada krępujące milczenie. Wiem, że Jared myśli o naszych wspólnych nocach w akademiku, o naszych splecionych ciałach. Do tej pory byłam pod takim wrażeniem ponownego spotkania z Jaredem, że ignorowałam magnetyzm, który wciąż między nami istnieje - równie żywy i intensywny jak lata temu. Przeszywa mnie dreszcz.

- Zimno ci? - pyta. Kręcę głową, ale on wstaje, wyjmując coś z wiklinowego kufra i podchodzi do mnie. - Proszę. - Kładzie koc w nogach łóżka. - Tak się przyzwyczailem do tutejszej pogody, że czasami zapominam o nagłych zmianach temperatury. Nocami bywa zimno. -Przykrywa mnie kocem i siada na brzegu łóżka. Marszczy brwi. - Masz wypieki. - Przykłada dłoń do mojego czoła, a ja zamykam oczy, starając się nie drżeć pod znajomym dotykiem jego ręki.

- Po prostu za długo siedziałam dziś na słońcu. - Podnoszę wzrok. Nasze twarze dzieli zaledwie kilkanaście centymetrów. Co by się stało, gdybym go teraz pocałowała? Oddałby pocałunek czyby się odsunął? Znowu zamykam oczy, trwając w tej samej pozycji, pozwalając dać się porwać tej chwili.

Mija kolejna sekunda. Jared chrząka, a kiedy otwieram oczy, widzę, że się odsunął. Na jego twarzy maluje się udreka. Wstaje i szybko wychodzi z pokoju. Zastanawiam się, czy jest zły, czy postanowił przemocować gdzie indziej.

Ale on wkrótce wraca i podaje mi jakąś tubkę.

- To krem, który produkują miejscowi. Nicole smaruje nim Noę, kiedy za bardzo spieczą się na plaży. Nicole. Noa. Nagłe oboje pojawiają się w pokoju i moment bliskości mija. Starając się spokojnie oddychać, nakładam odrobinę kremu

na nos i policzki, czując, jak jego chłód łagodzi poparzenia. Jared wraca na materac, jego długi cień kładzie się na podłodze.

- Chciałem cię pocałować - mówi w końcu, jak na spowiedzi. -Pragnąłem tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Ja też tego pragnęłam, ale się nie odzywam. Z jednej strony żałuję, że nie uległ i że nie wykorzystaliśmy tej jedynej szansy na zbliżenie, jaką dał nam los. Żałuję, że nie jestem kobietą, która potrafi na chwilę zrezygnować z zasad i poddać się losowi. To by było wybaczone, dałoby się zrozumieć. Ale z drugiej strony cieszę się, że tego nie zrobiliśmy. Mimo upływu czasu, mimo że Jared zaczął życie od nowa i ożenił się, moje wspomnienia o nim są nietknięte, czyste. Zakazany pocałunek, a może coś więcej, skradziony pod nieobecność jego żony, skalałby to, co nas kiedyś łączyło, wywołałby żal, który zniszczyłby całą radość. I choć ta chwila byłaby magiczna, wkrótce wzeszłoby słońce, Nicole by wróciła i upomniała się o swoje. Nicole. Czy wyznanie Jareda świadczy o jego uczuciach do żony? Co to oznacza, że jednak mnie nie pocałował? Jared chrząka i pyta:

- Ty i Aaron. To coś poważnego?

Odwracam się i patrzę na niego. Ani słowem nie wspomniałam o tym, że coś mnie łączy z Arim. Nie powinnam jednak się dziwić, Jared zawsze czytał we mnie jak w książce. Nagle ogarnia mnie oburzenie - to nie jego sprawa, nie teraz.

- Wolałabym o tym nie rozmawiać.

Przewraca się na drugi bok i już się nie odzywa. Jest zły? Zwijam się w kłębek na materacu, zastanawiam się, czy powinnam go przeprosić. Źle sobie radziłam z naszymi kłótniami, często przepraszałam, chociaż wcale nie byłam pewna, że zrobiłam coś złego. Ale już nie jestem tą dziewczyną i nie przeproszę tylko po to, żeby uniknąć kłótni.

- Jared... - mówię, on jednak milczy.

Śpi albo udaje. Przypomina mi się, że często niespokojnie krążył po Cambridge, długo po tym, jak ulice już opustoszały i wyludniły się.

Teraz, gdy słucham jego równego, spokojnego oddechu, czuję w środku zimną pustkę, która może mnie całkowicie pochłoniąć. Uświadamiam sobie, jak bardzo jestem samotna. Ale nie z powodu Jareda. Tęsknię za Arim.

Zupełnie zdezorientowana, odsuwam od siebie tę myśl i znowu spoglądam na Jareda. Mam ochotę obserwować go całą noc, rozkoszować się tymi kilkoma godzinami przed świtem, kiedy znowu będę musiała go opuścić. W końcu moje powieki robią się ciężkie, już nie mogę dłużej walczyć ze zmęczeniem i odpływam w sen bez snów.

Jakiś czas później powoli otwieram oczy, mrugam w oślepiającym blasku słońca odbijającym się od białych ścian. Przez chwilę nie mogę sobie przypomnieć, gdzie jestem. Nagle wiem: w domu Jareda i Nicole. Wracają wspomnienia z minionej nocy, długa rozmowa z Jaredem, pocałunek, do którego prawie doszło. Fakt, że Jared i Nicole mają syna.

Rozglądam się po pokoju, pewna, że Jared jeszcze śpi. Ale materac już jest pusty, a pościel schludnie złożona. Wstał, zanim się obudziłam, tak samo jak na studiach.

Z drugiego pokoju dobiega odgłos szczykania naczyń. Podnoszę się i szybko przebieram we własne ciuchy. Wychodząc z sypialni, przyglądam włosy.

Jared stoi przy kuchence.

- Dzień dobry - mówi beztrąsko, jakby nie było nic dziwnego w fakcie, że nocowałam w jego domu.
- Dobrze spałaś?
- Bardzo dobrze. - Siadam na krześle przy stole i przyjmuję od Jareda filiżankę kawy. Rzeczywiście spałam bardzo mocno. Dziwne, bo w obcych miejscach zwykle mam problemy ze snem.
- To przez morskie powietrze - powtarza słowa, które Ari wypowiedział na jachcie.

Wiem jednak, że to nie wszystko. Obecność Jareda, jego równy, spokojny oddech zadziałały na mnie jak ciepły koc, przyniosły mi ogromne ukojenie, chociaż po tylu latach musiałam się zadowolić jego obecnością na drugim końcu pokoju.

Kiedy z powrotem odwraca się do kuchenki, dzwoni telefon, którego wcześniej nie zauważyłam. Jestem zaskoczona. Nie spodziewałam się, że w tym domku na odludziu znajduje się telefon stacjonarny. Jared podchodzi do aparatu.

- Halo? Nie, nie ma jej. - Strzela oczami na boki, słuchając rozmówcy. - Co takiego? - Podnosi głos.
- Zaraz, zaraz... - Odsuwa słuchawkę od ucha i z bladą twarzą patrzy na nią z niedowierzaniem. Sekundę później słuchawka wypada mu z ręki i z trzaskiem ląduje na podłodze.
- Co się stało? - pytam.
- Porwali Noę. - Jego głos jest tylko trochę głośniejszy od szeptu.
- Nie rozumiem. - Serce podchodzi mi do gardła. - Kto?
- Ludzie, którzy kupili wino od Nicole. Mają naszego syna. I jeśli nie damy im tego, czego żądają, zabiją go.

Gardło mam tak ściśnięte, że ledwie mogę oddychać.

- Jesteś pewny? - wyduszam z siebie. - Może to blef? Kręci głową.

- W tle słyszałem jego głos. Rozpoznałem go. - W oczach ma łzy, nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie.

- Jak go porwali?

- Nie wiem, nie wiem. - Gorączkowo chodzi tam i z powrotem, jak tygrys w klatce. - Wysłaliśmy go do przyjaciół, bo myśleliśmy, że tam będzie bezpieczny. To dobrzy ludzie, całkowicie im ufamy, ale dlaczego nie zadzwonili, kiedy...? - Urywa, po czym podnosi słuchawkę i pośpiesznie wybiera numer.

- Nikt nie odbiera - mówi po paru sekundach i odwiesza słuchawkę. - O Boże, pewnie nie żyją. - Jest już na granicy hysterii. - Cholera jasna, mówiłem Nicole...

- Ale przecież Nicole ma sprzedać to wino, więc może im zapłacić.

- Ten mężczyzna powiedział, że pieniądze ich nie interesują. Chcą wina.

- To nie ma sensu. - Rozmyślam gorączkowo. - Dlaczego po prostu nie wezmą pieniędzy?

- To nieistotne. - Zatrzymuje się i spogląda prosto na mnie. - Musimy odnaleźć Noę.

My. Nagle uświadamiam sobie, że wpakowałam się w to o wiele bardziej, niż się tego spodziewałam. Odnalazłam Jareda, osiągnęłam swój cel. Mogłabym teraz odmówić i wrócić do Ariego, lecz w niebezpieczeństwie znalazło się małe dziecko, więc nie mogę tak po prostu sobie pójść. I to nie jakieś tam dziecko - syn Jareda.

Spoglądam na niego. Wpatruje się we mnie z taką samą desperacją jak dziesięć lat temu, ale tym razem mogę mu pomóc.

- Dobrze. - Staram się mówić pewnym głosem. Kładę rękę na jego ramieniu, usiłuję go uspokoić jak kiedyś. Teraz to ja powinnam być silna. - Musimy zachować spokój i na trzeźwo się zastanowić. Kto dzwonił?

- Nie wiem. Nigdy wcześniej nie słyszałem tego głosu. Nicole nie wtajemnicza mnie we wszystkie swoje sprawy. Mówił z obcym akcentem.

- Powtórz wszystko, co powiedział. Jared znowu zaczyna krążyć po pokoju.

- Powiedział, że za dwie godziny Nicole ma przywieźć wino do portu w Keri. Jeśli tego nie zrobi, to...

- Nie kończy zdania. -

- Możesz do niej zadzwonić? Przeczesuje palcami włosy.

- Może. - Znowu bierze telefon i wybiera numer. - Cholera, Nicole - klnie pod nosem. Domyślam się, że już wcześniej nie mógł się do niej dodzwonić. - Nie wiem, czy zdąży na czas.

- Wiesz, gdzie jest wino? Kiwa głową.

- W jaskini nad wodą.

- To daleko stąd?

- Nie bardzo. Nie da się tam dojechać samochodem, a pieszo zajmie nam to ze czterdzieści minut.

- Dopłyniemy łodzią?

- Tak byłoby szybciej, ale podczas przyływu woda wokół jaskini jest wzburzona. Nie, musimy iść pieszo.

- W takim razie ruszajmy.

- Ale ten mężczyzna powiedział, że to Nicole ma przywieźć wino i że ma przyjść sama.

Rozmyślam gorączkowo.

- Czy Santini poznał Nicole osobiście?

- Nie sądzę. Wszystko załatwiali przez telefon.

Nie licząc Wiednia, myślę, przypominając sobie człowieka Santi-

niego, który uciekł z mieszkania, i zakrwawioną Nicole z nożem w ręce. Oczywiście Jared o tym nie wie.

- Mogę udawać Nicole - mówię. - Skoro nigdy się nie spotkali, Santini niczego się nie domyśli. - Nie wspominam Jaredowi o wydarzeniach w Wiedniu, wiedząc, że wtedy zwątpiłby w nasze, w tej chwili najlepsze, wyjście. - Pewnie nie da się tu kupić peruki w kolorze blond?

Pomimo paniki spogląda na mnie ze zniecierpliwieniem, jak zawsze, kiedy uważał, że zachowuję się niedorzecznie.

- Może masz butelkę wody utlenionej? - Nadal nie wygląda na przekonanego. - Słuchaj, wiem, że w ogóle nie jestem podobna do Nicole, lecz jeśli tam pojedę i przekażę im wino, może nie będą mi się zbyt uważnie przyglądać. Poza tym co innego nam pozostaje?

Widzę, że zastanawia się nad lepszym planem, ale bezskutecznie.

- Dobrze - mówi w końcu. - Woda utleniona jest w apteczce. I pośpiesz się. Mamy mało czasu.

Dziesięć minut później wychodzę z łazienki, rozczesując świeżo rozjaśnione włosy. Jared w kuchni nalewa wody do manierki.

- Często się zastanawiałam, jak bym wyglądała jako blondynka -żartuję, próbując choć trochę zmniejszyć jego przerażenie, on jednak spogląda na mnie pustym wzrokiem i nie odpowiada.

Podchodzę do niego.

- Wiem, że się boisz, i nic, co powiem, tego nie zmieni. Ale uwierz mi, że wszystko będzie dobrze. Jared, jestem wyszkoloną agentką. - Szeroko otwiera oczy, kiedy wydaję z torby pistolet i wkładam go za pasek. Już nie jestem tą samą dziewczyną, którą znał dziesięć lat temu. - To moja praca - mówię z pewnością siebie, choć i mnie zaczynają dopadać wątpliwości. Nie wiem, w co się pakuję, ile osób będzie na mnie czekać w porcie. Pójście tam w pojedynkę to głupota, ale nie mam innego wyjścia.

Szkoda, że nie ma tu Ariego. - Powiedz mi tylko, jak dotrzeć do jaskini.

- Pójdziemy razem. Zabiorę cię tam, a potem do portu.

- Przecież kazali, żeby Nicole przyszła sama.
- Schowam się. - Jest nieugięty.
- Jared, to na nic. Już bywałam w takich sytuacjach. Mogą mnie obserwować, żeby sprawdzić, czy nikt ze mną nie przyszedł. Musisz puścić mnie samą.
- Nie. - Upiera się. - Muszę...
- Przede wszystkim musisz mi zaufać - przerywam mu. - Chcę ci pomóc. - Bo dziesięć lat temu nie mogłam tego zrobić, mam ochotę dodać. - Marnujemy czas.
- Widzę, że zmagasz się z myślami, wie, że mam rację, lecz nie chce tego przyznać.
- No dobrze - ulega w końcu. - Podprowadzę cię tak blisko, jak się da, potem pójdziesz sama.
- Waham się. Wolałabym, żeby tu został, ale wiem, że nie zgodzi się na dalsze ustępstwa.
- W porządku.
- Idę z nim na ścieżkę prowadzącą na skaliste wzgórze za domem, nieco oddalone od morza.
- Myślałam, że jaskinia jest bliżej wody - zauważam.
- Bo jest, lecz droga wzdłuż brzegu jest dłuższa. Nicole mówiła, że najszybciej można się tam dostać przez wzgórze.
- Nigdy wcześniej tam nie byłeś?
- Nie. Jak już mówiłem, Nicole nie dopuszczała mnie do swoich spraw. Jednak dokładnie opisała mi to miejsce, raz wskazała mi je z oddali, kiedy płynęliśmy żaglówką. Znajdę je. - Głos lekko mu drży.
- Cholera, jak mogłem... - Nie kończy, ale wiem, że w duchu przeklina siebie za to, że spuścił Noę z oczu, że nie zapewnił mu bezpieczeństwa.
- Opowiedz mi o tych jaskiniach - próbuję oderwać go od przerażających myśli.
- Widzę po jego twarzy, że nie dał się na to nabrać.
- Na początku wojny miejscowi korzystali z tych jaskiń jak ze schronów - mówi, włączając się jednak do mojej gry. - Później były

kryjówką dla ruchu oporu. Ukrywali się tam i przechowywali amunicję... i wino. - Kiwam głową, przypominając sobie, że Ari mówił to samo o piwnicach we Francji. - Nie tylko Cerfberre Bordeaux. Ukrywali tam przed nazistami mnóstwo różnych gatunków wina, a potem wymieniali je na potrzebne artykuły.

Przez parę minut w milczeniu wspinamy się po wzgórzu. Mijamy ruiny starego kościoła, którego kruszące mury wznoszą się ku nieistniejącemu dachowi. Na tle czystego, błękitnego nieba rysuje się wieża kościelna.

Chyba po raz setny odgarniam włosy z twarzy. Poranne słońce mocno praży, przemieniając błotnistą ziemię w spękaną skorupę. Jared idzie szybko przede mną, z trudem za nim nadążam. Pot płynie mi po szyi, zbierając się pod T-shirtem.

- Proszę. - Nie zatrzymując się, podaje mi manierkę z wodą. Czyżby usłyszał mój ciężki oddech? On jednak patrzy prosto przed siebie, skupiony tylko na odnalezieniu syna.

Upijam kilka łyków i kiedy stajemy na szczycie skarpy, oddaję manierkę Jaredowi. Naszym oczom znowu ukazuje się morze. Poszarpana linia brzegu tworzy szeroką, zakrzywioną odnogę z wąskim pasem plaży. Woda jest tu bardziej wzburzona, fale rozbijają się na płyciźnie.

Wyciągam rękę i łapię Jareda za ramię.

4 Daleko jeszcze? - pytam, obawiając się, że jeśli go nie powstrzymam, pójdzie ze mną aż do jaskini. Teraz jesteśmy widoczni jak na dłoni, a nie chcę, by ktoś zobaczył nas razem.

- To tam - odpowiada Jared z niechęcią. Wskazuje w dół na najgłębszą część zatoki, gdzie masywny klif ustępuje miejsca szerokiemu wejściu częściowo zasłoniętemu przez ogromną, wolno stojącą skałę.

- Dobrze. Tu się rozstaniemy.

- Ale...

- Jared, to zbyt ryzykowne - przerywam mu. - Nie powinieneś przychodzić ze mną aż tutaj. Ktoś mógł cię zobaczyć. Kiedy znajdę wino, pójdę do portu.

- Znasz drogę?
- Dam sobie radę. - Kiwam głową. - Ale co mam zrobić, kiedy już tam przyjdę?
- Tamten facet nic nie powiedział. Pewnie sam cię znajdzie. Skrzynia na pewno jest ciężka. Jak ją sama udźwigniesz?
- O tym nie pomyślałam.
- Dam sobie radę. Wracaj do domu i czekaj na telefon od tego mężczyzny. Dam ci znać, jak tylko oddadzą mi Noę.
- Spodziewam się, że znowu zaczniesz się spierać, on jednak tego nie robi.
- Wejście do jaskini jest otwarte przez czterdzieści minut - mówi. - Potem woda się podniesie i cała jaskinia zostanie zalana. - Zauważam, jak wysoko woda się podniosła, jak omywa skały.
- A co z winem? Woda mu nie szkodzi? Kręci głową.
- Po wejściu do jaskini znajdziesz ścieżkę prowadzącą do górnej komory, jak ją nazywała Nicole. Mówiła, że tam woda nie wpływa, więc skrzynia jest sucha i bezpieczna. Weź to. - Podaje mi latarkę.
- Nie jestem pewien, którądy masz iść. Nicole mówiła, że na ścianach są znaki.
- Jakie znaki?
- Nie wiem. Może zostawili je partyzanci, chociaż te jaskinie są tak stare, że znaki mogą pochodzić sprzed setek lat. - Spogląda na zegarek. - Lepiej się pośpieszmy.
- Nie my - poprawiam go. - Ja. Ty wracasz do domu.
- Nie pozwolę, żebyś szła tam sama. To zbyt niebezpieczne. Potrzebujesz mojej pomocy.
- Jared, już to przerabialiśmy. Jeśli cię zobaczą, mogą nie przyjść do portu... albo stanie się coś strasznego. Narazisz Noę na jeszcze większe niebezpieczeństwo. - Patrzę, jak analizuje moje słowa. - Wracaj do domu i czekaj na mój telefon. Jeśli nie odezwę się za dwie godziny... - Nie kończę.
- Kiwa głową, zrozumiał.

- Jordan - mówi, kiedy ruszam. Odwracam się. Otwiera usta, ale nic nie mówi. To prośba, błaganie, bym uratowała jego syna.

Wyciągam rękę i kładę dłoń na jego ramieniu. Już raz go zawiodłam, teraz tego nie powtórzę.

- Nie martw się. Przyprawdżę go do domu.

Schodzę wąską ścieżką w dół, ostrożnie stąpając po kamieniach, które stają się wilgotne i śliskie, gdy zbliżam się do wody. Po paru minutach oglądam się przez ramię, myśląc, że Jared jeszcze stoi na wzgórzu, ale on już zniknął. To mnie zaskakuje - zawsze był taki uparty. Czy rzeczywiście wrócił do domu, tak jak mu kazałam, czy chowa się gdzieś w pobliżu? Nagle uświadamiam sobie ogrom tego przedsięwzięcia. Jared mi zaufał, liczy na to, że ocaleję jego syna.

Co ja tu właściwie robię? Odnalazłam Jareda, zakończyłam swoją misję. Ta cała afery z winem to nie moja sprawa. Mam jednak szansę pomóc Jaredowi, co nie udało mi się dziesięć lat temu. Mogę uratować jego dziecko, choć nie zdołałam uratować naszego. To dziecko, o którego istnieniu wczoraj jeszcze nie wiedziałam, teraz ma ogromne znaczenie.

O ile mi się uda, myślę, zaciskając dłoń na kolbie pistoletu Ariego. Akcje odbijania zakładników wymagają szczególnej wiedzy, nigdy nie brałam udziału w czymś takim, nawet podczas szkolenia. Przed Jaredem udawałam pewną siebie, wiem, że przeceniłam swoje możliwości. Muszę jednak spróbować.

Szybkim krokiem schodzę ścieżką do wejścia jaskini. Woda się podnosi, połykając coraz więcej pasa plaży. Schylam się, zdejmuję sandały i niosę je w rękę, brodząc w chłodnej wodzie, omywającej moje kostki u nóg.

Przy wejściu do jaskini woda cofa się, ustępując miejsca mokremu piachowi. Światło dzienne szybko znika, więc zatrzymuję się, bezskutecznie usiłując przyzwyczaić oczy do mroku, i wreszcie sięgam po latarkę. Blade, żółte światło rozjaśnia grunt zaledwie metr przede mną, dalej panuje ciemność.

Przesuwam latarkę, próbując oswoić się z wnętrzem. Jaskinia jest ogromna, korytarze prowadzą z głównej komory w wielu kierunkach.

Z powrotem wkładam sandały i oświetlam ściany, szukając znaków, o których mówił Jared. Jakies siedem metrów od wejścia na ścianie po lewej stronie dostrzegam znaki wyryte w kamieniu. Podchodzę. To imiona tych, którzy byli tu wcześniej, zapisane jednym ciągiem biegnącym przez parę metrów. Wchodzę głębiej w jaskinię, zastanawiając się, kto wyrył ten pomysłowy napis i czy wydostał się stąd żywy. Wyrycie tych imion musiało trwać całą wieczność. Głęboko wciągam chłodne, wilgotne powietrze.

Napis kończy się równie nieoczekiwanie, jak się zaczął. Ostatnie imię niknie w szczelinie. Podnoszę głowę. Ścieżka zwęża się, tworząc tunel o szerokości niespełna trzydziestu centymetrów, wysoki na tyle, że mogę się wyprostować. Biegnie pod ostrym kątem w górę, po obu stronach otoczony wysokimi, kamiennymi ścianami.

Nieco dalej się kończy, a ściana po mojej lewej znika, odsłaniając otwartą przestrzeń. Serce mocno mi wali. Wąziutka ścieżka stromo opada ku otchłani. Oświetlam ją latarką. To wąwóz, tak głęboki, że nie widzę dna. W dole chlupie woda.

Zatrzymuję się, sparalizowana paniką. Jestem sama w tej jaskini, nie mogłabym się z nikim skontaktować, jeśli spadnę i zranę się albo stanie się coś jeszcze gorszego. Myślę o Arim, o jego lęku wysokości. Wiem, że bardzo by tego nie chciał, ale żałuję, że nie ma go tu ze mną. Biorę się w garść i ruszam wąską ścieżką, z całych sił starając się nie patrzeć w dół. Kurczowo trzymam się skalistej ściany po prawej, koncentrując się na każdym kroku, by nie spaść w złowieszczą otchłań.

Nagle wyczuwam szczelinę w ścianie, która zdaje się przesuwać pod moim dotykiem. Coś wyfruwa ze ściany, ocierając się o moją twarz. Podnoszę ręce, żeby to odgonić, i upuszczam latarkę.

- Nie! - krzyczę, kiedy spada na ścieżkę i gaśnie. Mój głos odbija się echem od ścian jaskini.

Schylam się i starając się utrzymać równowagę, po omacku szukam latarki. Moje palce natrafiają na rączkę, ale latarka wyslizguje mi się z rąk i z grzechotem toczy się na skraj ścieżki. Sięgam po nią raz jeszcze i zaczynam się chwiać, niebezpiecznie machając rękami. Odzysku-

ję równowagę, przesuвам dłońmi po podłożu, wreszcie znajduję latarkę i podnoszę ją.

Znowu łapię się ściany i prostuję. Teraz uświadamiam sobie, że to był nietoperz. Usiłuję spokojnie oddychać. Obrzydliwe stworzenie, ale w tych okolicznościach zupełnie nieszkodliwe.

Drżąc, idę dalej, aż wyrwa w ścianie się kończy. W słabym świetle latarki przed sobą widzę dwa stopnie prowadzące do wejścia. Wchodzę do jakiegoś pomieszczenia. Unosi się tu inny zapach, znajoma woń człowieka, stęchlizny, ziemi i drewna.

Oświetlam wnętrze komory i moim oczom ukazują się drewniane półki pod ścianami biegnące od ziemi aż pod sufit. Przypominają mi piwnice u Contich. To na pewno górna komora.

Z nadzieją podchodzę do jednej z półek. Obym tylko znalazła wino. Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, całą komorę zalewa światło. Odwracam się, żeby sprawdzić jego źródło, ale wtedy rozlega się szcęknięcie i ktoś mnie łapie od tyłu.

- Witaj, Nicole. - Za plecami słyszę męski głos. Czuję ciepły, cuchnący oddech.

Serce na chwilę przestaje mi bić. Ze zdumieniem rozpoznaję rosyjski akcent. Czy Rosjanie pracują dla Santiniego? Ten mężczyzna może też być współnikiem finansistki, Ivankovej, lecz to chyba strzał w ciemno, pewnie mnie śledził, jak długo? Widział Jareda?

- T-tak - wyduszam z siebie, starając się naśladować akcent Nicole. - Ale kazaliście mi przyjść do portu...

Przyciska broń do moich żeber.

- Wino.

Z trudem przełykam ślinę.

- Gdzie jest mój syn?

Tak mocno popycha mnie na ścianę, że zapiera mi dech w piersiach.

- Najpierw wino.

Z wysiłkiem łapię oddech.

- Nic z tego. Muszę mieć dowód, że Noa jest bezpieczny.

Napastnik woła coś po rosyjsku, a ja kątem oka widzę drugiego mężczyznę trzymającego dziecko. Powstrzymuję się, żeby nie krzyknąć na widok tej miniaturowej wersji Jareda. Jest brudny i zmęczony, ale nie ranny.

- Kochanie. - Odsuwam się od ściany. Dziecko robi zdziwioną minę, a ja przez chwilę boję się, że powie coś, co mnie wyda, lecz on tylko patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Wystarczy. - Mężczyzna znowu mnie łapie. - Wino.

Poruszam się powoli, po raz pierwszy dokładnie mu się przyglądam. Czarne włosy ściągnięte w koński ogon, ciemne włosy, blizna biegnąca od prawej skroni do podbródka. Mężczyzna, który trzyma Noę, jest niższy i cięższy, ma jasne włosy i nieprzystrzyżone wąsy. Pomimo paniki odnotowuję w myślach szczegóły ich wyglądu, które się przydadzą, jeśli mężczyźni uciekną.

Ale to teraz jest moim najmniejszym zmartwieniem. Muszę dać im wino, odzyskać Noę i wydostać się stąd. Ruszam w stronę półek, omiatając wzrokiem zakurzone skrzynie i pudła. Większość jest nieoznako-wana, a naklejki na pozostałych są wyblakłe i nieczytelne, wszystkie wydają mi się jednakowe. Jak mam rozpoznać, w której skrzyni znajduje się Cerfberre Bordeaux?

Nagle za plecami słyszę jakiś hałas. Kiedy się odwracam, pojawia się trzeci mężczyzna. Przed nim, z rękami związanymi z tyłu, stoi Nicole.

Czuję obezwładniającą panikę. Co Nicole tu robi? Miała pojechać do Zante, ostrzec Ariego.

- Iwan, znaleźliśmy ją - mężczyzna trzymający Nicole mówi po angielsku, wskazując na nią głową. Ten nie jest Rosjaninem, może Turkiem - myślę, oceniając jego akcent i śniadą karnację.

Mężczyzna o imieniu Iwan spogląda na niego pustym wzrokiem.

- Kogo?

- Nicole.

Iwan szeroko otwiera oczy.

- To jest Nicole? - Odwraca się do mnie. - W takim razie, kim ty, do diabła, jesteś?

Przez chwilę zamierzam nadal udawać Nicole i stwierdzić, że kobieta, którą przyprowadzili, tylko się za mnie podaje. Wtedy jednak Noa wyciąga rączki do mamy.

- Mama! - woła. To już koniec maskarady.

- Jestem kuzynką Nicole - wyduszam z siebie, starając się wymyślić jakieś wiarygodne wytłumaczenie. - Byłam w jej domu, kiedy zadzwoniliście i powiedzieliście, że za dwie godziny mam oddać wino. Myślałam, że Nicole nie zdąży na czas, więc przysłałam zamiast niej.

Ale Iwan nie daje się nabrać.

- Policja... - syczy, a zaskoczenie na jego twarzy ustępuje miejsca gniewowi.

- Nie jestem... - zaczynam, lecz on znowu popycha mnie na ścianę, tym razem jeszcze mocniej.

Uderzam szczęką w skałę, oślepiający ból promieniuje aż do czubka głowy. Jeszcze jestem oszołomiona, kiedy Iwan jednym ruchem wykręca mi ręce na plecy. Przytrzymuje mnie jedną ręką, a drugą zaczyna mnie przeszukiwać. Wyciąga mój pistolet zza paska i rzuca go na ziemię.

Potem podchodzi do Nicole.

- Powiedziałem, że masz przyjść sama - mówi i tak mocno uderza ją w twarz, że Turek na chwilę puszcza Nicole.

Noa wybucha płaczem.

- Kochanie... - Nie zważając na krwawiącą wargę, Nicole rusza w stronę synka, ale Turek znowu ją łapie, brutalnie odciąga od dziecka i rzuca ją na ziemię. Płacz Noi przechodzi w zawodzenie, jego twarz robi się czerwona jak burak. Jasnowłosa mężczyzna zatyka mu dłonią usta, lecz Noa zaczyna się wyrywać, nie zamierzając się uspokoić.

Dostaję białej gorączki. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, ruszam w stronę Noi, ale Iwan staje między nami i celuje we mnie z pistoletu. Teraz, gdy wie, że udawałam Nicole, jestem dla niego tylko kulą u nogi. Nie ma żadnego powodu, by pozostawiać mnie przy życiu.

- Czekaj... - Cofam się i unoszę ręce. Muszę zyskać na czasie, coś wymyślić, żeby nie zabił mnie na miejscu. Przenoszę wzrok ze swojego pistoletu, który parę metrów dalej wciąż leży na ziemi, na mężczyznę trzymającego ślaniającego się Noę. Nie mogę rzucić się w stronę pistoletu i narazić w ten sposób chłopca na niebezpieczeństwo, zresztą broń leży za daleko.

- Ty. - Iwan macha pistoletem w stronę Nicole. - Weź wino.

- Nie rozumiem. - Głos Nicole drży. Wskazuje na mężczyznę, który ją przyprowadził. - Powiedziałam mu, że dam wam pieniądze i...

- W tej chwili! - Iwan jej przerywa i w złowrogim geście podnosi rękę z pistoletem.

Skulona Nicole podchodzi do latarni wiszącej na ścianie. Zdejmuje ją i zapala knot. Z wahaniem spogląda na półki z winem, najwyraźniej chce zwlekać jak najdłużej.

- Szybciej - warczy Iwan. Podchodzi do Noi i potrząsa nim, aż chłopiec zaczyna piszczeć. - Wino. I żadnych gierk.

Na twarzy Nicole pojawia się mieszanina przerażenia i gniewu. Widzę, że ostatekiem sił powstrzymuje się, by nie rzucić się w stronę syna.

- Zrób to - ponagliam ją cicho. - Ci mężczyźni nie blefują, nie możemy ryzykować.

Zrezygnowana podchodzi do jednej z półek. Kiedy się zbliża, butelki połyskują zielono. Z zaskakującą łatwością przesuwam regał, a ja ze zdumieniem stwierdzam, że to atrapa. Butelki są puste. Za regałem znajduje się zardzewiała brama zamykana na skobel. Nicole wyjmuję klucz, przez parę sekund zмага się z zamkiem, aż wreszcie rozlega się głośnie szczęknięcie. Otwiera bramę, za którą widać głęboką wnękę. Zastanawiam się, co robi. Może próbuje wprowadzić napastników w błąd? Ale przecież nie narażałaby swojego syna.

Z wielkim wysiłkiem wciąga do komory drewnianą skrzynię. Iwan kiwa głową, a Turek szybko podchodzi do skrzyni, klęka przed nią i z kieszeni kurtki wyjmuje jakieś metalowe narzędzie. Podważa wieko skrzyni, wyjmując butelkę ze słomianej wyściółki, podnosi ją do światła, przesuwając palcami po etykiecie i ocenia ją fachowym okiem.

Pozostali dwaj mężczyźni przyglądają mu się w napięciu, a ja zerkam w stronę drzwi. Teraz, gdy dostali to, na czym im zależało, wkrótce się nas pozbędą. Musimy stąd uciekać.

- Macie już wino - mówię, próbując zyskać na czasie. - Puśćcie nas. Przynajmniej Nicole i dziecko. Mnie możecie zatrzymać.

Nie odpowiadają. Turek wstaje z butelką wina w rękę.

- Oryginalne. - Zwraca się do Iwana. Potem, bez ostrzeżenia, puszcza butelkę, która głośnie roztrzaskuje się o podłogę. Wino sączy się na ziemię i szybko zaczyna w nią wsiąkać.

Spoglądam na Iwana, spodziewając się wybuchu gniewu. Będzie musiał odpowiedzieć przed Santinim za utratę bezcennej butelki. Jego twarz pozostaje jednak bez wyrazu, gdy Turek wyjmuje ze skrzyni drugą butelkę i unosi ją, gotów i tę stłuc. Nicole i ja zerkamy na siebie ze zdumieniem.

- Czekaaj! - wołam. Zaskoczenie bierze górę nad strachem. Wszyscy trzej mężczyźni odwracają się do mnie. - Co ty wyprawiasz?

- Niszczę wino - odpowiada Turek takim tonem, jakby to było coś oczywistego. Upuszcza butelkę na ziemię.

- Przecież jest takie cenne. - Myśli wirują mi w głowie. Dlaczego Santini kazał swoim ludziom zniszczyć wino, którego szukał tak długo? - Ludzie, dla których pracujecie, na pewno...

Turek wyjmuje kolejne trzy butelki i jednocześnie upuszcza je, powiększając kopczyk stłuczonego szkła u swoich stóp.

- Czekaj - powtarzam, ale ignoruje mnie, bierze następną butelkę i roztrzaskuje ją o ścianę. Noa krzyczy, przestraszony hałasem.

Turek się rozkręca. Rozbija jedną po drugiej kolejne cztery butelki, niemal z przyjemnością, jakby tłukł talerze na greckiej uroczystości. Zostały już tylko dwie. Potem wino się skończy i nie będzie już powodu dłużej utrzymywać nas przy życiu.

- Powinieneś zostawić dwie butelki - odzywam się - jako zabezpieczenie.

Iwan podchodzi do mnie, ze zniecierpliwieniem wymachując pistoletem.

- Za dużo mówisz.

Ale Turek robi krok do przodu, nie puszczając butelki, którą właśnie wyjął ze skrzyni.

- Jako zabezpieczenie? Przełykam ślinę.

- Dla pewności, że ludzie, dla których pracujecie, dadzą wam wszystko, co obiecali, i że was nie wydadzą, jeśli coś pójdzie nie tak.

- Nie możemy - odpowiada Iwan, ale Turek strzela oczami na boki, rozważając mój pomysł.

- Jeśli zniszczycie całe wino, stracie wszystkie argumenty. Jeżeli jednak zostawicie parę butelek, wasi szefowie zrobią wszystko, czego zażądacie. Możecie nawet domagać się więcej pieniędzy - dodaję, rozkręcając się.

- A to wino jest warte fortunę - włącza się Nicole, podejmując mój wątek. - Możecie za ogromne pieniądze sprzedać te butelki na czarnym rynku.

Turek wkłada pod pachę ostatnie dwie butelki.

- Chodźmy.

- Nie możemy ich wziąć - protestuje Iwan. - Kazano nam zniszczyć wszystko. - Nicole i ja wymieniamy spojrzenia, zastanawiając się, jak wykorzystać ten spór na naszą korzyść albo przynajmniej go przedłużyć. Wtedy jednak jasnowłosa mężczyzna, który trzyma Noę, mówi coś po rosyjsku do Iwana. Uświadamiam sobie, że odezwał się po raz pierwszy, odkąd tu jesteśmy.

Najwyraźniej przegłosowany, Iwan wzrusza ramionami.

- Biercie je. - Wskazuje pistoletem w naszą stronę, a potem na wyjście z komory. - Ruszać się.

Mrugam zaskoczona, kiedy rusza w stronę drzwi. Byłam pewna, że zabiją nas na miejscu. Z pewnością nie zamierzają puścić nas wolno. Coś tu nie gra. Próbuję ściągnąć na siebie wzrok Nicole, by jej to zasygnalizować, ale ona biegnie do Noi, którego mężczyzna puścił. Nie odwracając się, szybko zmierza do wyjścia, mocno przytulając do siebie syna.

Idąc za nią z komory, rozmyślam gorączkowo. Ci mężczyźni zaraz uciekną z ostatnimi dwiema butelkami wina. Trudno. Najważniejsze jest bezpieczeństwo Nicole i dziecka. Potem zastanowię się, co dalej.

Wychodzę na skalną półkę biegnącą nad otchłanią. W połowie drogi Iwan zatrzymuje się i odwraca do Turka, który idzie ze mną.

- Tutaj? - pyta Turek, a Iwan kiwa głową.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Jednak chcą nas zabić, strącić w otchłań. Nicole odwraca się do mnie, najwyraźniej nie rozumiejąc, co się dzieje. Na widok mojej miny ze zgrozą szeroko otwiera oczy. Turek wyjmuje pistolet. Nicole krzyczy i odwraca się, chcąc własnym ciałem zasłonić Noę. Mężczyzna nieruchomieje, jakby nagle się zawahał, czy zastrzelić dwie bezbronne kobiety i dziecko. Korzystając z tej chwili niepewności, wytrącam mu spod pachy butelkę wina, myśląc, że się stłucze. Ona jednak z cichym turkotem turla się po półce.

Turek gwałtownie odwraca głowę w jej stronę, a kiedy się po nią rzuca, ja próbuję wyrwać mu broń. Potykam się i upadam na kolana.

Łapię butelkę pierwsza i uchwyciwszy jedną ręką za szyjkę, staram się trzymać ją poza zasięgiem rąk Turka. Szarpiący się ze mną mężczyzna spycha mnie coraz bliżej krawędzi przepaści.

Rozpaczliwie próbuję chwycić się skały, zapieram się stopami w ziemię, bezskutecznie usiłując znaleźć punkt oparcia, żeby nie spaść. Odruchowo puszczam butelkę, która leci w stronę krawędzi. Turek znowu się po nią rzuca, tym razem tracąc równowagę.

- Aaaa! - wrzeszczy, machając rękami i chwiejąc się. Chwyta mnie za koszulkę i pociąga za sobą w przepaść.

Jestem zbyt zaskoczona, by krzyczeć. A więc to już koniec - jakiś spokojny głos odzywa się w mojej głowie, kiedy pędzimy przez mrok. Zrobiłam, co miałam do zrobienia. Odnalazłam Jareda i odpowiedzi na wszystkie pytania. Czas na chwilę zatrzymuje się w miejscu, potem ogarnia mnie uczucie lekkości. Zastanawiam się, jak jeszcze daleko do dna.

Nagle uderzam w coś twardego. Ból przeszywa całe moje ciało. Wylądowałam na niewidocznej z góry półce wystającej ze ściany jaskini parę metrów niżej. Jęczę, gdy sekundę później Turek ląduje na mnie, całym swym ciężarem wbijając mnie w podłoże. Już się nie waha, natychmiast zaciska ręce na moim gardle.

Na oślepie sięgam po jego broń. Wtedy puszcza moją szyję, przytrzymuje palcami moje, gdy próbuję skierować lufę w jego stronę. Rozlega się wystrzał.

Kiedy się ze mnie stacza, wiem, że dostał. Biorę głęboki wdech i mocno kopię go w klatkę piersiową, strącając z półki. Jego krzyk cichnie, gdy mężczyzna spada w przepaść. Parę chwil później rozlega się głośnie łupnięcie, a po nim zapada cisza.

- Jordan! - krzyczy Nicole.

Nade mną jasnowłosa mężczyzna popychają na krawędź półki. Nicole rozpaczliwie próbuje utrzymać równowagę, jednocześnie mocno przyciskając do siebie Noę. Rozglądam się. Jestem ponad trzy metry pod nimi, nie mam się czego chwycić, by wdrapać się na górę. Nie mogę też strzelić do mężczyzny, nie narażając przy tym Nicole i dziecka.

- Trzymaj się! - wołam.

Nie odpowiada. Stoi jak sparaliżowana, przyciskając do siebie dziecko, z zamkniętymi oczami, bezgłośnie odmawiając modlitwę.

Przy wejściu rozlega się nagły ryk i pojawia się jakaś postać. Ari! Na jego widok serce wyrywa mi się z piersi. Jak on nas znalazł?

Jednym zwinnym ruchem Ari odpycha Nicole i Noę na bezpieczne miejsce pod ścianą, po czym rzuca się na jasnowłosego mężczyznę i zwała go z nóg. Mężczyzna jest jednak większy i cięższy, przetacza się na Ariego i przygważdża go do ziemi.

Siłują się ze sobą całą wieczność. Wreszcie Ari potężnym ruchem spycha przeciwnika z półki. Odskakuję i przywieram do ściany, kiedy mężczyzna leci w dół i po chwili dołącza do swojego współnika na dnie przepaści.

- Jordan?! - Ari woła z góry. Jego spanikowany głos odbija się echem od ścian jaskini. - Tutaj.

Prostuje się i szeroko otwiera oczy, na jego twarzy pojawia się ulga. Zeskakuje na moją półkę, miękko lądując obok mnie na ugiętych kolanach.

- Nic ci nie jest?

- N-nie. - Próbuję złapać oddech. - Ale jak ty...

- Nicole odnalazła mnie w Zante, zanim poszedłem pod podany adres. Powiedziała, że dostałem fałszywe informacje - wyrzuca z siebie zdyszany. - Wymyśliliśmy, że da mi wino, a ja dam jej pieniądze na spłatę długów. Poszedłem, żeby załatwić transfer, lecz Nicole zniknęła. Początkowo myślałem, że stchórzyła, ale kiedy dotarłem do Jareda, dowiedziałem się, że Noa został porwany, i domyśliłem się, że ludzie Santiniego mają Nicole. Więc...

- Ari! - Nicole woła z góry. W wejściu do komory stoi Iwan, pochyla się nad czymś. Kiedy podpala lont, uświadamiam sobie, że to dynamit. Wysadzenie jaskini w powietrze pewnie było ich planem awaryjnym. Iwan wstaje i bierze ostatnią butelkę wina, którą upuścił Turek. Potem mija Nicole i wybiega z jaskini.

- Nicole, uciekaj! - krzyczę. Nicole z rozpaczą ogląda się za siebie i pędzi z dzieckiem do wyjścia. Ari podnosi mnie nad głowę i wpycha na górną półkę. Wdrapuję się na nią i odwracam, żeby mu pomóc, ale on macha ręką i z zaskakującą zwinnością wspina się, znajdując oparcie w niszach i szczelinach w gładkiej skale, których nawet nie zauważyłam.

Ruszam w stronę wyjścia. Oglądam się za siebie, myśląc, że Ari jest tuż za mną. On jednak biegnie na drugi koniec półki i sięga po dynamit z tłącym się lontem.

- Ari, nie...!

- Uciekaj! - rozkazuje mi, podnosi dynamit i biegnie na krawędź półki, by wrzucić go w przepaść. - Szybko!

Desperacko pędzę do wyjścia. Kiedy dobiegam do głównej komory, rozlega się ogłuszający huk. Padam na ziemię i ogarnia mnie ciemność.

Przez parę sekund leżę w mroku, nie mogąc się ruszyć. Czy ja żyję?

Przytomnieję, gdy ostry ból przeszywa moje ramię. Czując pod powiekami światło dzienne, otwieram oczy. Leżę na rozmokłej ziemi w głównej komorze jaskini. Nicole stoi nade mną, wciąż trzymając Noę, próbuje mnie podnieść. Za nią widzę bezchmurne niebo.

Ciągnie mnie za rękę.

- Wstawaj! - mówi, jakby upominała leniwe dziecko, ale w jej głosie brzmi desperacja.

Robię wdech, moje płuca wypełniają się kurzem i dymem. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest Ari wrzucający dynamit do przepaści. Gdzie on jest? Zrywam się na równe nogi i ruszam z powrotem do jaskini.

- Jordan, nie. - Nicole mnie przytrzymuje. Z wnętrza groty dochodzi głuchy, niski pomruk. - Ściany się zawaliły. Tam nie jest bezpiecznie.

- Ale ja muszę... - Wrywam się jej i wbiegam w głąb jaskini.

- Wracaj! - woła za mną. - Już po nim. Jaskinia runie lada chwila. Powrót tam to samobójstwo!

Jej wołanie niknie w oddali, kiedy zbliżam się do tunelu prowadzącego do skalnej półki, usiłując coś dojrzeć w mroku i kurzu.

- Ari? - wołam. Cisza. - Ari?! - Tym razem już krzyczę, a mój głos odbija się echem od ścian. Z drugiego końca wąwozu dochodzi jakiś dźwięk. - To ty?

Jedyną odpowiedzią jest niezrozumiałe mamrotanie.

- On żyje! - wołam przez ramię.

- Poczekaj, sprowadzę pomoc - odpowiada Nicole, jej głos niknie w oddali. Nie mogę jednak czekać, lada chwila cała jaskinia może się zawalić.

Przesuwając dłońmi po ścianie, wystawiam jedną stopę do przodu. I wtedy się zatrzymuję. Półka, która łączyła wejście do jaskini z górną komorą, została zniszczona w wybuchu. Już przedtem wąska, teraz ma połowę pierwotnej szerokości: zaledwie kilkanaście centymetrów skały niebezpiecznie wiszącej nad przepaścią.

Robię głęboki wdech i ostrożnie wchodzę na półkę, centymetr po centymetrze posuwam się do przodu. Ziemia kruszy się pod moimi stopami. Chwytam się ściany za plecami, idę tak szybko, jak pozwala mi ta niepewna droga. Zbliżając się do jej końca, widzę jakąś postać pod zwałami gruzu.

- Ari! - Klękam przy nim. Patrzy na mnie oszołomiony.

- Jordan?

- Jesteś cały?

- Tak, tylko to... - Jego noga utknęła między dwoma kamulcami.

- Złamana?

- Nie, ale poczekaj. - Wskazuje na większy głaz wciśnięty w pozostałości z wejścia do górnej komory. - Ta skała podtrzymuje sklepienie. Jeśli ją poruszysz, cała komora się zapadnie.

- Muszę cię stąd wydostać! Kręci głową.

- Możesz zginąć. - Łapie mnie za nadgarstek. - Nie pozwolę ci na to.

- Nie zostawię cię tutaj.

Patrzemy na siebie z gniewem, kolejna bitwa o to, czyja wola okaże się silniejsza.

- Słuchaj - próbuję znowu - musimy się śpieszyć. Lada chwila jaskinia się zapadnie i wtedy oboje zginiemy.

- W takim razie uciekaj.

- Nie ma mowy. Na trzy przesunę ten największy głaz i uciekniemy oboje. - Widzę, że z wahaniem spogląda ponad moim ramieniem na wąskie przejście nad przepaścią. Przypominam sobie, że ma lęk wysokości - to jego jedyna słabość. - Dasz radę. Pomogę ci.

W oczach Ariego pojawia się lekki błysk, jakby bardzo chciał mi uwierzyć. Z głębi jaskini znowu dobiega pomruk, tym razem głośniejszy, jeszcze bardziej złowieszczy.

- Dobrze - zgadza się wreszcie.

- Gotowy? Na trzy. Raz... dwa... trzy... - Całym ciałem napieram na głaz. Ani drgnie.

Ari podnosi rękę.

- W porządku. Zrobiłaś, co mogłaś.

- Nie... - Nie zamierzam się poddać. Łzy napływają mi do oczu. Nie mogę go stracić, nie w ten sposób.

W desperacji robię głęboki wdech i próbuję ponownie, zapieram się nogami, z całych sił nacieram na głaz. Przesuwa się z trzaskiem, a sklepienie nad nami zaczyna się obniżać.

- Teraz! - Ari uwalnia nogę, a ja pomagam mu się podnieść. Nagle jednak nieruchomieje i spogląda w dół na kruszącą się półkę. - Nie patrz, po prostu idź za mną. - Ściskam jego dłoń i popycham go do przodu.

Kiedy docieramy na drugą stronę przepaści, rumor za nami przechodzi w ogłuszający ryk. Przed sobą widzę światło, czuję słone powietrze.

- Biegnij! - woła Ari. Rzucamy się w stronę wyjścia i lądujemy twarzami na płyciźnie. Sekundę później jaskinia zaczyna drżeć i cała jedna ściana wali się, zamykając wyjście za nami.

Leżymy nieruchomo na piasku, dysząc ciężko, woda omywa nasze ciała. Spoglądam na jego twarz: na czole ma parę skaleczeń i siniaka na kości policzkowej. Nasze spojrzenia się krzyżują.

- Przepraszam, że cię zostawiłam - mówię. - Kiedy się dowiedziałam, że pracujesz dla Mossadu, pomyślałam, że...

- Pomyślałaś, że cię zdradziłem, chociaż przyrzekliśmy sobie szczerość.

- Tak - przyznaję. Dotykam jego ramienia, czuję ciepło jego skóry pod podartym T-shirtem. - Ale odnalazłam Nicole, która opowiedziała mi całą historię, łącznie z tym, że jesteście rodziną.

Spogląda na mnie z niepewną miną.

- Przepraszam, że ci o tym nie powiedziałem. Myślałem, że jeśli się dowiesz...

- Wszystko w porządku - mówię zupełnie szczerze. Wciąż jest mi okropnie przykro, że zataił przede mną prawdę, ale na jego miejscu pewnie postąpiłabym tak samo. Robiąc mu wymówki, zachowałabym się jak hipokrytka.

Przyciąga mnie do siebie, obejmuje silnymi ramionami i całuje. Chłonę jego znajomy zapach przebijający się przez woń krwi i potu.

Po chwili odsuwam się, przypominając sobie o Nicole. Stoi dyskretnie parę metrów dalej, tyłem, żeby Noa nas nie widział.

Odwracam się do Ariego.

- Co ci strzeliło do głowy z tym dynamitem? - pytam, nagle rozzłoszczona. - Chyba oszalałeś. Mogłeś zginąć.

- Dzięki - odpowiada, jakby usłyszał komplement. - Nawiasem mówiąc, ładny kolor...

Podnoszę rękę do włosów i przypominam sobie, że utleniłam je sobie na blond.

Znowu wyciąga do mnie rękę, ale nie udaje nam się pocałować, bo nad nami pochyła się Nicole.

- Ari, dzięki Bogu - mówi. Klęka i ostrożnie kładzie Noę na ziemi. Ari siada i przesuwa dłońmi po jego klatce piersiowej i kończynach, szybkimi, zwinnymi ruchami szukając ran. Uspokojony, zwraca się do Nicole.

- Co się stało?

- Złapali mnie przed bankiem.

- Tyle się domyśliłem - mówi ponuro. - Nie powinniśmy się rozdzielać.

- To by nic nie zmieniło. Mieli Noę. I chcieli nie pieniędzy, tylko wina - dodaje.

Patrzy na mnie dziwnym wzrokiem.

- Dałaś im wino?

- Musiałam. - Na jego twarzy pojawia się rozczarowanie. - Ale co dziwne, nie wzięli go, tylko stłukli wszystkie butelki. Dlaczego?

- Dlaczego waszemu rządowi tak zależy na tym winie? - wtrącam. Ari odwraca się do mnie.

- Pamiętasz, co signora Conti nam o nim powiedziała? Była to część transakcji. Niemcy mieli dostać wino w zamian za żydowskich robotników.

- Oczywiście, że pamiętam. W ostatniej chwili ktoś podmienił wino na gorszy gatunek i ci Żydzi zginęli.

- Tak, ale nie powiedziała, że François Mercier, wieloletni przyjaciel Contich, sympatyzował z nazistami i był spekulantem.

- Ten burmistrz? Ari kiwa głową.

- Ten, który załatwił wypuszczenie Żydów. To on podmienił wino na gorsze i ukradł Cerfberre rocznik czterdziesty trzeci. Później kolaborował z Niemcami na jeszcze większą skalę. Pozwolił, żeby w jego mieście stworzono punkt etapowy transportu Żydów do obozów koncentracyjnych. Za jego sprawą tysiące Żydów posłano na śmierć.

Przez ponad sześćdziesiąt lat nikomu nie udało się ustalić jego bezpośredniego udziału w tych wydarzeniach, żył sobie wygodnie z rządowej pensyjki, już nie wspominając o fortunie, jaką zbił na Żydach. Ostatnio rządy Izraela i Francji zaczęły współpracę mającą na celu zdemaskowanie go i oskarżenie o przestępstwa wojenne. Cerfberre Bordeaux, które zdaniem Merciera nigdy nie istniało, to kluczowy dowód w tej sprawie.

Nicole wstrzymuje oddech.

- Nie miałam o tym pojęcia. Myślałam, że to po prostu cenne wino, i chciałam jak najszybciej załatwić tę sprawę. Nie wiedziałam o żadnych przestępstwach wojennych.

- Nikt o nich nie wiedział - uspokaja ją Ari. - To odkrycie było ściśle tajne. Nie chcieliśmy, żeby Mercier się o wszystkim dowiedział i zwił do kraju, w którym nie uznaje się ekstradycji.

- A więc ci ludzie, którzy porwali Noę i chcieli zniszczyć wino...
- Muszą mieć jakiś związek z Mercierem - kończę za nią.
- Mercier pewnie się dowiedział, że Cerfberre Bordeaux zostało odnalezione - dodaje Ari. - Gdybym tylko dotarł tu szybciej, nie zniszczyliby wszystkich butelek i...

- Nie - przerywam mu. - To znaczy, nie zniszczyli wszystkich butelek. - Ari ze zdumienia aż otwiera usta. - Większość przepadła -wskazuję na zawalone wejście do jaskini - ale myślę, że ten facet, któremu udało się uciec, ma jedną.

Ari zrywa się na równe nogi, krzywi z bólu i zwraca się do Nicole:

- Zaczekaj tu z Noą. - Nicole jeszcze mocniej przyciska do siebie synka. - Ty też zostań - mówi do mnie.

Podnoszę się szybko.

- Nie ma mowy.

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby chciał zacząć się ze mną kłócić, ale w końcu uświadamia sobie, że w ten sposób tylko zmarnowałby cenny czas.

- Chodźmy. - Rusza plażą.

- Dokąd idziemy? - pytam.

- Kiedy tu płynąłem, widziałem jacht, którym przyплыnęli ci mężczyźni. Stoi tuż za następną skarżą.

- Nie powinniśmy popłynąć tam twoim jachtem?

- Nie ma na to czasu. Zaczumowałem przy domu Jareda i Nicole. Myślę o Jaredzie. Jeszcze nie wie, że jego syn został uratowany. Ari zaczyna biec, a ja pędzę za nim. Żadne z nas już się więcej nie odzywa. Pomimo obolałej nogi porusza się zdumiewająco szybko. Próbuję nadążyć za nim, choć w ramieniu czuję pulsujący ból. Wbiegamy w zakręt prowadzący do następnej odnogi, ten, którego nie widziałam, idąc lądem z Jaredem. Znajduje się tam mały port, pozornie zupełnie pusty.

Przy końcu pomostu stoi jacht, większy od tego, którym z Arim przyплыnęliśmy z Triestu. Na burcie, napisane niebieską kursywą, widnieje imię „Ella”. Brzmi znajomo.

Ari pędzi w stronę jachtu.

- Poczekaj tutaj! - woła przez ramię, wchodząc na pokład.

Ignoruję go i biegnę dalej. Kiedy znajduję się już na końcu pomostu, Ari wspina się po drabince na tylny pokład, na chwilę nieruchomieje, żeby rozejrzeć się po łodzi, która wydaje się pusta, po czym stawia jedną nogę na pokładzie.

Nie udaje się nam obojgu wejść na pokład, bo nagle za Arim pojawia się Iwan.

- Uważaj! - wołam.

Ari robi obrót, ale zraniona noga spowalnia jego ruchy. Iwan łapie go i rzuca na pokład. Pędzę w stronę jachtu. Rozlega się odgłos wystrzału.

- Ari! - krzyczę przerażona, że został postrzelony. Kiedy jednak drugi pocisk ze świstem przelatuje tuż koło mojej głowy, tym razem bliżej, uświadamiam sobie, że i pierwsza kula była przeznaczona dla mnie.

Schylam się i rozglądam po pokładzie. Iwan wciąż walczy z Arim, więc strzał musiał oddać ktoś inny. Żałuję, że nie mam przy sobie broni, jakiegokolwiek. Nisko pochylona, wciąż zbliżam się do jachtu. Potem puszczam się biegiem i wspinam na rufę.

Ari leży na plecach, walcząc z Iwanem o swój pistolet. Ostatnia butelka wina leży na pokładzie zaledwie parę kroków dalej. Ruszam do przodu, nie bardzo wiedząc, jak pomóc Ariemu. Odgania mnie ręką i sięga do paska, który okazuje się pusty. Pewnie podczas wybuchu stracił broń. Spogląda na mnie, ale ja bezradnie kręcę głową, jakbym mówiła: „Ja też straciłam pistolet”. Szeroko otwiera oczy, kiedy uświadamia sobie, że oboje jesteśmy nieuzbrojeni.

Nagle, zupełnie jakby wstąpiły w niego nowe siły, przetacza się na Iwana, przyszpila go do pokładu, łapie za szyję i przekręca. Rozlega się ohydny trzask i ciało Iwana wiotczeje. Na twarzy Ariego pojawia się przerażenie i odraza do samego siebie, a ja w tej chwili dowiaduję się wszystkiego, co chciałam wiedzieć o jego pracy dla rządu Izraela, o tym, czego go nauczyli.

Zrywa się na równe nogi i bierze butelkę wina z pokładu za martwym Iwanem.

- Chodźmy.

Nagle za mną rozlega się jakiś hałas. Kiedy się odwracam, z kabiny wychodzi mężczyzna. Skacze na mnie jak kot, a ja zastygam, czując na szyi ostrze noża, zimne i stalowe.

- Wino - syczy mężczyzna do Ariego.

Ari spogląda na pistolet leżący obok ciała Iwana, uświadamia sobie, że powinien był go podnieść, zanim wziął butelkę. Potem odwraca się, przez chwilę się waha, jest gotowy oddać wino, jeśli to ma ocalić mi życie.

- Nie rób tego - mówię, przypominając sobie, że Iwan i jego wspólnicy i tak zamierzali nas zabić, kiedy już dostali wino.

Ari podaje mężczyźnie butelkę, a kiedy ten wyciąga po nią rękę, Ari próbuje mnie chwycić. Mężczyzna trzyma jednak mocno, przyciska nóż do mojej szyi, gotów skończyć to, co zaczął. Zamykam oczy, czekając na ból.

- Wystarczy - z mostku dobiega znajomy głos. Mężczyzna nagle rozluźnia uścisk i opuszcza rękę. Zaskoczona otwieram oczy i patrzę na mostek.

Nagle uświadamiam sobie, gdzie słyszałam imię „Ella”. Nad nami stoi signor Conti.

- Co on tu robi?

- Kristof, wszystko w porządku - mówi Conti, schodząc na pokład. - Nie musimy zachowywać się jak barbarzyńcy. Puść ją. - Mężczyzna wykonuje jego rozkaz, a ja biegnę do Ariego, który stoi jak wryty, zbyt oszołomiony, by się ruszyć.

- Signor Conti? - mówi z mieszaniną zdumienia i niedowierzania. - Nic z tego nie rozumiem.

Nagle wszystkie elementy układanki wskakują na swoje miejsce. Signor Conti musiał stać za tym wszystkim. To on wysłał mężczyzn, żeby zniszczyli wino. I to on musiał w jakiś sposób za pośrednictwem osób trzecich przekazać Ariemu fałszywe informacje na temat miej-

sca pobytu Nicole. Celowo wysłał Ariego do siedziby mafii w Zante. Ale dlaczego? Bo z jakiegoś powodu chciał zniszczyć dowody zdrady Merciera. A teraz, kiedy go zobaczyliśmy, będzie chciał zniszczyć i nas.

- Ari... - zaczynam, próbując go ostrzec, ale Ari wciąż w osłupieniu patrzy na Contiego, nie mogąc albo nie chcąc przyjąć do wiadomości zdrady ze strony swojego wieloletniego przyjaciela.

Signor Conti podchodzi do nas i bierze butelkę wina z rąk Kristo-fa, który nie protestuje.

- Poproszę nóż - mówi uprzejmie.

Kristof posłusznie oddaje mu nóż, a wtedy signor Conti jednym płynnym gestem podrzyna mu gardło.

Thumię krzyk, kiedy tryska na nas krew. Kristof łapie się za szyję i pada na pokład, jaskrawoczerwona krew cieknie między jego palcami.

Signor Conti rzuca nóż, który z brzękiem pada na pokład. Potem przestępuje nad martwym mężczyzną i podchodzi do Ariego.

- Już dobrze, mój drogi. Całe szczęście, że przyszedłem. Chciałem uratować wino i was.

Ari wpatruje się w niego takim wzrokiem, jakby wbrew wszystkiemu chciał mu uwierzyć.

- On kłamie! - krzyczę. Obaj odwracają się do mnie. - To on wysłał tych ludzi, żeby zniszczyli wino.

- Czy to prawda? - pyta Ari.

Widzę, że signor Conti w pierwszej chwili chce zaprzeczyć, jednak zmienia decyzję.

- Masz rację, moja droga - mówi tak spokojnie, jakbyśmy znowu w jego domu degustowali wino przy śniadaniu. - Aaronie, ta kobieta jest piękna i mądra. Powinieneś się jej trzymać.

- Dostyc. - Ari stara się mówić stanowczym tonem, lecz głos mu drży. - Powiedz nam wszystko.

Signor Conti z rezygnacją opuszcza ramiona.

- Ella. Zrobiłem to dla niej.

Ari marszczy brwi.

- Nie rozumiem.

- Kiedy odnaleziono wino, wiedziałem, że wkrótce powiązanie jej rodziny z tą sprawą zostanie odkryte i prawda ujrzy światło dzienne. Nie mogłem pozwolić na to, by moja ukochana Ella przeżyła takie upokorzenie.

Ari i ja wymieniamy zaintrygowane spojrzenia: przecież rodzina signory Conti zginęła dlatego, że wino zniknęło. Dlaczego jego odnalezienie miałoby okazać się dla niej szkodliwe?

- Zostało mi tylko kilka miesięcy życia. - Kaszle, jakby chciał udowodnić prawdziwość swoich słów.

- Przed śmiercią chciałem jeszcze zadbać o jej dobro.

- A co z moim dziadkiem? - pyta Ari. - Co z długiem wdzięczności?

- Twój dziadek pomógł mojej rodzinie i za to zawsze będę mu wdzięczny. Ale to było tyle lat temu. Zmarł... a ja muszę zadbać przede wszystkim o Ellę. Nie spodziewałem się, że się w to wmieszasz. Jesteś dobrym chłopcem i bardzo mi przykro, że do tego doszło.

W oczach Ariego zapala się światełko, kiedy wreszcie dociera do niego pełna skala zdrady Contiego.

- To już koniec, signor Conti - mówi spokojnie, robiąc krok do przodu, nawet w takiej chwili okazując mu szacunek. - Proszę oddać mi wino. - Porusza się powoli, ale zwinnie, nie chcąc spłoszyć starca, który mógłby zniszczyć ostatni dowód.

- Daj spokój, synu. - Signor Conti znowu mówi przymilnym tonem. - Po co rozgrzebywać przeszłość? Opuść sobie. Wtedy ty i twoja piękna przyjaciółka będziecie mogli odejść.

Ari zerka na mnie kątem oka, jakby rozważał obietnicę Contiego i zastanawiał się, czy po wszystkim, co ten starzec zrobił, można zaufać jego słowom. Wie jednak, że Conti nie puści nas wolno, skoro poznaliśmy prawdę o rodzinie jego żony. Będzie musiał nas zabić, żeby tajemnica nie wyszła na jaw.

- Ari, nie rób tego - mówię.

Ari już łapie butelkę wina, próbując wyrwać ją Contiemu, lecz starzec trzymają z zadziwiającą siłą, przyciskając do ciała. Drugą ręką sięga pod marynarkę.

- Ma broń! - krzyczę.

Conti wyjmuje jednak coś małego i okrągłego. Kiedy wyciąga zawleczkę, uświadamiam sobie, że to granat. Jeśli nie może uciec z winem, to zniszczy je - i zabije nas wszystkich.

- Nie! - woła Ari, rzucając się po granat. Signor Conti podnosi rękę, by Ari nie mógł go dosięgnąć. W tej samej chwili butelka wina wypada mu spod pachy i leci w stronę burty. - Jordan! - krzyczy Ari, wciąż próbując wyrwać granat Contiemu.

I nagle wydarzenia zaczynają się toczyć jak w zwolnionym tempie. Z wahaniem przenoszę wzrok z Ariego na wino, a potem znowu na Ariego. W pierwszym odruchu chcę mu pomóc unieszkodliwić Contiego, nie dopuścić do wybuchu granatu. Wiem jednak, że to mi się nie uda i że Ari wolałby, żebym uratowała wino.

Biegnę do burty i rozglądam się po powierzchni wody. Butelka dryfuje jakieś trzy metry od jachtu, odpływa w głąb morza. Jeszcze parę sekund i na zawsze utracimy ten ostatni cenny dowód. Rozglądam się po plaży z nadzieją, że Nicole nie posłuchała nakazu Ariego, przyszła za nami i pomoże nam odzyskać butelkę. Niestety plaża jest pusta.

Biorę głęboki wdech, przechodzę przez burtę i wskakuję do morza, moje ubranie natychmiast nasiąka lodowatą wodą. Staram się nie młócić rękoma, tylko poruszać nimi spokojnie i utrzymać głowę nad wysokimi falami. Walcząc z chęcią odwrócenia się i spojrzenia na Ariego, próbuję dopłynąć do butelki.

Łapię ją, ale wyślizguje mi się z rąk i odpływa nieco dalej. Dysząc ciężko, dopadam ją i chwytam mocno za szyjkę. Potem, poruszając tylko jedną ręką i płynąc o wiele lepiej, niżbym się o to podejrzewała, wracam do jachtu.

I wtedy następuje wybuch.

Rozlega się przeraźliwy huk, a po nim bucha chmura rozżarzonego powietrza. Siła eksplozji odrzuca mnie do tyłu. Odruchowo zanurzam się pod wodę, która teraz chroni mnie przed deszczem części jachtu. Słona woda wlewa mi się do nosa i ust. Rozpaczliwie młóczę rękami, już nie bacząc na technikę pływania, i z całych sił staram się wydostać na powierzchnię. Wreszcie udaje mi się to i gorączkowo łapię powietrze, aż moje płuca wypełniają się gęstym, czarnym dymem. Jacht zniknął, pozostały tylko szczątki kadłuba i roztrzaskane kawałki drewna unoszące się na ogromnej powierzchni wody.

Z paniką myślę o Arim. Rozglądam się, ale nigdzie go nie dostrzegam.

- Jordan! - rozlega się wołanie. Odwracam się i widzę Ariego, który płynie do mnie, spokojnie, miarowo poruszając rękami i nogami. Ostatkiem sił unoszę się nad wodą, aż wreszcie dopływa do mnie i padam w jego ramiona.

- Signor Conti? - pytam.

- Zginął - odpowiada.

- Miałam wino - zaczynam przeproszającym tonem - ale po wybuchu odpłynęło. Może znajdzie się inny sposób. Mogłabym zeznać, że je widziałam.

On jednak ucisza mnie, przyciskając usta do moich, po czym odsuwa się z uśmiechem.

- O co chodzi? - pytam.

Wskazuje nad moim ramieniem. Trzy metry dalej, między dwoma kawałkami drewna, na wodzie unosi się ostatnia butelka wina.

Godzinę później za zakrętem ukazuje się dom Jareda. Jared stoi na werandzie, dłonią osłaniając oczy przed słońcem i obserwując horyzont. Kiedy nas dostrzega, zaczyna biec w naszą stronę, mija nas, jakby w ogóle mnie nie zobaczył, a ja przypominam sobie sen, w którym niczym duch przejechał przeze mnie na rowerze. Porywa Nicole i Noę w ramiona, wykonuje obrót i mocno ich do siebie przytula - rodzina znowu jest razem.

Odwracam wzrok, czując się jak intruz. Ari staje za mną i chociaż mnie nie dotyka, czuję na głowie jego ciepły oddech.

Spoglądam na niego i przez chwilę stoimy tak w krepującym milczeniu. A więc jednak działał po słusznej stronie. Przeszłość do tego stopnia mnie zraniła, że pochopnie wyciągnęłam wnioski, znowu dopatrując się zdrady. Tym razem jednak nie zostałam zdradzona.

Mimo to było wiele pytań, na które jeszcze nie znam odpowiedzi.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie mogłem. Nie wiedziałem, czy mogę ci zaufać. A potem... -Przygryza dolną wargę. - Wydawało mi się, że czekam za długo, że ukrywam przed tobą coś, czym już dawno temu powinienem był się z tobą podzielić. Poza tym wiedziałem, że z powodu Jareda masz do załatwienia sprawy z Nicole. Nie miałem pojęcia, jak zareagujesz na fakt, że jesteśmy spokrewnieni, albo na to, że pracowałem dla Mossadu.

Rozmyślałam o jego odpowiedzi. Z jednej strony przykro mi, że ukrywał te informacje, ale przypominam sobie, że tacy już jesteśmy. Praca w wywiadzie i sekrety z nią związane to waluta, jaką się posługujemy. Na jego miejscu zrobiłabym to samo.

- W porządku - mówię uspokajająco.

- Na pewno? Bo kiedy mnie zostawiłaś, myślałem... - Nie kończy.

- Wiem. - Myślał, że to już koniec, że odeszłam na zawsze. - Ja też tak myślałam. - Mam ochotę spytać, czy zamierzał mnie szukać, czy wolał sobie odpuścić. - Kiedy odkryłam, że mnie okłamałeś...

- Nie okłamałem cię - przerywa mi. - To znaczy powiedziałem tyle, ile mogłem - że pracowałem dla kogoś, kto szukał Nicole i że miało to związek z winem. Po prostu nie mogłem powiedzieć ci wszystkiego. - Od początku pracowałeś dla Mossadu?

- Nie, naprawdę byłem w wojsku. Po zbombardowaniu szkoły odosobniono nas na parę tygodni. Najpierw zrobili odprawę, a potem zakazali mówić o tym, co się stało. Ta historia nie przeciekła do mediów. Powiedzieli nam, że jeśli ktoś się dowie, zostaniemy osądzeni jak przestępcy. Nie udźwignąłem tego stresu. Wpadłem w depresję i na parę tygodni trafiłem do szpitala psychiatrycznego. - Z wyrazu jego twarzy domyślałam się, że nadal wstydzi się tego epizodu, który uważa za przejaw słabości. - Niedługo po tym, jak wyszedłem ze szpitala, odwiedziło mnie dwóch wysokich rangą oficerów. Powiedzieli, że z powodu tego, co się stało, mogę się pożegnać z wymarzoną karierą w armii. Zaproponowali mi jednak szkolenie dla agentów wywiadu. Odmówiłem. Chciałem wracać do domu, do rodziny. Potem eksplodował niewypał i zginęła moja żona z córką. Nic mi nie zostało. Więc się zgodziłem.

Wstrzymuję oddech.

- Myślisz, że to oni...?

- Że to rząd zamordował moją rodzinę, by mnie całkowicie odizolować od otoczenia i postawić w sytuacji bez wyjścia? Początkowo brałem to pod uwagę, ale kiepski ze mnie wyznawca spiskowej teorii dziejów. To był wypadek... nie mieli na to wpływu, prawda?

Pyta niewłaściwą osobę. Ja już nie wątpię, że rząd mógłby się posunąć do najgorszych działań. Ale oczywiście nie mogę mu tego powiedzieć.

- A więc zostałeś.

- Tak. Wyszkolili mnie do zadań specjalnych. Od tamtej pory pracowałem na całym świecie, szkoliłem jednostki paramilitarne, podej-

mowałem się różnych misji. Robiłem takie rzeczy... - Odwraca wzrok. - Myślałem, że nie mam wyboru.

Zawsze jest jakiś wybór, ale wiem, co Ari ma na myśli. Kiedy zostajesz zupełnie sam, misja staje się twoim jedynym celem w życiu, tłumi ból.

- Naprawdę zrezygnowałem z pracy dla rządu. W zeszłym roku odszedłem z Mossadu - mówi, znękany wspomnieniami. - Nie mogłem już tego znieść. Ta praca mnie wykańczała, czułem, że znowu wpadam w depresję. Wiedziałem, że jeśli będę ciągnął to dalej, rozchoruję się albo umrę. Odszedłem więc. Jakiś czas spędziłem na wodzie, żeglując i próbując poukładać sobie wszystko w głowie. Parę miesięcy temu, kiedy zacumowałem na Sycylii, agencja się ze mną skontaktowała.

To brzmi znajomo. Przypomina mi się moje spotkanie z agentami CIA w Wiedniu. Powinno powiedzieć o tym Ariemu - i powiem we właściwym czasie. Teraz nie chcę mu przerywać.

- Zaproponowali, żebym wrócił i podjął się ostatniego zadania -ciągnie. - Nie była to moja działka, ale ponieważ byłem spokrewniony z Nicole, idealnie pasowałem do tej misji. Potrzebowali mnie, bo tylko ja mogłem do niej dotrzeć i przekonać ją, żeby oddała wino. Nie chciałem tego robić, lecz rozumiałem znaczenie misji. Odmówiłem, ale zaoferowali mi ogromną zapłatę, wielokrotnie większą od tej, jaką zwykle dostawałem. Powiedziałem sobie, że to ostatni raz. Pomyślałem, że wpłacę tę pieniądze na konto i na zawsze odejdę z biznesu.

Ale tego nigdy nie da się zrobić. To, co robimy, w dużej mierze określa to, kim jesteśmy. Praca nas zmienia, już nigdy nie dopasujemy się do reszty świata.

- Poza tym martwiłem się o Nicole - dodaje. - Co się może stać, jeśli naślą na nią kogoś innego, a ona nie zgodzi się na współpracę.

Teraz widzę, że wszystkie te elementy składały się dla niego w spójną całość: trudna misja, godziwa zapłata i szansa na zapewnienie bezpieczeństwa Nicole.

- A co ze mną?

Niespokojnie przestępuje z nogi na nogę.

- Nasze spotkanie w Monako nie było zwykłym zbiegiem okoliczności. Nasz rząd zdobył informacje na temat twojego zlecenia w Londynie i faktu twojej rezygnacji. Wiedzieliśmy, że Jared i Nicole są ze sobą związani i myśleliśmy, że nas do nich doprowadzisz, bo ja nic nie wiedziałem o ich miejscu pobytu. Tego jednak nigdy się nie spodziewałem. - Wskazuje na siebie, a potem na mnie - wiem, że chodzi mu o uczucie, które nieoczekiwanie się między nami pojawiło.

- Ale... - Urywam, rozdarta między gniewem o to, że był ze mną nieszczerzy, a zaskoczeniem, że przyznał się, iż coś do mnie czuje. - W porządku - mówię w końcu.

Jego twarz lekko się rozchmurza.

- A więc rozumiesz?

- Nie wiem, czy wszystko, ale akceptuję. I co teraz?

W tej chwili Jared i Nicole odrywają się od siebie i podchodzą do nas, niosąc między sobą Noę - zupełnie jak na zdjęciu, które widziałam na kominku.

- Jo - mówi Jared.

Wracam myślami do minionej nocy w jego domu i pocałunku, do którego nieomal doszło. Spoglądam na Nicole, dostrzegam niepokój na jej twarzy, czuję, jak mnie taksuje wzrokiem, próbując dociec, co się wydarzyło pod jej nieobecność. Niepokój ten znika jednak tak szybko, że z pewnością nikt poza mną go nie zauważył. Mruga i przyciąga do siebie Noę.

- Wszystko w porządku? - pyta Jared.

Spoglądam w dół i przypominam sobie, że na mnie i na Arim jest krew mężczyzny, którego signor Conti zabił na jachcie.

- Nic mi nie jest - odpowiadam szybko. - To nie moja krew.

- Jared. - Ari wyciąga rękę, ale Jared nie podaje mu dłoni. Z zaciśniętymi zębami wpatruje się w Ariego. Widzę, że jest wściekły. Przez chwilę zastanawiam się, czy to ma związek ze mną, z tym, że obu darzyłam uczuciem. Jednak to coś więcej: Jared obarcza odpowiedzial-

nością Ariego za narażenie jego rodziny na niebezpieczeństwo i wciąż nie chce dostrzec udziału Nicole w tej aferze.

Nicole kładzie dłoń na jego ramieniu, porozumiewając się z nim bez słów, uspokajając go, czego ja nie mogę zrobić. Wreszcie Jared niechętnie ściska wyciągniętą dłoń Ariego.

- Chodźcie do nas coś zjeść - proponuje Nicole.

- Musimy się zbierać - odmawia Ari.

- Chociaż na kawę - nalega Nicole.

- No nie wiem... - Ari spogląda na mnie pytająco. Perspektywa podwieczorku we czwórkę wydaje mi się nieskończenie niezręczna, ale dzięki temu spędzę więcej czasu z Jaredem, zanim będę musiała się z nim pożegnać. Wzruszam ramionami. - Dobrze - odpowiada Ari, zbyt uprzejmy, by odmówić.

W milczeniu ruszamy do domu.

- Za chwilę do was dołączę. - Ari wyjmuje z kieszeni telefon i odchodzi na bok. Wiem, że melduje się agencji, potwierdza, że odzyskał wino.

W domu biorę z sypialni swoją torbę, idę do maleńkiej łazienki i najlepiej, jak się da, zmywam z siebie brud. Kiedy wracam do salonu, Jared cicho rozmawia przez telefon. Nicole układa na półmisku rybę i mięso - o wiele bardziej elegancko, niż niedawno zrobił to jej mąż.

Parę sekund później Jared kończy rozmowę.

- To Myron - zwraca się do Nicole. - U niego i Eleni wszystko w porządku. - Potem mi wyjaśnia: - To nasi przyjaciele, którzy opiekowali się Noą. Znaleźiono ich, związanych w piwnicy, ale są cali i zdrowi.

- Świetna wiadomość.

Kiedy Ari wraca i oboje siadamy przy stole, Nicole i Jared krzątają się po kuchni - swobodnie, jak para, która od lat żyje w dużej zażyłości, rozmawiają cicho i śmieją się. Noa bawi się na podłodze, jakby już zapomniał, co się wydarzyło. Ari przygląda mu się, bębniąc palcami po stole. Ten widok pewnie sprawia mu ból, przypomina zmarłą có-

reczkę. Ja mogę wspominać dziecko, które usunęłam, wyobrazać sobie, jak by wyglądało, ale Ari pamięta uśmiech, ciepłe ciało, które do siebie tulił.

Wkładam rękę pod stół i ujmuję jego dłoń.

- Przykro mi. Wiem, że to dla ciebie trudne - mówię szeptem. Jego twarz się rozjaśnia, gdy Ari uświadamia sobie, że mu się przyglądałam.

- Lubisz dzieci? - pyta.

- Tak. - Przygryzam dolną wargę. - Chociaż oczywiście nie wiem, czy mogłabym mieć własne.

- Dlaczego?

- Myślę, że mój czas już minął.

- Nie jesteś za stara - upiera się.

- Wiem. - Słyszę ostrą nutkę we własnym głosie. Przez chwilę zastanawiam się, czy powiedzieć mu o aborcji, lecz rezygnuję. Nie pora na to, Jared i Nicole stoją zaledwie parę kroków od nas. - Zawsze byłam samotnikiem i egoistką - mówię tylko. - Ciągłe przenosiłam się z miejsca na miejsce, robiłam, co chciałam. Myśl o tym, że cały czas byłabym za kogoś odpowiedzialna, przeraża mnie.

- Nie wyobrażasz sobie tego, ale gdybyś już miała dziecko, nie mogłabyś żyć bez niego. Moja córeczka była najcudowniejsza na świecie. Sposób, w jaki patrzyła na mnie, jak postrzegała świat. Stracić kogoś takiego... - Przeszywa go dreszcz. Nie kończy zdania. Jeszcze mocniej ściskam jego dłoń.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to był Conti - mówi Nicole, kiedy razem z Jaredem siadają przy stole. Ariemu brak słów, tylko kręci głową. Pomimo wyznania Contiego nie potrafi pogodzić się z tym, że ten wieloletni przyjaciel rodziny okazał się zdrajcą.

- Chciał w ten sposób uchronić swoją żonę.

- Myślałam, że signora Conti była córką producenta wina. - Nicole marszczy brwi.

- Okazuje się, że nie. - Spoglądam na niego zaskoczona. - Rozmawiałem ze znajomym, który jest researcherem w Yad Vashem. Próbują jeszcze poskładać to wszystko do kupy, ale wygląda na to, że

prawdziwa Ella Cerfberre zginęła podczas wojny w Terezynie. Signora Conti nie była więc osobą, za którą się podawała, a kimkolwiek była, miała jakiś związek z winem.

Przypomina mi się zdenerwowanie Contich, kiedy odwiedziliśmy ich tamtego ranka. Myślałam, że byli roztrzęsieni po wizycie mafii, w rzeczywistości bali się nas i tego, że za bardzo przybliżamy się do prawdy.

- Signor Conti pewnie chciał zniszczyć wino, żeby ukryć tajemnicę żony - podsuwa Jared. - Wiedział, że za parę miesięcy i tak umrze. Mógł więc zrobić tylko jedno: chronić żonę, dopóki był w stanie.

- Nieprawda - wyrzucam z siebie, tonem o wiele ostrzejszym, niż zamierzałam. - Zabicie siebie i zostawienie jej samej nie ma nic wspólnego z opiekuńczością. - Wbijam wzrok w stół. Czuję, że policzki mi płoną.

- Mógł się poddać - wtrąca Ari, jakby tłumaczył moje słowa. - Takiego starca pewnie nawet nie wsadziliby do więzienia. On jednak wolał się zabić...

- I zostawić żonę, która teraz sama będzie musiała poradzić sobie z konsekwencjami - mówię znaczącym tonem. Wiem, że chociaż znalazłam odpowiedzi na wiele pytań, już zawsze będę zła na Jareda za to, że mnie porzucił.

- Mało brakowało, a by się nam wymknął - zauważa Jared, nie słysząc aluzji w moich słowach albo nie chcąc jej słyszeć. - Na szczęście ostatnia butelka ocalała.

- Dzięki Jordan - mówi Ari z podziwem. - To było niesamowite, kiedy za nią wskoczyła do wody.

- Niesamowite jak na kogoś, kto nie umie pływać - rzuca oschle Nicole.

- Po prostu musiałam uratować to wino.

- Zadałaś sobie dużo trudu, biorąc udział w walce, która w ogóle cię nie dotyczyła.

- No tak, to znaczy... - płaczę się, czując, jak moje policzki znowu pokrywają się rumieńcem. - Ale Ari potrzebował... - Chociaż napięcie między nami zniknęło, Nicole wciąż lubi czuć kontrolę nade mną.

- Mówiłaś, że woda jest płytka.

- Och, to było w zupełnie innej części portu. Tam, gdzie skoczyłaś, było co najmniej pięć metrów głębokości. - Wpatruję się w nią, zastanawiając się, czy żartuje, ale ona jest zupełnie poważna. Nagle w pełni uświadamiam sobie, na jakie niebezpieczeństwo się naraziłam.

- Ty byłaś w wodzie, ja nad przepaścią - odzywa się Ari. - Oboje pokonaliśmy dziś swoje fobie. Przytakuję. Oczywiście nasza największa fobia - lęk przed zaangażowaniem się, zbliżeniem do drugiej osoby - nadal wisi między nami niczym ogromny znak zapytania.

Przez parę minut jemy w milczeniu.

- I co teraz? - pytam.

- Wyślę butelkę do Tel Awiwu - odpowiada Ari. - Powinna tam dotrzeć za parę dni. Mając taki dowód, prokuratura będzie mogła wnieść oskarżenie. Pewnie za tydzień czy dwa opublikują je w prasie. - I to wszystko? Nicole marszczy brwi.

- Niezupełnie. Austriacka policja z pewnością prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Heiglera. - Ari spogląda na nią dziwnym wzrokiem.

- Szczątki jachtu Contiego w porcie na pewno też nie pozostaną niezauważone. I w końcu ktoś zobaczy, że w jaskini nastąpił wybuch.

- Pozostaje kwestia pieniędzy za oryginalne wino, które ukradł Heigler - zauważa Jared. - Gdzieś muszą być. - Mogę wysłać do Interpolu raport w tej sprawie - proponuję, wiedząc, że Lincoln mi pomoże. Ari też mógłby to zrobić, ale nie chcę go prosić o nic, co zmusiłoby go do kontaktów z Mossadem, których tak stara się unikać.

- Nie - protestuje Jared. Widzę sprzeczne uczucia na jego twarzy. Nie chce znowu narażać mnie na niebezpieczeństwo.

- Możemy to zrobić. - Ari lekko dotyka mojego przedramienia. My. Serce zaczyna mi mocniej bić. Na chwilę zapada cisza, kiedy

Ari i Jared niczym rywale mierzą się spojrzeniem. Uświadamiam sobie, że Jared jest zazdrosny o to, że Ari może ze mną być i chronić mnie w sposób, w jaki on już nie mógłby.

- Dopilnuję, żeby wszystko gładko przebiegło - dodaje Ari. Przez chwilę czuję irytację. Nie chcę, by któryś z nich był moim

obrońcą. Nie jestem dzieckiem, tylko wyszkolonym agentem wywiadu - a w każdym razie kiedyś nim byłam. Potem jednak słyszę głos w głowie: wszystko jest w porządku. Mieć opiekuna to nie najgorsza rzecz na świecie.

Kątem oka zerkam na Nicole. Jej twarz jest pozbawiona wyrazu, ale widzę, że Nicole tak mocno zaciska dłonie na brzegu stołu, że aż jej knykcie bieleją, gdy patrzy, jak dwaj mężczyźni - jej mąż i kuzyn - konkurują o opiekę nade mną. Nic dziwnego, że tak mnie nienawidzi.

Chrząkam.

- Ari ma rację. Zajmiemy się tym. Damy radę.

- Nie - upiera się Jared, nie zamierzając ustąpić. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, jak silna jest jego potrzeba, by zawsze mieć rację i niezależnie od wszystkiego kontrolować sytuację. W moich wspomnieniach, wyblakłych przez upływ czasu, Jared jest idealny. Teraz dostrzegam wszystkie jego wady i nie potrafię ich ignorować. Dociera do mnie, że chociaż bardzo go kochałam, na dłuższą metę nigdy by nam nie wyszło. Nawet gdyby nie zniknął, nasz związek nie przetrwałby w surowej rzeczywistości realnego świata, wyrwany z tej przytulnej kolebki, jaką było Cambridge. Trochę żałuję, że tu przyjechałam i poznałam trudną prawdę, która była ceną naszego związku.

Przenoszę wzrok z Jareda na Ariego i z powrotem, przypominając sobie pytanie, które Ari zadał mi na jachcie: „Którego z nich bym wybrała, gdyby Jared nie był żonaty?”. Teraz już znam odpowiedź. Moje uczucia do Ariego, choć skomplikowane i niedoskonałe, nie opierają się na wspomnieniach ukrytych pod szkiełkiem.

Ale to nie znaczy, że Jared nagle stał się dla mnie nieważny.

- Jared - mówię, spoglądając mu prosto w oczy. Czuję się, jakbyśmy zostali sami w pokoju i rozmawiali bez słów jak kiedyś. „Pozwól mi odejść - chciałabym mu powiedzieć. - Pozwól mi to zrobić. Mogę ci pomóc”.

Widzę sprzeciw na jego twarzy - przez wszystkie te lata robił wszystko, żeby nie narażać mnie na niebezpieczeństwo. Potem jednak odrywa ode mnie wzrok, przypominając sobie o obecności Nicole i syna i wszystkich rzeczach, którymi powinien zająć się najpierw. Już nie musi mnie chronić. Z rezygnacją opuszcza ramiona. Wiem, że mnie usłyszał i pogodził się z tym, co ma zrobić.

- Oczywiście nie zostaniecie tutaj - mówi Ari. To stwierdzenie, nie pytanie.

- Nie - odpowiada Jared. - Za dużo się tu wydarzyło. Przeprowadzimy się, kiedy tylko wyjedziecie.

- Im szybciej, tym lepiej - przytakuje Ari. Przynajmniej w tej jednej sprawie się zgadzają.

Rozglądam się po pokoju. Ukochany domek, który stał się domem rodzinnym Jareda, dzięki któremu on sam już nie musiał uciekać, przestał być bezpieczny. Przez chwilę przepelnia mnie żal. Czy te moje poszukiwania Jareda zniszczyły jego sanktuarium? Nie, to działania Nicole sprowadziły na nie niebezpieczeństwo.

- Dokąd pojedziecie? - pytam, chociaż wiem, że Jared nie może mi tego zdradzić.

Lekko, niemal niezauważalnie kręci głową, jakby chciał chronić mnie - albo siebie i Nicole.

- Skontaktuję się znowu z przyjaciółmi - mówi, mając na myśli dziekana. - Pomogą nam znaleźć bezpieczne miejsce.

Przetacza się przeze mnie fala smutku. Ulga, jaką poczułam na widok Jareda, częściowo brała się ze świadomości, że teraz wiem, gdzie jest i gdzie będzie, gdy wyjadę. Nawet gdybym już nigdy miała tu nie wrócić, oczyma wyobraźni obserwowałabym jego życie. Teraz zniknie znowu, rozwieje się niczym dym, jakbym nigdy go nie odnalazła. Jakby jednak nie żył. Ari chrząka.

- Nie chcę być niegrzeczny, ale czeka nas długa podróż, więc powinniśmy już chyba się zbierać. Przygotuję łódź - zwraca się do mnie. - Spotkajmy się na pomoście.

Daje mi czas na pożegnanie z Jaredem. Podchodzi do Nicole i całuje ją w oba policzki.

- Bądź zdrowa, kuzyneczko.

Wychodzi z domu, a Nicole idzie do kuchni i pakuje mały plecak.

- To dla was. - Kładzie go obok mnie na stole. - Trochę jedzenia na drogę.

Znak, że i ja już powinnam wyjść.

- Dzięki. - Wstaję i biorę plecak.

- Nie, to ja dziękuję.

Wiem, że jest tak samo wdzięczna za to, że zostawiłam Jareda w spokoju, jak za pomoc w uratowaniu jej syna. Kiwam głową. Nigdy się nie zaprzyjaźnimy, ale zależy nam na tych samych mężczyznach, a to już coś.

- Odprowadzę cię. - Jared bierze ode mnie plecak. W milczeniu wychodzimy z domu i ruszamy przez kamieniste wzgórze na plażę.

Tam zatrzymuje się i oddaje mi plecak, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że dalej nie pójdzie.

Proszę. - Zza pleców wyjmuję egzemplarz *Dwóch wież*, który widziałam na jego regale. - Powinnaś dokończyć to czytać, ostatnią część też.

Czas na zakończenie historii.

- Dzięki. - Biorę od niego książkę i chowam ją do torby. Przez parę sekund stoimy w milczeniu.

- Jak to zrobimy? - pyta w końcu, głos lekko mu się łamie.

- Ty pierwszy. - Minęło tyle czasu, znalazłam odpowiedzi na tyle pytań, a wciąż nie mam siły od niego odejść.

- Dziękuję, Jo - mówi.

- Za co?

- Za to, że przyjechałaś aż tutaj. Że ci się chciało mnie szukać.

I za to, że teraz pozwalam ci odejść. Wracają wszystkie wątpliwości i żal. „Nie odchodź! - mam ochotę krzyknąć. Zostań ze mną”. Nieważne, ile się zmieniło, ile czasu upłynęło i jak wielka odległość nas dzieliła, wciąż nie mogę znieść myśli o ostatecznym pożegnaniu. Chciałabym móc zatrzymać zegar, na zawsze zatrzymać tę chwilę, na którą czekałam całe życie. Ale co potem? Nawet jeśli zatrzymam go jeszcze na minutę, na godzinę, to nic nie zmieni. Czeka na nas życie, nie mamy wyboru, nasze drogi muszą się rozejść.

Dzieje się to samo, co dziesięć lat temu w Anglii. Rozdzielają nas siły, na które nie mamy wpływu.

Ale coś mi mówi, że tym razem jest inaczej. Już nie jesteśmy dziećmi. Tym razem postanawiamy się rozstać, bo tak trzeba. Nie możemy kurczowo trzymać się przeszłości, nie robiąc kroku w przyszłość. Tylko w jeden sposób możemy odzyskać to, co nam odebrano tyle lat temu: musimy zrobić ten krok.

Nagle czuję, że mój związek z Jaredem nie jest już ogromną stratą albo niewykorzystaną szansą.

Widzę go takim, jaki był naprawdę: słodka, nieskomplikowana miłość w czasach niewinności.

Pojawia się ostatni element układanki i już wiem, gdzie jest miejsce dla Jareda w moim życiu, i co ludzie mają na myśli, mówiąc o „konieczności zamknięcia pewnych spraw”.

Ponad jego ramieniem dostrzegam jakąś postać w oknie domku. To Nicole nas obserwuje.

Wyobrażam sobie udrękę na jej twarzy, jakby właśnie teraz ważyły się jej losy, jakby się zastanawiała, o czym rozmawiamy i czy odejdę. Po chwili znika, a miejsce, w którym stała, wypełnia ciemność.

Nagle ogarnia mnie wielkie zmęczenie.

- Idź. Idź już. - Jared otwiera usta, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale rezygnuje i odwraca się, by odejść.

- Zaczekaj! - wołam. Stoi i patrzy na mnie, a w jego oczach widzę światło, nadzieję, że może jednak spróbuję go powstrzymać. Wiem, że ma te same wątpliwości co ja, że walczy z tym samym prądem, który popycha go do przodu i oddala ode mnie.

Ale nie dlatego go zatrzymałam.

- Proszę. - Z kieszeni wydaję pierścionek na łańcuszku. - Należy do ciebie.

Kiedy rozpoznaje zaręczynowy pierścionek, który przed laty zostawił dla mnie w bankowym sejfie, na jego twarzy pojawia się dezorientacja i zdziwienie.

- Zatrzymaj go - mówi. - Jest twój. Zawsze był.

Ja jednak odmownie kręcę głową. Ten pierścionek to część Jareda, już do mnie nie należy. Wciskam go w dłoń Jareda i zamykam na nim jego palce.

- Wiesz, to był prawdziwy pierścionek zaręczynowy - mówi Jared. - Nie tylko podpowiedz, gdzie masz znaleźć wyniki moich badań. Naprawdę chciałem ci się oświadczyć.

W głębi ducha wiedziałam o tym, ale i tak dobrze to usłyszeć.

- Żegnaj, Jared. - Wspinam się na palce i muskam ustami jego usta.

Przez chwilę się waha, a potem całuje mnie mocno. Jego usta są ciepłe i gładkie. Nasze pożegnanie zostało przypieczętowane. Chwilę później odsuwamy się od siebie, a on się odwraca - tym razem na dobre. Patrzę, jak idzie plażą, przygarbiony, nie oglądając się za siebie.

Uświadamiam sobie, że nie zdążyłam go spytać o tak wiele rzeczy. Czy to on śledził mnie w Londynie, czaił się tamtego wieczoru pod mostem Hammersmith, pilnując, żeby nic mi się nie stało? Czy zależało mu na mnie tak bardzo, że zaryzykował wszystko, by mnie chronić? A jeśli tak, to jak się oparł chęci, by ukradkiem nie podejść i mnie dotknąć - tak bym nawet tego nie zauważyła? Robię krok w jego stronę, ale zatrzymuję się. Kiedyś potrzebowałam tych odpowiedzi, lecz teraz nie mają już znaczenia. Wystarczy mi to, czego się dowiedziałam.

Walczę z chęcią zawołania za nim, gdy wspina się na wzgórze. Nie robię tego jednak, a po chwili ten impuls znika. Zastępuje go fala tęsknoty i samotności, która uderza mnie w samo serce i grozi pochłonięciem. Ale teraz tęsknię nie za Jaredem, lecz za kimś innym.

Biorę głęboki wdech, odwracam się i ruszam w przeciwną stronę, na pomost. W oddali widzę łódź i sylwetkę Ariego na tle popołudniowego słońca. Czeka na mnie.

Godzinę później oddaliśmy się od wyspy i znowu otaczają nas spokojne, niebieskie wody. Słońce jeszcze wisi wysoko na bezchmurnym niebie.

Siadam na pokładzie obok Ariego, który zdjął koszulę.

- Powinieneś posmarować się kremem z filtrem przeciwsłonecznym - zauważam, spoglądając na jego opalony tors. Z torby wydaję tubkę, którą mi niedawno dał Jared. Otwiera jedno oko i wyciąga ręce nad głowę, zupełnie mnie ignorując.

Kiedy wkładam krem z powrotem do torby, wypada z niej książka Tolkiena. Ari przenosi wzrok ze mnie na książkę, a potem na moją szyję, na której jeszcze niedawno wisiał łańcuszek z pierścionkiem. W jego oczach pojawia się dziwny błysk. Spodziewam się, że jakoś skomentuje ten fakt, on jednak milczy.

Patrzę na horyzont. W myślach widzę Noę bawiącego się na plaży przed domem. Potem, jak we śnie, obok niego pojawia się inny chłopiec. Są do siebie niezwykle podobni, ale ten drugi jest dużo starszy i ma skórę jasną jak moja, nie zaś śniadą cerę Nicole.

- O czym myślisz? - Ari wrywa mnie z zamyślenia. Spoglądam w dół na niego.
- O dzieciach. Marszczy brwi, nie rozumie.
- Wcześniej pytałeś, czy chciałabym mieć dziecko. Przepraszam, że tak cię spławiłam.
- Nie powinienem był zadawać tak osobistych pytań.
- Nie w tym rzecz. - Opowiadam mu wszystko, wyjawiam swoją tajemnicę o ciąży, którą przerwałam. - Zabrakło mi odwagi, by uro-

dzić to dziecko - kończę. Obserwuję jego twarz, szukając oznak potępienia.

Nie znajduję ich jednak.

- Byłaś bardzo młoda i podjęłaś decyzję, którą wtedy uznałaś za najlepszą - mówi. - Musiało ci być bardzo ciężko.

- Było. Ale gdybym powiedziała Jaredowi...

- Myślałaś, że nie żyje. Nie mogłaś znać prawdy. - W jego głosie brzmi stanowczość i chociaż wiem, że to nie on powinien mi udzielić rozgrzeszenia, to i tak przyjmuję je z wdzięcznością.

Podnoszę wzrok i znowu widzę tego chłopczyka, tym razem w chmurach. Modlę się cicho, by mi wybaczył to, że byłam za młoda i za bardzo się bałam. Potem pozwalam mu odejść.

- Powinnam była być odważniejsza - dodaję.

- Wszyscy czasami żałujemy, że nie jesteśmy odważniejsi - mówi z nieobecnym wyrazem twarzy. Widzę, że jest zatopiony we własnych wspomnieniach. - Kiedy moja żona i córka zginęły - ciągnie cicho - nie chciałem dalej żyć, próbowałem...

- Och! - wykrzykuję wbrew sobie. Ari próbował się zabić. Jak daleko się posunął? Widzę głębię i mrok jego cierpienia. Zrzucam ręce na jego szyję, jakbym próbowała zdusić iskry rozpacz, które zdają się tańczyć wokół niego niczym świetliki. Opuszcza głowę na moje ramię, a ja przytulam go mocno i kołyszę jak dziecko.

Po paru minutach podnosi głowę. Na jego twarzy już maluje się spokój, oczy znowu są czyste.

- Co teraz zamierzasz zrobić? - pyta.

- Z resztą mojego życia? Nie mam pojęcia.

- Zastanawiałaś się nad powrotem?

Wiem, że ma na myśli powrót do pracy dla rządu. Przez chwilę się zastanawiam.

- Trudne pytanie. - Jeszcze wczoraj bez namysłu bym zaprzeczyła. Po tej akcji z winem uświadomiłam sobie, jak ważna jest dla mnie ta praca. - Po tym, co się stało, nie mogłabym wrócić do Stanów, ale... - Biorę głęboki wdech i opowiadam mu o spotkaniu w Wiedniu

z agentem CIA, propozycji van Antwerpena, żebym wróciła w innym charakterze. - Przepraszam, że wcześniej ci o tym nie powiedziałam.

- Nie szkodzi. Dopiero się poznawaliśmy. Poza tym chyba oboje nie jesteśmy zbyt ufni. Ale cieszę się, że mi powiedziałaś. Weźmiesz tę ofertę pod uwagę?

- Raczej nie, w każdym razie nie teraz. Chyba Izaak Newton powiedział: „Udało mi się sięgnąć wzrokiem dalej tylko dlatego, że stanąłem na ramionach olbrzymów”. To właśnie zrobiłam. Nie zrozum mnie źle. Szef zawsze był dla mnie mentorem i jestem wdzięczna, że wysyłał mnie w tyle miejsc, ale myślę, że pora na jakiś czas stanąć na własnych nogach.

- Pełna zgoda. Spoglądam na niego.

- Poważnie? To znaczy, że ty też się wycofujesz?

- Tym razem już na zawsze. Poza tym nie wiem, jak nasze agencje by zareagowały na to... - Urywa i wskazuje ręką na siebie, a potem na mnie. Na jego szyi pojawia się lekki rumieniec. - Może nie jest za późno, by takie dwie osoby uzależnione od adrenaliny stworzyły coś poważnego?

- To znaczy osiąść, zacząć normalne życie? - Słyszę niedowierzanie we własnym głosie.

- Normalne? - Śmieje się. - Za dużo powiedziane. Ale wydaje mi się, że oboje czegoś szukamy, próbujemy wydostać się na powierzchnię. Od dawna nie wierzę w przeznaczenie, ale może to ono nas połączyło.

Jego bezpośredniość zupełnie zbija mnie z tropu. Znamy się zaledwie od paru dni, jednak wiem, co Ari ma na myśli: po tym wszystkim, co przeżyliśmy, nie ma potrzeby marnować czasu na gierki.

Życie z Arim. Próbuję je sobie wyobrazić. Nowy początek, lecz z całym bagażem doświadczeń i bliźniami, jakie zebraliśmy po drodze. Z kimś, kto mnie rozumie, bo w pewnym sensie przeżył to samo co ja.

Myśl o związaniu się z nim, z jakimkolwiek mężczyzną, jak zawsze jawi się jako przerażająca, ale jednocześnie bycie z Arim wydaje mi się tak naturalne, że nie wyobrażam sobie odejścia.

- I co o tym myślisz? - pyta.

W tej chwili dzwoni mój telefon. Spoglądam na komórkę, chcąc ją wyłączyć, w ostatniej chwili dostrzegam numer dzwoniącego.

- Chyba powinnam odebrać - mówię i wciskam przycisk z zieloną słuchawką.

- Jordie. - Na dźwięk tego głosu serce ściska mi się boleśnie. Kiedy słucham dalej, uświadamiam sobie, że to jedyny telefon, na który nie byłam przygotowana. Sara prosi mnie o pomoc, prosi, żebym znowu do niej przyjechała.

Spoglądam ponad zielonymi wzgórzami na zaśnieżone szczyty gór na horyzoncie. Poranne słońce dopiero zaczyna przedzierać się przez gęstą zasłonę nisko wiszących szarych chmur, zalewając dolinę bladym, żółtym światłem.

Przed nami pod sosnami stoi grupka ludzi w ciemnych płaszczach. Kiedy przez rozkwieconą łąkę idziemy w ich kierunku, Ari ujmuję mnie pod łokieć, podtrzymuje mnie, żeby moje obcasy nie zapadły się w błotnistą ziemię.

Kiedy się do nich zbliżamy, chłonę słodki zapach zroszonej trawy i szukam w tłumku znajomej twarzy Sary. Oczywiście nie ma jej tam. Moje oczy wypełniają się łzami. Widzę ją, jak razem idziemy ścieżką nad rzekę, śmiejemy się, gadamy i jemy lody w rożku. Potem obraz ten się rozmywa i zastępuje go obraz Sary, którą widziałam w zeszłym miesiącu w Londynie. Oglądała świat przez okno, siedząc samotnie w mieszkaniu, więzień własnego ciała. Przepraszam, że cię opuściłam, myślę. Przepraszam, że tak długo musiałaś na mnie czekać.

Spoglądam na Ariego, który patrzy na wzgórze, z pewnością wspominając wszystko, co się wydarzyło w ciągu tych ostatnich paru dni.

- Signora Conti została aresztowana - powiedział ponurym głosem poprzedniego wieczoru, kiedy wrócił do naszego hotelowego pokoju z balkonu, na którym odebrał telefon. - Przyznała się do wszystkiego. W rzeczywistości nazywa się Madeline Mercier i jest siostrzenicą tego burmistrza, który wydał Żydów. Kiedy zbliżał się koniec wojny, wiedziała, że dynastia producentów wina się skończyła, bo cała rodzina Cerfberre zginęła w obozach. Przywłaszczyła więc sobie dokumenty Elli Cerfberre oraz jej tożsamość i przeniosła się do Włoch, gdzie nikt jej nie znał.

- A historia o tym, jak poznała męża w obozie?

- To też kłamstwo. Nie wiem, gdzie się poznali ani kiedy powiedziała mu prawdę. Kochał ją jednak tak bardzo, że osłaniał ją przez wszystkie te lata, aż do końca.

Po tym odkryciu cała tajemnica wina Cerfberre Bordeaux, komu i dlaczego tak bardzo na nim zależało, została wyjaśniona.

Ale musieliśmy się oswoić nie tylko z tajemnicą Contich, lecz również przedyskutować moje spotkanie po latach z Jaredem. Ari spytał mnie o to wczoraj, kiedy jechaliśmy przez góry do Genewy.

- Było tak, jak się tego spodziewałaś? - spytał nagle, nie odrywając wzroku od drogi. - Chodzi mi o spotkanie z Jaredem.

Przez chwilę się zastanawiałam.

- Sama nie wiem - przyznałam w końcu. - Poznałam odpowiedzi, których szukałam tak długo. W każdym razie większość z nich. Wszystko się zmieniło.

- Zupełnie jakbyś przez ostatnie dziesięć lat trwała w żałobie po czymś, czego już nie musisz opłakiwać - zauważył.

Przytaknęłam, choć w głębi ducha wiedziałam, że to nie wszystko. Przez tyle lat myślałam, że Jared nie żyje, ale w rzeczywistości to nie jego opłakiwałam, lecz tamte czasy i tamto miejsce, bez troskę i młodość, które w jednej chwili zostały mi odebrane. Wyjazd z Cambridge oznaczał dla mnie koniec dzieciństwa, a po nim moje życie już na zawsze podzieliło się na dwie ery: Przed i Po. Śmierć Jareda była punktem zwrotnym, ale opłakiwałam utratę niewinności. Przez ostatnie dziesięć lat pisałam elegię o Camelocie. Pomyślałam, że może dramatyzuję. Każdy ma jakąś część własnej przeszłości, o której nie potrafi zapomnieć. Ale więź z Cambridge wydawała mi się silniejsza, niemal mistyczna. Znałam ludzi, którzy już nigdy tam nie wrócili, nie chcąc ujrzeć pustej skorupy pozbawionej wspomnień. Inni nie potrafili na zawsze pożegnać się z tym miejscem: wciąż na nowo snuli opowieści z przeszłości, jakby w ten sposób mogli ją wskrzesić. Pewien kolega z mojej grupy przez dziewięć lat pisał tam doktorat, po czym wyjechał, lecz ostatecznie wrócił, ożenił się z miejscową dziewczyną i osiadł w Cambridge na stałe. Nie,

Cambridge jest wyjątkowe, a więc z nim silniejsza i trwalsza, niż Ari mógłby to zrozumieć.

Ja uciekłam stamtąd tak szybko, jak tylko mogłam, ale w myślach nigdy nie wyjechałam. Aż do teraz. Teraz, gdy odnalazłam Jareda, może wreszcie uda mi się umieścić wspomnienia we właściwym miejscu, niczym pudełko, które można zdjąć z półki i odkurzyć na specjalne okazje, jak złoty absolwentów, albo po to, by pokazać je dziecku.

Dziecku. Zaskakuje mnie ta myśl, której nigdy do siebie nie dopuszczałam. Ari powiedział, że nie jest za późno. Odwracam się do niego, przypominając sobie propozycję, jaką złożył mi na jachcie: ofertę rozpoczęcia na nowo wspólnego życia. Od tamtego pilnego telefonu od Sary nie wrócił do tego tematu. Ale pytanie to wisi między nami: czy uda nam się stworzyć wspólne życie?

Wyobrażam je sobie, wolne od przeszłości, upiorów i bez wykonywania poleceń innych. Przestalibyśmy występować w roli pionków na czyjejsz szachownicy - rozpoczęlibyśmy własną grę. Nie mam pojęcia, dokąd byśmy pojechali i w jaki sposób byśmy żyli. Kiedyś ta niepewność by mnie przerażała. Teraz przepęlnia mnie podnieceniem i niezaprzeczalną nadzieją.

Przeczესuję palcami włosy, które zdążyłam z powrotem przefarbo-wać na brąz, a potem biorę głęboki wdech.

- Twoja propozycja... - Urywam. Ari spogląda na mnie. - Wciąż aktualna?

Oblizuje usta, a ja przygotowuję się na odpowiedź odmowną, na oświadczenie, że zaoferował mi to pod wpływem impulsu, że ledwie się znamy i nie należymy do osób preferujących osiadły tryb życia. Po chwili lekko kiwa głową.

- Tak. Nie wracałem do tego, bo nie chciałem wywierać presji. - Wskazuje głową na grupkę zebranych. - Zwłaszcza w tych okolicznościach...

Wspinam się na palce i uciszam go pocałunkiem.

- Czy to oznacza „tak”? - pytam po chwili.

- Tak - mówi z uśmiechem. - Czym się zajmiemy?

- Mogę wrócić do pracy dla rządu. - Ari unosi brwi. - Bycie cywilem jest zbyt niebezpieczne.

Uśmiecha się szeroko, zrozsuniawszy mój żart.

- Ale tak poważnie, co będziemy robić?

W tym pytaniu zawiera się tyle innych: dokąd pojedziemy? Jak będziemy zarabiać na życie? I, co najważniejsze, jacy się okazemy jako para odcięta od stałego dopływu adrenaliny? Czy w tej intymności rozkwitniemy, czy też znuży nas codzienne życie? Czy bezwarunkowa akceptacja mnie uwolni, czy zaangażowanie okaże się dla mnie klatką?

Uciszam głosy, które krzyczą w mojej głowie, i wzruszam ramionami.

- Zamieszkajmy nad wodą. Tam, gdzie co roku pada śnieg.

- Trudno będzie znaleźć takie miejsce. Ale brzmi nieźle. - Ari się uśmiecha. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak spokojnego i szczęśliwego. Może rzeczywiście nam się uda?

Jakby na dowód, że się myślę, w mojej wyobraźni pojawia się obraz Jareda. Ciekawe, czy on, Nicole i Noa już opuścili swój dom i jak daleko pojechali. Może trudno mi tak od razu odesłać wspomnienia do lamusa, ale będę to robiła powoli, po trochu każdego dnia.

Budzę się z zamyślenia, kiedy znad wzgórz dobiega przejmujący dźwięk dud. Oczy znowu zaczynają mnie piec, bo w oddali pojawia się limuzyna i powoli zbliża do nas. Zatrzymuje się parę metrów od zgromadzonych, otwierają się drzwi i z tylnego siedzenia wysiada Ryan Giles. W mundurze galowym wygląda o wiele bardziej dystyngowanie, niż to zapamiętałam. Postarzał się o całe lata, odkąd go ostatnio widziałam, jego twarz znaczą nowe zmarszczki. Wyobrażam sobie, co musiał przeżyć: zakochał się w Sarze, którą potem z oddaniem pielęgnował.

Przechodzi na drugą stronę samochodu, a zebrani aż wstrzymują oddech, gdy drzwi się otwierają.

W nich, jak we śnie, pojawia się Sara.

Serce mi rośnie, gdy patrzę na prostą sukienkę z białej koronki, w której jej małeńka postać dosłownie tonie, na wianek z drobnych

kwiatków otaczający jej głowę niczym aureola. Jej twarz promienieje. Sara nie spuszcza wzroku z Ryana, który podsuwa wózek inwalidzki i pomaga jej na nim usiąść. Z wielkim trudem popycha wózek po rozmokniętej ziemi do tego pięknego, ale trudno dostępnego miejsca, które wybrała na tę uroczystość - tego samego, w którym parę dni temu Ryan jej się oświadczył.

Wiadomość tę dostałam na jachcie - wraz z przeprosinami za tak nieoficjalne zaproszenie na ostatnią chwilę.

- Za tydzień od jutra. Chcemy się pobrać, zanim zacznę leczenie - wyjaśniła Sara, jednak ja czułam, że chodzi o coś więcej. Sara nie wiedziała, ile czasu jej zostało, ale chciała spędzić każdą chwilę jako żona ukochanego mężczyzny.

Po krótkiej wizycie w ambasadzie Izraela, gdzie upewniliśmy się, że wino zostanie w bezpieczny sposób przekazane władzom, Ari i ja ruszyliśmy na północ. Zanim dotarliśmy do Genewy, na parę nocy zatrzymaliśmy się w prywatnym zamku nad jeziorem Como. Rozmawialiśmy leniwie, co chwila zmieniając temat. Poznawaliśmy się coraz lepiej, oboje mieliśmy wrażenie, że kochamy się od zawsze. Tłumek się rozstępuje, by dać przejście parze narzeczonych. Kiedy Sara przejeżdża obok mnie, podnosi głowę, uśmiecha się szeroko i coś bezgłośnie do mnie mówi. Nie rozpoznaję słów, ale wiem, że wyraża wdzięczność za to, że dotarliśmy do tego punktu w swoim życiu i że razem przyszliśmy w tym szczególnym dniu.

Przypomina mi się żydowska modlitwa Shehechianu, błogosławieństwo wypowiedziane przy radosnych okazjach, podziękowanie Bogu. Nagle jej słowa, których nie wypowiadałam od lat, same cicho płyną z moich ust. *Baruch atah Adonai Elohenu melech haolam, shehechianu, vekiyimanu, Vehigianu, lazman hazeh*. Niech was błogosławi nasz Pan, Król wszechświata, który dał nam życie i pozwolił uczestniczyć w tej chwili. Amen.

Myślę o wszystkim, co poświęciłam, by teraz tu być, o ludziach, którzy cierpieli lub umarli, o utracie przyjaciół i kariery. Czy warto było tak cierpieć? Nie jestem pewna, czy miałam wybór: musiałam poznać

prawdę, znaleźć odpowiedzi na pytania. Nie mogłam zostać w departamencie, wiedząc, co zrobiłam. A gdybym pozostała więźniem przeszłości, zamiast wyruszyć w tę podróż, nie poznałabym Ariego. Ale wiele osób zapłaciło życiem i utratą niewinności za to, byśmy się teraz tu znaleźli, i o tym z wdzięcznością postaram się pamiętać.

Państwo młodzi stają przed tłumkiem, gdzie czeka na nich duchowny. Sara wyciąga rękę i uśmiecha się do Ryana. Jego uścisk jest mocny, a przez tłum przebiega głośnie westchnienie, gdy Ryan pomaga Sarze wstać. Z wielkim wysiłkiem Sara podnosi się z wózka i prostuje się. Widzę, jak z drżeniem i determinacją trzyma się kurczowo Ryana w tym prostym akcie buntu przeciwko chorobie, która tyle jej odebrała. Dziś nie jest ani chora, ani pokonana. Dziś robi pierwszy krok ku nowemu życiu.

Gdy muzyka cichnie, a ostatnia nuta odpływa nad wzgórze, ujmuję dłoń Ariego, również wybierając przyszłość.